

**Rachel Ward**

**NUMERY**

**CZAS UCIEKAĆ**

Dla Ozzy, Ali i Petera

# Rozdział 1

**S**ą miejsca, gdzie chodzą dzieciaki takie jak ja. Dzieciaki smutne, złe, znudzone i samotne, inne. Jeżeli tylko wiesz, gdzie szukać, znajdziesz nas tam każdego dnia: za sklepami, w bocznych alejkach, pod mostami na kanałach i rzekach, w pobliżu garaży, w barakach, na działkach. Są nas tysiące. Oczywiście, o ile ktoś ma ochotę nas szukać – a większość ludzi tego nie chce. Jeśli nas widzą, odwracają wzrok, udają, że nikogo nie ma. Tak jest łatwiej. Nie wierzcie we wszystkie te bzdury, jak to każdemu trzeba dać szansę – kiedy nas widzą, cieszą się, że nie jesteśmy w szkole z ich dziećmi, nie przeszkadzamy im podczas lekcji i nie zatruwamy życia. Nauczyciele też. Myślicie, że są rozczarowani, kiedy ktoś się nie zgłosi do szkoły? Akurat, śmieją się – oni nie chcą mieć takich jak my w klasach, a my wcale nie chcemy w nich być.

Większość trzyma się w małych grupkach, po dwoje czy troje, jakoś zabijając wolny czas. Ja lubię być sama. Lubię zaszyć się gdzieś, gdzie nie ma nikogo – gdzie nie muszę na nikogo patrzeć, gdzie nie muszę widzieć żadnych numerów.

Dlatego wkurzyłam się, kiedy dotarłam do mojego ulubionego miejsca nad kanałem i odkryłam, że ktoś już tam jest. Gdyby to był jakiś obcy, stary włóczęga albo ćpun, poszłabym gdzie indziej, luz, ale – takie już moje szczęście – on też był z dzieciaków z klasy specjalnej pana McNulty'ego: niespokojny, wygadany chudy chłopak zwany Pajakiem. Roześmiał się na mój widok, podszedł do mnie i pogroził mi palcem przed nosem.

- No, no, niegrzeczna dziewczynka... Co tu robisz? – Ze wzrokiem wbitym w ziemię wzruszyłam ramionami. A Pajak ciągnął: - Nie miałaś siły na jeszcze jeden dzień ze Świrem? Jem, wcale ci się nie dziwię – on jest szurnięty. W ogóle go nie powinni puszczać między ludzi, nie?

Pajak jest duży, wysoki. Taki typ, który staje za blisko ciebie, nie wie, kiedy się cofnąć. Pewnie dlatego w szkole wdaje się w bójkę. Przez cały czas jest gdzieś obok, tak że nieustannie czuje się jego zapach. Nawet jeżeli człowiek się jakoś wykręci i odwróci – on dalej jest – w ogóle nie umie czytać znaków, nie łąpie aluzji.

Przez kaptur mocno naciągnięty na twarz nie widziałam go dobrze, ale kiedy się zbliżył i stanął nade mną, odruchowo odrzuciłam głowę. Nasze spojrzenia spotkały się na moment i to już tam było. Jego numer. 15122009.

To był drugi powód, dla którego czułam się przy nim nieswojo. Biedak – jakie on może mieć szanse z takim numerem...?

Wszyscy mają swoje numery, ale wydaje mi się, że tylko ja je widzę. No, może nie dosłownie, ale jest tak, że wiszą w powietrzu. Tak jakoś pojawiają się w mojej głowie. Czuję je gdzieś za oczami. Ale są prawdziwe. Mam w nosie,

czy mi wierzycie – jak sobie chcecie, ja wiem, że są prawdziwe. I wiem, co znaczą. Wszystko stało się jasne tego dnia, kiedy odeszła mama.

Zawsze widziałam numery, zawsze odkąd pamiętam. Najpierw myślałam, że wszyscy je widzą. Jeżeli tylko spojrzałam komuś w oczy, od razu pojawiał się numer.

Pewnego dnia mama wiozła mnie w wózku, a ja mówiłam jej, jakie ludzie mają numery. Myślałam, że to się jej spodoba, że pomyśli, jaka jestem mądra. Tak, jasne. Szłyśmy szybko główną ulicą, żeby odebrać zasiłek na tydzień. Czwartki były zazwyczaj dobre. Niedługo, bardzo niedługo, mama będzie mogła zrobić te swoje zakupy w zabitym dechami domu na naszej ulicy i przez parę godzin będzie szczęśliwa. Każdy napięty mięsień w jej ciele się rozluźni, będzie rozmawiała ze mną, a może mi nawet poczyta. Kiedy tak szłyśmy, wesoło wykrzykiwałam numery ludzi:

- Dwa, jeden, cztery, dwa, nic, jeden, zero! Siedem, dwa, dwa, nic, cztery, sześć!

Nagle mama gwałtownie zatrzymała wózek i obróciła ku sobie. Pochyliła się, chwyciła za ramię po obu stronach, robiąc ze swojego ciała klatkę, i zacisnęła dłonie tak mocno, że widziałam wyraźne jak nigdy zgrubienia na jej ramionach, siniaki i ukłucia. Spojrzała mi prosto w oczy z dziką furią w twarzy.

- Jem, słuchaj – niemal wypluła te słowa. – Nie wiem, o co ci chodzi, ale masz przestać! Zaraz dostanę od tego szafu. Dzisiaj nie trzeba mi żadnych głupot, okay? Nie trzeba mi tego, więc... się... do cholery... zamknij!

Sylaby gryzące niczym wściekłe osy, jad tryskający prosto na mnie... Przez cały ten czas, gdy tak trwałyśmy oko w oko, jej numer tam był, wciśnięty wewnątrz mojej czaszki: 10102001.

Cztery lata później patrzyłam, jak facet w wymiętym garniturze zapisuje na kawałku papieru: *Data śmierci: 10.10.2001.*

Znalazłam ją rano. Wstałam, jak zwykle włożyłam szkole ubranie i wzięłam sobie płatki. Bez mleka, bo śmierdziało, kiedy je wyjęłam z lodówki. Odstawiłam pudełko, nastawiłam czajnik i zjadłam płatki, podczas gdy woda się gotowała. Potem zrobiłam mamie czarną kawę i ostrożnie zaniósłam do jej pokoju. Wciąż była w łóżku, tak jakoś skręcona w jedną stronę. Miała otwarte oczy, przód czymś poplamiony, chyba wymiocinami, kołdrę też. Postawiłam kawę na podłodze, obok igły.

- Mamo? – odezwałam się, chociaż wiedziałam, że nie odpowie. Nikogo już nie było. Odeszła. I jej numer też. Pamiętałam go, ale nie widziałam, gdy patrzyłam w jej mętne, puste oczy.

Stałam tak przy niej kilka minut, kilka godzin – nie wiem – później zesłam piętro niżej i powiedziałam pani z mieszkania pod nami, co się stało. Poszła zobaczyć.

Kazała mi czekać przed drzwiami, jakbym już tego nie widziałam, głupia krowa. Nie było jej jakieś pół minuty. Wybiegła, minęła mnie i zwymiotowała

na korytarzu. Kiedy skończyła, wytarła usta chustką, zabrała mnie z powrotem do siebie i zadzwoniła po karetkę.

Potem przyszła masa ludzi: mundurowi – policja, załoga karetki, garniturowi – jak ten z notatnikiem. Potem jeszcze kobieta, która mówiła do mnie jak do kretynki i która zabrała mnie stamtąd, tak po prostu, z jedyne go domu, jaki znałam.

W jej samochodzie, po drodze Bóg wie dokąd, wciąż obiecałam w myślach, raz za razem – nie jak zwykle numery, a słowa. Dwa słowa. *Data śmierci. Data śmierci.* Gdybym wcześniej wiedziała, że numery, które widzę, to oznaczają, mogłabym mamie powiedzieć, powstrzymać ją, nie wiem...

Czy cokolwiek by to zmieniło? Gdyby wiedziała, że czeka nas tylko siedem lat razem? Akurat – byłaby z niej taka sama ćpunka. Nic na świecie nie mogło jej powstrzymać. Była uzależniona.

Nie podobało mi się siedzenie pod mostem z Pajakiem. Wiem, że byliśmy na dworze, ale ja czułam się osaczona, złapana w pułapkę razem z nim. Wypełniał całą przestrzeń tymi swoimi długimi nogami i rękami, nieustannie w ruchu – niemal podrygując – i tym zapachem. Prześlizgnęłam się obok niego na ścieżkę biegnącą wzdłuż kanału.

- Dokąd?! – krzyknął za mną, jego głos odbijał się echem od betonowych ścian.

- Tak sobie idę – wymamrotałam.

- Jasne – powiedział, doganiając mnie. – Iść i mówić – oznajmił. – Iść i mówić.

Zrównał się ze mną, był zbyt blisko mojego ramienia i ocierał się o mnie. Szłam dalej, z opuszczoną głową, w jak zwykle naciągniętym na twarz kapturze. Wąski pasek żwiru i śmieci przesuwiał się pod tenisówkami. Maszerował obok mnie. Musieliśmy wyglądać jak para kretynów, ja za mała na piętnaście lat, on jak naspidowana czarna żyrafa. Próbował ze mną rozmawiać, ale ja go po prostu ignorowałam. Miałam nadzieję, że da sobie spokój i zniknie. Nie. Żeby się Pajaka pozbyć, trzeba by mu pewnie walnąć prostu z mostu, żeby się odczepił, chociaż pewnie nawet to by nie pomogło.

- To jesteś tu nowa, tak? – Wzruszyłam ramionami. – Wykopali cię ze starej budy? Byłaś niegrzeczna, co?

Wykopali mnie ze szkoły, wykopali mnie z ostatniego „domu” i z tego przed ostatnim, i z tego przedprzedostatniego też. Najwyraźniej ludzie mnie nie rozumieją. Nie rozumieją, że trzeba mi trochę przestrzeni. Ciągłe mi mówią, co mam robić. Uważają, że zasady i plany na przyszłość, czyste ręce i porządne maniery wszystko naprawią. Niczego nie chwytają.

Sięgnął do kieszeni.

- Chcesz zajarać?

Zatrzymała się i patrzyłam, jak powoli wyciąga pogniecioną paczkę.

- No dobra.

Podał mi papierosa i nawet zapalił zapalniczkę. Pochyliłam się i zaciągnęłam. Jednocześnie wciągnęłam trochę smrodu Pajaka. Szybko się cofnęłam i wypuściłam powietrze.

- Ta... - mruknęłam.

Zaciągnął się swoim, jakby to była najlepsza rzecz na świecie, po czym teatralnie wypuścił dym i się uśmiechnął. A ja pomyślałam: „Zostały mu niecałe trzy miesiące, to wszystko. Biedak, nie ma nic oprócz wagarów i jarania nad kanałem. Co to ma być za życie...?”

Usiadłam na stosie starych podkładów kolejowych. Po nikotynie trochę się uspokoiłam, ale za to Pajaka nie uspakajało nic. Ciągłe był w ruchu, wlaził na podkłady, zeskakiwał, balansował na palcach na samym brzegu kanału i znowu odskakiwał. „I tak, palant jeden, skończy, zeskoczy z czegoś i skręci swój cholerny kark” – pomyślałam.

- Nigdy nie siedzisz spokojnie?

- Nie, nie jestem żaden pomnik. Ani woskowa figura, jak u Madame Tussaud. Człowieku, mam masę energii! – Zatańczył w miejscu na ścieżce. Uśmiechnęłam się, nie mogłam tego powstrzymać. Od lat tak się nie czułam. On też się do mnie wyszczerzył. – Masz całkiem miły uśmiech – dodał.

To wystarczyło. Nie uznaję osobistych uwag.

- Odpieprz się, Pajak – warknęłam. – Odpieprz się i to już.

- Człowieku, spokojnie. To nic nie miało znaczyć.

- Dobra, ale... nie lubię tego.

- Patrząc na ludzi też nie lubisz, co? – Wzruszyłam ramionami. – Ludzie myślą, że zadzieras nosa, zawsze patrzysz w ziemię i nikomu nie chcesz spojrzeć w gały.

- To prywatna sprawa. Mam swoje powody.

Odwrócił się i kopniakiem posłał kamień do kanału.

- Jak sobie chcesz. Słuchaj, już nigdy ci nie powiem nic miłego, okay?

- Okay.

W głowie rozdzwoniły mi się dzwonki alarmowe. Jedna część mnie chciała tego bardziej niż cegokolwiek w świecie – mieć kogoś, z kim mogłabym się trzymać, przez chwilę być jak wszyscy. Reszta mnie wrzeszczała, żeby jak najszybciej stąd uciekać, nie dać się wciągnąć. Przyzwyczajasz się do kogoś – zaczynasz go nawet lubić – a potem on odchodzi. W końcu wszyscy odejdą. Zerknęłam na Pajaka, jak niespokojnie przestępuje z nogi na nogę, zbiera kamyki i rzuca je do wody.

„Nie rób tego, Jem – pomyślałam. – Za kilka miesięcy już go nie będzie”.

W chwili gdy odwrócił się do mnie plecami, cicho wstałam ze swojego miejsca na podkładkach i ruszyłam biegiem. Żadnych wyjaśnień, żadnych pożegnań.

Za sobą słyszałam jego wołanie:

- Hej, a ty dokąd?!

W myślach błagałam, żeby tu został, nie szedł za mną. W miarę jak się oddalałam, jego głos cichł.

- Dobra, bądź sobie taka. Do jutra.

## Rozdział 2

**Ś**wir przekreślił nam śrubę. Ktoś musiał go wkurzyć – cokolwiek się stało, znów wyżywał się na nas. Żadnego gadania, żadnego przeciągania się, klasówka z czytania ze zrozumieniem, pół godziny. Rzecz w tym, że kiedy ktoś każe mi coś zrobić, od razu mam problem. Chcę takiemu komuś powiedzieć, żeby się odpieprzył, zrobię, jak mi się zechce. Nawet jeśli chodzi o coś, na co tak naprawdę mam ochotę. A na test z czytania wcale dziś nie miałam. To znaczy, żeby było jasne, umiem czytać... w zasadzie umiem... tylko niezbyt szybko. Mój mózg potrzebuje czasu, żeby dojść do ładu ze słowami. Jeśli próbuję czytać naprawdę sprawnie, wszystko mi się miesza, słowa nic nie znaczą.

Zresztą tym razem starałam się, jak tylko mogłam. Naprawdę. Karen, moja zastępcza matka, zrobiła mi awanturę za wagarowanie. Wiecie, jak to jest, nie? „Czas się zabrać do roboty... Najważniejsze to zdobyć jakieś kwalifikacje... Życie trzeba brać za rogi...”. Rozmawiała ze szkołą i z moją opiekunką z socjalni – stała ekipa. A ja uznałam, że naprawdę nie mam ochoty dalej się z nimi użerać. Na wszystko się zgodzę, jakiś czas nie będę podskakiwać, tylko niech mi dadzą trochę spokoju.

Pozostałe głąby z klasy też były o dziwo cicho. Wyczuły wredny nastrój Świra i postanowiły nie przeginać. Trochę szurania nogami i wzdychania, ale w zasadzie wszyscy siedzieli w milczeniu i pracowali – w każdym razie udawali, że pracują. Wtedy – bez żadnego ostrzeżenia – ktoś wleciał do klasy. Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że walnęły w ścianę. Pająk wpadł do środka jak kula armatnia, potykając się o własne nogi i niemal nie przewracając.

Nastrój skupienia od razu wyparował. Dzieciaki zaczęły krzyczeć i bić brawo, wołać coś do niego.

Świr nie wyglądał na zaskoczonego.

- A cóż to za wpadanie do klasy?! Proszę wyjść na korytarz i wejść z powrotem jak cywilizowany człowiek.

Pająk przygarbił się, przesadnie westchnął i wznosił oczy do sufitu.

- Rany, psorze... Jestem tutaj, nie? Przyszedłem.

McNulty mówił cicho, ale z jakąś siłą (chyba wiecie, o co mi chodzi), jakby z największym trudem zachowywał spokój:

- Proszę zrobić, co powiedziałem, a wtedy zaczniemy od początku.

- Profesorze, o co biega? Nie muszę tu być, a jestem. Gotów do nauki. – Ironiczne spojrzenie w naszą stronę, powitane brawami. – Dlaczego musi mnie pan tak męczyć? I to publicznie...

Świr wziął głęboki oddech.

- Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłeś dzisiaj zaszczyścić nas swoją obecnością, ale coś cię tu sprowadziło. Jeżeli chcesz uczestniczyć w lekcji, a



mam nadzieję, że tak, wyjdź, wróć po cichu, jak prosiłem, a potem będziemy kontynuować zajęcia.

Zapanowała dłuższa cisza, podczas której McNulty i Pająk patrzyli na siebie. Klasa zamarła, czekając, jak ten pojedynek się rozegra. Nawet Pająk jakby się przyczaił, stał tam i gapił się na Świra, lekko, prawie niezauważalnie kopiąc nogą. Potem odwrócił się i wyszedł, tak po prostu. Każda para oczu w klasie patrzyła, jak wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Poszedł na dobre...? Rozległy się ciche szepty, kiedy pojawił się znowu i wyprostowany jak struna zatrzymał się w progu.

- Dzień dobry – powiedział jak gdyby nigdy nic i skinął Świrowi głową.

- Dzień dobry, Dawson. – We wzroku McNulty'ego czaiła się ostrożność, nie był pewien, jak przyjąć tę pozorną kapitulację. Martwiło go, że zwycięstwo przyszło tak łatwo. Położył na ławce Pajaka arkusz z pytaniami, parę kartek i długopis. – Usiądź i postaraj się to wypełnić jak najlepiej. – Pająk leniwie podszedł do swej ławki, a McNulty wrócił nad przód klasy i obserwował nas stamtąd. – No dobrze, wszyscy spokój. Zostało dwadzieścia pięć minut. Zobaczmy, jak wam pójdzie.

Ale nieoczekiwany powrót Pajaka kompletnie zburzył nastrój. Teraz byliśmy niespokojni, szum nie ustawał. Wszyscy się wiercili, słyhać było rozmowy, krzesła szurały. McNulty nie ustępował, usiłując odzyskać kontrolę nad sytuacją: „Nie kręcić głowami. Ręce przy sobie”. Ale to była przegrana bitwa.

Jeśli chodzi o mnie, słowa fruwały i tańczyły mi przed oczami. Nie miały żadnego znaczenia, takie sobie wzorki, mniej więcej jak chińszczyzna albo arabszczyzna. Bo nie mogłam przestać się zastanawiać, czy Pająk wrócił ze względu na mnie. Tam, nad kanałem, zdawało mi się, że poczułam między nami jakieś ciche porozumienie, a to mnie przestraszyło. Od tego czasu go unikałam. Nie miałam też powodu, by myśleć, że on w ogóle o mnie pamiętał, aż do tej chwili. Teraz mogłabym przysiąc, że idąc w stronę swojej ławki, mrugnął do mnie. Bezczelność. Za kogo on się niby uważa?

Po obiedzie Świr miał dość. Wśród ogólnego hałasu, śmiechów i rozmów nagle padło:

- Dobra, odłóżyc książki, długopisy, kartki. Tak, wy! Już! – (A teraz, o co mu chodziło?) – No, szybciej. Schować wszystko. Musimy porozmawiać.

Przewracanie oczami, ziewnięcia – jasne, będzie nas motywować. Schowaliśmy nasze rzeczy do toreb i kieszeni i czekaliśmy na standardowy wykład: „Niedopuszczalne zachowanie... Marnujecie własne szanse... Brak szacunku...”. Ale nic z tego. Zamiast strzelić nam mówkę, przespacerował się wzdłuż ławek, zatrzymując się przy każdym z nas i mówiąc coś do niego.

- Bezrobotny. Kasjerka. Śmieciarz. – Kiedy dotarł do mnie, nawet się nie zatrzymał. – Sprzątaczką. – Już mnie minął. Doszedł tak aż do końca klasy, po czym odwrócił się do nas. – No i jak się teraz czujecie?

Gapiliśmy się w ławki albo w okna. Poczuliśmy się dokładnie tak, jak chciał – jak śmieci. Wszyscy wiedzieliśmy, jaka przyszłość może nas czekać po szkole, taki nadęty sztywniak nie musiał nam o tym przypomnieć.

Nagle odezwał się Pająk:

- Ja się czuję całkiem nieźle. To tylko pana zdanie, nie? Gównu znaczy. Mogę robić, co tylko zechcę.

- Nie, Dawson, właśnie o to chodzi, że nie. Dlatego chcę, żebyście mnie posłuchali. W tej chwili, z waszym podejściem do życia, tak właśnie skończycie. Ale jeśli postaracie się chociaż trochę, skupicie się, wykorzystacie ten ostatni rok jak najlepiej, wszystko się może zmienić. Z maturą, z przyzwoitym świadectwem, możecie osiągnąć dużo więcej.

- Moja mama siedzi na kasie – to odezwała się Charmaine, dwie ławki ode mnie.

- Tak, i nie ma w tym nic złego, ale ty, Charmaine, mogłabyś być szefową sklepu, gdybyś chciała. Wszyscy musicie patrzeć trochę dalej, zrozumieć, ile możecie osiągnąć. Co chcielibyście robić? No, co chcecie robić za rok, dwa lata, pięć? Lauro, ty zacznij.

Szedł tak po klasie. Większość nie miała pojęcia. Albo raczej wiedzieli, że jego pierwsza ocena była trafiona. Kiedy Świr dotarł do Pajaka, wstrzymałam oddech. Chłopak bez przyszłości, co mu odpowie...?

Oczywiście, że przyjął wyzwanie. Odchylił się na krześle, jakby przemawiał do tłumu.

- Za pięć lat będę jeździł po ulicach w moim czarnym BMW, z muzyką na ful i z kasą w kieszeni.

Pozostali chłopcy powitali tę deklarację gromkimi oklaskami i entuzjastycznymi okrzykami.

McNulty popatrzył na niego z pogardą.

- A jak to zamierzasz osiągnąć, Dawson?

- Trochę tu, trochę tam. Kupować, sprzedawać.

Mina McNulty'ego zmieniła się znacząco.

- Kradzieże, Dawson? Handel narkotykami? – dopytywał chłodno. Pokręcił głową. – Brak mi słów, Dawson. Łamanie prawa, handel ludzkim nieszczęściem, więzienie. To wszystko, o czym marzysz?

- Człowieku, to jedyny sposób, w jaki ktokolwiek z nas może zarobić trochę kasy. Czym pan jeździ, profesorze? Tą starą czerwoną astrą, która stoi na parkingu? Nauczyciel? Dwadzieścia lat praktyki? Ja panu mówię, żadną astrą jeździć nie będę!

- Dawson, usiądź i zamknij się. Ktoś inny, proszę. Jem, może ty?

A skąd ja bym miała wiedzieć, co się ze mną stanie? Nie wiedziałam nawet, gdzie będę mieszkać za rok. Dlaczego on nas tak torturował, dlaczego nam to robił...?

Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam głosem najsłodszy, na jaki mnie było stać:

- Ja, profesorze? Ja wiem, czego chcę.

- To dobrze. Mów.

Zmusiłam się, by spojrzeć mu prosto w oczy. 25122023. Ile miał teraz lat? Czterdzieści osiem? Czterdzieści dziewięć? Czyli odejdzie niedługo po przejściu na emeryturę. I to w samo Boże Narodzenie. Życie jest okrutne, prawda? Obrzydzi rodzinie święta do końca ich życia. I dobrze mu tak, okrutnemu draniowi.

- Profesorze, chcę być dokładnie taka... jak... pan.

Rozpromienił się na sekundę, na jego wargach zaczął się formować półuśmiech, zanim do niego dotarło, że robię sobie jaja. Jego twarz stężała. Pokręcił głową i zacisnął usta w twardą linię, szczęki zwarł tak mocno, że widać było wystające kości.

- Wyjmijcie książki do matematyki – warknął. – Tracę tylko czas – mruknął pod nosem. – Tracę czas...

Kiedy wychodziliśmy z klasy, Pająk przybił mi piątkę. Normalnie takich rzeczy nie robiłam, ale moja ręka sama uniosła się na spotkanie jego ręki.

- Podoba mi się twój styl – oznajmił, kiwając głową z uznaniem. – Nieźle mu dokopałaś. Masz wyniki.

- Dzięki – odpowiedziałam. – Pająk?

- Taa...?

- Nie bierzesz prochów, co?

- Nie, nic mocnego, chciałem go wpieniść. Czasami to za łatwe, nie? Idziesz do domu?

- Nie, mam odsiadkę.

Przez chwilę musiałam się trzymać z tyłu, poczekać, aż tłum się przeredzi. Karen będzie czekała przed bramą. Odprowadzała mnie do szkoły i odbierała, dopóki „nie zasłużę na jej zaufanie”. Mowy nie ma, nie pozwolę komuś stąd, żeby mnie z nią zobaczył.

- To nara.

- Nara.

Kopniakami przerzucił torbę przez drzwi klasy i zniknął w ślad za nią, a ja myślałam: „Pająk, na litość boską, trzymaj się z daleka od prochów. Prochy zabijają. Ja to wiem”.

## Rozdział 3

To był jeden z tych szarych październikowych dni, kiedy w ogóle nie robi się porządnie jasno. Deszcz w zasadzie nie padał – po prostu był, wisiał w powietrzu, tuż przed oczyma, wszystko zamazując. Czułam, jak przesiąka przez bluzę z kapturem, jak zaczyna ziębić mi ramiona i plecy. Byliśmy w centrum handlowym, gdzie betonowe bloki ścian budynków spotykają się z brudną matowo-zieloną smugą kanału.

- Powinniśmy pójść do sklepów, tam jest przynajmniej sucho – zaproponowałam.

Pająk wzruszył ramionami i pociągnął nosem. Dzisiaj nawet jego ruchy były mnie żwawe, jakby pogoda wyssała z niego energię.

- Nie mam kasy. A zresztą, ochrona ma na mnie oko.

- Ja tu nie zostaję. Jest zimno, paskudnie i nudno.

Pająk spojrzał mi w oczy.

- A poza tym?

- A poza tym jest do bani.

Prychnął z uznaniem, po czym okręcił się na pięcie i ruszył ścieżką.

- Chodź, możemy iść do mnie. W domu jest tylko babcia, ona jest w porządku.

Zawahałam się. Odkąd Karen trochę mi odpuściła, tak jakoś zaczęliśmy trzymać się razem po szkole i w weekendy. Nie zawsze – czasami Pająk włóczył się gdzieś z bandą chłopaków ze szkoły. O ile załapałam, trwało to, dopóki się nie pokłócili albo nie pobili, potem przez jakiś czas trzymał się z daleka. Z bandą zawsze są jakieś akcje. Jak u zwierzaków, nie? Małpy czy lwy ciągle ustawiają sobie hierarchię w stadzie, kto jest szefem. Zresztą to nieważne, z jakiegoś powodu w tę sobotę z nimi się nie włóczył. Był ze mną i nudziliśmy się jak cholera. Zupełnie nie było co robić.

Pójść do czyjegoś domu to była dla mnie duża sprawa. Nigdy wcześniej nikt mnie nie zapraszał. Nawet kiedy byłam mała, nie należałam do tych dziewczynek, które w parach i podskokach wychodzą z klasy, czasami trzymając się za ręce, chichocząc z podekscytowania. Zapraszanie przyjaciół na herbatę nie mieściło się w stylu mojej mamy.

- No co ty... - ociągałam się.

Jak zwykle martwiło mnie spotkanie kogoś nowego, to, że nie wiem, czy na niego patrzeć czy nie. Ludzie myślą, że jestem dziwna, bo unikam kontaktu wzrokowego, ale ja naprawdę tylko staram się nie mieszać do ich życia – za dużo informacji.

- Jak sobie chcesz – odparł, wsadził ręce w kieszenie i ruszył samotnie do domu.

Deszcz padał mi na twarz, teraz już mnie wkurzał.

- Zaczekaj! – zawołałam i pobiegłam za Pajakiem.

Poszliśmy razem, w naciągniętych na twarze kapturach i z opuszczonymi głowami, w londyńskiej mżawce.

Do domu Pajaka dotarliśmy w jakieś pięć minut – było to jedno z tych małych dwupoziomowych mieszkań przed Park Estate, w środku rzędu domów, na parterze, z tycim, kwadratowym ogródkiem od frontu. Ten ogródek to było coś – niby tylko trochę trawy, parę kwiatków, ale pośrodku tego kupa małych figurek i innych takich: krasnale, zwierzątka. Strasznie śmieszne.

- Fajny ogródek – powiedziałam, trochę robiąc sobie jaja, a trochę na poważnie.

Pajak się skrzywił.

- To babcia – burknął. – Jest stuknięta.

Przeskoczył niski murek i ruszył przez ten gipsowy tłum. W pewnej chwili zamachnął się nogą w kierunku głowy wyjątkowo okropnego krasnala.

- Nie! – krzyknęłam. Zatrzymał się w połowie kopa. – Są miłe. Nie rób im krzywdy.

- Boże, ty też zaczynasz. – Pokręcił głową i poczekał aż pokonam oblażącą z farby metalową furtkę, a potem na ścieżkę. Otworzył drzwi – musiały być na zatrzask – i zawołał: - To tylko ja babciu, z kumpelą!

Byłam zdenerwowana, ale dotarło do mnie, że powiedział „kumpela”. I to mi się spodobało.

W domu był wąski korytarzyk, a potem od razu pokój. Na każdej półce, na każdej powierzchni coś stało: porcelanowe zwierzątka, talerze, wazoniki. Wyobraźcie sobie wszystkie pchle targi, na jakich kiedykolwiek byliście, wszystko to, co zostało niesprzedane, bo nikt tego nie chciał – tak to wyglądało. Wokół lepki zapach dymu papierosowego, aż powietrze gęstniało. Oczywiście, ani jedno okno nie było otwarte. Smuga dymu dolatywała z drugiego pokoju, poszłam tam za Pajakiem.

Jego babcia siedziała na stołku przy barze śniadaniowym – przed nią gazeta, w ręku kubek herbaty, w zębach pet. W ogóle nie przypominała wnuka. Była drobna, biała – jak ja, z krótkimi, sterczącymi włosami ufarbowanymi na ciemny fiolet. Twarz miała pomarszczoną, twardą.

Patrzyłam, jak się pochyla, żeby ją cmoknąć w policzek, pomyślałam, że gdyby ich zobaczyć na ulicy, człowiek nigdy by nie poznał, że to rodzina. Ale tak teraz bywa, nie? Czasy fotografii rodzinnych – mama, tata, dwoje dzieci, wszyscy wystrojeni, wszyscy tacy sami – czy tak kiedykolwiek bywało? Czy gdziekolwiek się jeszcze zdarza? Tu na pewno nie. Tutaj rodziną są, jakie są – ma się tylko babcię, jak Pajak, albo nikogo, jak ja – czarni, biali, brązowi, żółci, cokolwiek. Tak to już jest.

Kiedy Pajak się wyprostował, babcia spojrzała też na mnie.

- Cześć – powiedziała. – Jestem Val.

Usiłowałam patrzeć w dół, ale z jakiegoś powodu na chwilę podniosłam wzrok, a ona natychmiast go przyciągnęła. Nie mogłam odwrócić spojrzenia. Jej

oczy były niesamowite – orzechowe tęczówki, czyste białka, mimo dymu z papierosów. Nie patrzyła po prostu jak każdy. Nie, ona mnie ogarniała, naprawdę mnie widziała. Zarejestrowałam jej numer: 20022054; kolejne czterdzieści pięć lat z solidnym nałogiem. Szacunek.

- No to kto ty jesteś? – spytała, jej słowa zabrzmiały szorstko, chociaż chyba tego nie chciała.

Nie mogłam zebrać myśli. Nie mogłam sobie przypomnieć choćby własnego imienia. Te oczy uwięziły mnie tak, jak światła samochodu hipnotyzują królika.

Pająk przyszedł mi na ratunek.

- Nazywa się Jem. Pogapimy się w telewizję.

- Za chwilę. Nie śpiesz się. Jem, usiądź na moment.

Ruchem głowy wskazała stołek obok siebie.

- Babciu, daj jej spokój. Nie rób kichy.

- Uważaj, co mówisz, Terry. Nie słuchaj go, usiądź.

Poklepała stołek, ręce miała drobne, z ogromnymi, zakręconymi, żółtymi paznokciami. Posłusznie wdrapałam się na siedzisko.

Babcia Pajaka nie była osobą, z którą można się kłócić, a do tego działa się tu coś jeszcze. Czułam, jakby przepływały między nami jakieś ładunki elektryczne. Było to jednocześnie przerażające i ekscytujące. Po prostu nie mogłam przestać na nią patrzeć. Kiedy wierciłam się na stołku, żeby złapać równowagę, zgasła papierosa i wzięła mnie za rękę.

Wiecie, że nie lubię dotyku innych, ale nie cofnęłam się. Nie mogłam, obie to czułyśmy, trzask, dreszcz, kiedy jej skóra zetknęła się z moją.

Smród stęchłego dymu z jej ust wypełnił mi nozdrza. Zakręciło mi się w głowie. Lubię zajarać, jak każdy, ale cudzą fajkę, z drugiej ręki? Nie.

- Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty – powiedziała ciepło, a ja pomyślałam: „Zgadza się, nie spotkałaś... Ale skąd wiesz, że jestem inna...?”. – Wiesz, co to jest aura? – spytała.

Pająk, który wszedł do pierwszego pokoju, zareagował na to pytanie pogardliwym prychnięciem:

- Dałabyś spokój, ty stara czarownico. Zostaw Jem w spokoju!

- Zamknij się! – rzuciła, po czym ponownie zwróciła się do mnie, a jej słowa wymawiane powoli i starannie weszły we mnie głęboko, jakbym słuchała całym ciałem, nie tylko uszami. – W życiu nie widziałam tak niesamowitej aury, jak twoja. Fioletowobiała. Wszędzie dookoła ciebie. Fiolet to twoja energia duchowa, a biały kolor znaczy, że umiesz ją dobrze skoncentrować. To naprawdę niezwykle, nigdy dotąd nie widziałam człowieka z taką aurą – powtórzyła.

Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi, a jednocześnie bardzo chciałam zrozumieć.

- Jem, twoja aura to energia, którą nosisz w sobie. Promieniuje z ciebie, w najróżniejszych kolorach. Aura powie ci o człowieku więcej niż cokolwiek

innego. Każdy ma swoją, ale nie każdy umie aury dostrzec. Tylko my, wybrańcy. – Zmrużyła oczy. – Ty też je widzisz, prawda?

- Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Nie wiem, o czym pani mówi.

- Durnoty i tyle! – wrzasnął Pająk.

- Synu, za moment będę cię mieć naprawdę dość! Przymknij się! – Nachyliła się mocniej w moją stronę i ściszyła głos. – Jem, mnie możesz powiedzieć. Ja rozumiem. To dar, ale i przekleństwo. Czasami dowiadujesz się więcej, niżbyś chciała.

Poczułam uścisk w brzuchu. Wiedziała, jak to jest. Po raz pierwszy w życiu spotkałam kogoś, kto rozumiał. Boże, chciałam jej powiedzieć, jasne, że tak, ale piętnaście lat na życie się z tajemnicą to mnóstwo czasu. Niemówienie nic nikomu staje się częścią charakteru. W głębi serca wiedziałam, że kiedy zaraz zacznę o tym opowiadać, nawet komuś tak wyjątkowemu, jak babcia Pajaka, wszystko się zmieni. A na to nie byłam gotowa. Jeszcze nie teraz.

- Nie. Ja niczego nie widzę – wymamrotałam.

Udało mi się oderwać wzrok od jej przeszywającego, wiele wiedzącego spojrzenia.

Odchyliła się i westchnęła – niemal widziałam jej oddech, taki był gęsty.

- Jak chcesz – powiedziała, zapalając kolejnego papierosa. – Teraz wiesz, gdzie jestem. Będę tutaj. Zawsze.

Kiedy ześlizgnęłam się ze stołka i ruszyłam na poszukiwanie Pajaka, czułam, jak jej wzrok wwierca mi się w plecy.

Pająk siedział rozwalony w fotelu, długie nogi przewiesił przez poręcz i majtał stopami.

- Nie przejmuj się nią. Dawno temu ją pojebało. Prawda?! – krzyknął. – Sport czy coś innego? – zapytał, skacząc po kanałach.

Wzruszyłam ramionami, potem zauważyłam na podłodze czarną skrzynkę.

- PlayStation?

Rozwinął się z fotela i padł na dywan, grzebiąc w sporym stosiku gier.

- Tak, Grand Theft Auto?

Kiwnęłam głową.

- Nie masz szans – zaśmiał się. – Mam wprawę. Jestem w tym najlepszy.

I był. Powinno to była przewidzieć. Chłopaki zawsze jakoś wiedzą, jak jeździć i strzelać. Mają to we krwi, nie? Nie dawała się rozproszyć ani nic, ale on miał talent, szybkość i agresję. W grę wkładał wszystko, skupiał się, jakby od tego zależało jego życie, grał całym ciałem. Walczyłam, ale za każdym razem mnie pokonywał.

- Nieźle, jak na dziewczynę – drażnił się ze mną.

Pokazałam mu fucka. Uśmiechnął się, a ja poczułam, że pasuję do domu przy 32 Carlton Villas całkiem nieźle.

Trochę pogapiliśmy się na telewizję, ale były same głupoty. Cholerny „Idol” czy coś. Tysiące Luberów stało w kolejkach godzinami, jak bydło, myśląc, że zrobią karierę. Głaby. Nawet ci, którzy umieją śpiewać. Naprawdę myślą, że

świat się nimi przejmie - da im sławę, pieniądze, wszystko...? Simonowie Cowellowie\* tego świata zarobią na nich tyle kasy, ile się da, potem wyrzucą, tam, skąd przyszli. To nie jest przyszłość, nie? To tylko wzmacnianie ego. Naiwniaki. Ale i tak mieliśmy z nich niezły ubaw, Pająk i ja. Okazało się, że śmieszą nas takie same rzeczy. Miło było tak siedzieć – mimo dymu i zatachłego zapachu, który ciągnął się za Pajakiem wszędzie. Cały czas pamiętałam jednak o jego babci, wciąż przycupniętej na stołku w kuchni, jak ten ptak, sokół czy myszołów, czy coś. Sęp. Słuchającej nas. Wyczekującej.

- Lepiej już pójde – powiedziałam w końcu.

Pająk rozwinął się i wstał z krzesła.

- Pójde z tobą.

- Spoko. Nie mam daleko.

- Odwiózłbym cię, gdybym miał wózek. – Zastanowił się. – Chcesz, to jakiś skombinuję.

Spojrzałam na niego. Mówił śmiertelnie poważnie, usiłował zrobić na mnie wrażenie, tak myślę.

Ruszyłam do drzwi. Nie chciałam się wplątywać w nic tego rodzaju. Nie trzeba mi było żadnego zamieszania. Słyszałam, jak babcia kręci się po kuchni, jak zatrząskują się drzwiczki mikrofalówki, piszczą przyciski, gdy ustawia czas gotowania.

- Twoja kolacja jest prawie gotowa – rzuciłam. – Nara. Do widzenia! – zawołałam od drzwi do Val, nie chcąc znowu z nią rozmawiać.

Jej twarz pokazała się w kuchennych drzwiach. Kiedy spojrzała mi w oczy, znów połączyła nas błyskawica.

Co takiego było w tej kobiecie...?

- Na razie, kochanie – odparła. – Na pewno jeszcze się zobaczymy.

I mówiła to poważnie.

\* Simon Cowell – brytyjska osobowość telewizyjna, występuje często jako sędzia w programach o poszukiwaniu talentów (takich jak „Idol”); znany z brutalnych, kontrowersyjnych wypowiedzi. [przyp.tłum.]



## Rozdział 4

**C**hcę, żebyście dziś napisali o swoim najlepszym dniu w życiu. Nie przejmujcie się za bardzo ortografią ani znakami przystankowymi. No, może tylko od czasu do czasu. Piszcie prosto z serca.

Kolejny przykład okrucieństwa Świra, kazać nam myśleć tym smutnym i bezsensownym życiu. Czego on się spodziewał? Dzień, w którym tatuś kupił mi nowego kucyka...? Nasze wakacje na Bahamach...? Nie lubię patrzeć wstecz. Niby po co? Przeszłość to przeszłość, nic już się z tym nie da zrobić. Nie mogę wybrać sobie jednego dnia i powiedzieć, że był najlepszy. Łatwiej byłoby mi wybrać najgorszy, tu mam parę typów – chociaż i tak nie opowiedziałabym Świrowi o żadnym z nich. Nie jego interes! Zastanawiałam się, czy po prostu nie odmówić napisania czegokolwiek. Co by mi zrobił? Ale potem coś we mnie pękło i pomyślałam: „Sam tego chciałeś... Teraz powiem ci, jak to jest”. Wzięłam długopis i zaczęłam pisać.

- Koniec! – W klasie rozległy się głośne protesty. – Odkładamy długopisy! Jeśli nie skończyliście, trudno. A teraz, zamiast oddawać mi pracę, chcę, żebyście je przeczytali na głos.

Otwarty bunt, okrzyki: „Mowy nie ma!” i „Spadaj!”. Poczułam zimno, wiedziałam, że popełniłam błąd.

- Chcę, żeby każdy z was wstał i głośno odczytał swoje słowa. Nikt z nikogo nie będzie się śmiał! Wszyscy jedziecie na tym samym wózku. Spróbujcie. – Protesty ucichły. – Amber, ty zacznij. Może staniesz przed klasą? Nie...? Dobrze, zostań w ławce i przeczytaj wypracowanie głośno i wyraźnie, żeby wszyscy słyszeli.

I tak cała klasa po kolei. Wakacje, urodziny, jednodniowe wyjazdy. W sumie do przewidzenia. Potem jeden chłopak, Joel, opisał, jak urodził się jego młodszy braciszek, i w klasie zmienił się nastrój. Nagle wszyscy zaczęli słuchać, kiedy opowiadał, jak w domu, w łazience, pomagał mamie owinąć niemowlaka w stary ręcznik. Kiedy skończył, parę dziewczyn powiedziało: „Ooo”, a przyjaciele przybijali mu piątkę, gdy wracał na miejsce. Trzeba przyznać, zrobił coś dobrego, ale w środku było mi źle – dobijała mnie myśl o tej bezbronności, niewinności, a raczej świadomości, że dla każdego, nawet dla tego malucha, koniec jest zapisany już pierwszego dnia życia... Nie, nie, ja z dziećmi nie chcę mieć nic wspólnego.

Pająk był następny. Powłócząc nogami, wyszedł na przód klasy, postać trochę, przestępując z nogi na nogę i wpatrując się w kartkę przed sobą. Widać było, że wolałby być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

- Rany, muszę to robić? – zapytał, opuszczając rękę z kartką i wyginając kark, żeby spojrzeć w sufit.

- Tak – oznajmił twardo McNulty. – No, słuchamy.

Miał rację. W klasie było cicho. Temat wciągnął.

- Okay. – Pająk podniósł kartkę na wysokość twarzy, żeby nie widzieć nikogo i przez nikogo nie być widzianym. – Mój najlepszy dzień był wtedy, kiedy babcia zabrała mnie nad morze. To miejsce miało niezłą nazwę, jak Weston-Super-Cośtam. Godzinami jechaliśmy autobusem i zasnęłam. Kiedy dotarliśmy na miejsce, w życiu nie widziałem takiej przestrzeni. Morze ciągnęło się kilometrami i była tam taka ogromna plaża... Zjedliśmy frytki i lody, i były osiołki. Przejechałem się na osiołku, straszne dziwne to było, ale super. Gdzieś tam mieszkaliśmy, przez parę dni. Tylko ja i babcia. Zajebicie.

W tylnych rzędach kilkoro dzieciaków zadrzało, ale w przyjacielski sposób. Ramiona Pajaka trochę opadły, odprężył się. Robota wykonana. Wrócił na swoje miejsce.

Niedługo przyszła moja kolej. Miałam dreszcze, czułam każdy nerw, kiedy czekałam, aż McNulty mnie wywoła. W końcu...

- Jem, teraz chyba twoja kolej.

Kiedy szłam pod tablicę, czułam się naga. Odwróciłam się, nie podnosząc wzroku, nie chciałam widzieć, jak oni na mnie patrzą. Może powinnam wymyślić coś naprędce, udawać, że jestem taka sama jak reszta, stworzyć milutką historyjkę o idealnym Bożym Narodzeniu, prezentach pod choinką itp. Ale nie myślę aż tak szybko, nie kiedy jestem w centrum uwagi... Też tak macie? Dopiero po wszystkim przychodzi wam do głowy to, co należało powiedzieć, odpowiedź, po której wszyscy bez wyjątku by się zamknęli? Stałam tam – wystraszona, spanikowana – i nie miałam wyboru, musiałam przeczytać swój tekst na głos. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam.

„Mój najlepszy dzień w życiu. Wstałam. Zjadałam śniadanie. Przyszłam do szkoły. Nuda, jak zwykle. Żałuję, że muszę tu siedzieć – jak zwykle. Wszyscy mnie ignorują – i dobrze. Siedzę z innymi niedorozwojami – tacy jesteśmy wyjątkowi. Marnuję czas. Wczoraj było tak samo, ale co tam, już minęło... Jutro może w ogóle nie przyjść. Jest tylko dzisiaj. To jest najlepszy dzień i najgorszy dzień. Wszystko gówno warte”.

Kiedy przestałam, zapanowała cisza. Nie podnosiłam wzroku, oparłam się tylko o tablicę, cała aż obolała ze wstydu. Cisza huczała mi w głowie, ogłuszała mnie.

- Wyluzuj. Może nic się nie stanie! – ktoś zawołał.

I zaczęły się znajome śmiechy i drwiny.

Nagły trzask kazał mi podnieść oczy. Pająk przeskakiwał ponad rzędami ławek i krzeseł. Kiedy dopadł z tyłu do żartownisia, chłopaka o imieniu Jordan, walnął go pięścią w twarz. Klasa eksplodowała, Jordan mu oddał, a pozostali stłoczyli się wokół nich jak rozwrzeszczane stado. McNulty rzucił się za Pajakiem na tył klasy. Przedarł się przez tłum, odpychając dzieciaki na boki.

Zgniotłam kartkę z wypracowaniem i pozwoliłam, by upadła na podłogę. Potem wyslizgnęłam się za drzwi i ruszyłam w głąb korytarza. W głowie miałam tylko jedno – zniknąć, znaleźć miejsce, gdzie mogłabym być sama. Nigdy już nie chciałam wracać do tej sali tortur. Łaziłam bez celu całymi

godzinami, byle być tam, gdzie nikt cię nie widzi i gdzie nikogo nie obchodzisz – póki się nie zmęczyłam chodzeniem po ciemku.

W końcu dotarłam do domu Karen, weszłam przez kuchenne drzwi. Miałam nadzieję, że będzie już w łóżku – w końcu minęła północ – ale ona siedziała przy kuchennym stole, z poszarzałą twarzą i kubkiem herbaty w ręku. U Karen bywali wszyscy: niemowlaki, małe dzieci, nastolatki z problemami jak ja. Dwadzieścioro dwoje dzieci pod opieką. To ją wykańczało. Znowu zarejestrowałam jej numer. 14072012. Zostały jej tylko trzy lata.

- Jem! – zawołała. – Nic ci się nie stało? Dziewczyno, gdzieś ty była?

- Na dworze – odparłam na odczepnego.

Nie miałam sił na żadne tłumaczenie.

- Jem, wejdź. Usiądź.

W tej chwili nie wyglądała na szczególnie wściekłą, tylko na zmęczoną.

- Chcę się położyć.

Otworzyła usta, jakby miała mi zacząć robić wykład, ale rozmyśliła się, westchnęła tylko i kiwnęła głową.

- Dobrze, porozmawiamy jutro. Ale porozmawiamy. – To była groźba, nie obietnica. – Lepiej zadzwonię na policję, zgłosiłam twoje zaginięcie. Masz, weź to. – Podała mi swój kubek, ciągle pełny w trzech czwartych.

Poszłam na górę, postawiłam kubek na stoliku przy łóżku i bez rozbierania się wlałam pod kołdrę. Ułożyłam poduszki i sięgnęłam po herbatę. Dopiero kiedy ciepły, słodki płyn wypełnił mi żołądek, poczułam, jaka byłam zmarznięta i pusta.

Padnięta i brudna nie mogłam zasnąć. Siedziałam więc przez całą noc, z kołdrą naciągniętą pod brodę, dopóki promienie światła nie przedostały się przez zasłony. Gdzieś między jawą a snem dotarło do mnie, że zaczął się kolejny ponury dzień.

## Rozdział 5

**W** klasie ciągle wrzało. Z plotkarzami musiałam się użerać sama, bo Pająka zawiesili na trzy tygodnie. Jak się później okazało, nigdy do szkoły nie wrócił. Pewnie gdyby o tym wiedział, zrobiłby Jordanowi coś więcej niż tylko podbicie oka i rozwalenie wargi. Krążyły słuchy, że Pająka przesłuchiwała policja, gadało się też, co mu zrobi Jordan, kiedy obaj wrócą do obiegu. Na razie wszyscy woleli dokopywać mnie.

- I co zrobisz, jak twojego chłopaka nie ma? Nie ma kto bronić honoru królewny, tak?

- Zakochana para, Jem i Pająk!

Oczywiście mówiłam, żeby spieprzali, ale to nic nie dawało. Byli jak stado psów, które dorwały kość.

Przez parę dni jakoś to znosiłam, w końcu miarka się przebrała. Wychodziłam do szkoły jak zwykle, ale potem skręcałam za sklepy, przechodziłam przez park albo szłam nad kanał i siedziałam tam sama.

Nie żałujcie mnie, byłam do tego przyzwyczajona. Działo się tak w każdym miejscu, w którym mieszkalam, w każdej szkole, do której chodziłam. Trochę da się wytrzymać, ale w końcu przychodzi chwila, kiedy człowiek więcej nie zniesie, musi uciec od wszystkiego. Wiele dzieciaków tak się czuje, a ja szczególnie. Szkoła miesza nas z tyloma innymi ludźmi – jak w kurniku – a jak wiecie, ja naprawdę nie lubię towarzystwa. Wszystko jest prostsze, kiedy trzymam się z boku.

Przez kilka dni nieźle mi się też udawało unikać Pająka. Widziałam go parę razy, ale pilnowała się, żeby on nie zauważył mnie. Ta cała awantura narobiła mi wstydu. Co on sobie wyobrażał, że się wtrącił i zrobił przedstawienie z nas obojga? Myślałam o tym i było mi trochę smutno. Przez kilka dni miałam kumpla, tak jakby. Ale (jak wszystko inne) to też się za bardzo pokomplikowało i musiało się skończyć. Jeżeli ta afera z Jordanem miała mnie czegoś nauczyć, to nic z tego – i bez niej wiedziałam: Pająk to tylko kłopoty, ten rodzaj kłopotów, których mi nie trzeba. Ale fakt, czułam się tak, jakbym za nim tęskniła...

I wiecie co? Tak naprawdę nie mogłam go utrzymać z dala od mojego życia. Pająk i tak się nie odczepił – jak smród, który się snuje za człowiekiem, albo kawałek gumy do żucia przyklejony do buta. Można powiedzieć, że nie byłam w stanie się go pozbyć, że byliśmy dla siebie stworzeni...

Tak czy inaczej w tamtą środę na moment przestałam uważać. Patrzyłam na kogoś, na starego dziadka. Wpadł na mnie dziesięć minut wcześniej, zapytał, czy nie mam na zbyciu drobnych. Potem szłam za nim po High Street. Teraz grzebał w koszu po drugiej stronie ulicy, a ja opierałam się o ścianę i obserwowałam go, kiedy poczułam znajomą kwaśną woń i usłyszałam szept:

- Co robisz?

Byłam totalnie skupiona na starym, więc nawet się nie odwróciłam, tylko rzuciłam, jakbyśmy się widzieli przed pięcioma minutami:

- Pająk, który dzisiaj?

- Czy ja wiem...? Dwudziesty piąty...?

Stary wyciągnął coś z kosza, pół hamburgera zawinięte w papier. Rozejrzał się szybko, czy ktoś inny też nie czatuje na taki skarb, na sekundę spotkały się nasze spojrzenia. Jeszcze raz zobaczyłam jego numer: 25112009.

Wcisnął hamburgera pod pachę i splótł ręce, a potem ruszył w dół ulicy. Ja za nim.

- Dokąd to?! – zawołał zdziwiony Pająk.

- Idę tam.

Dogonił mnie.

- Po co?

Zatrzymałam się, nie spuszczać z oka dziadka, który przemykał przez tłum.

- Chcę śledzić tego gościa – odparłam ściszym głosem. – Tego starego w swetrze.

- Ale o co ci chodzi? Jem, nie musimy nikogo obrabiać. Mam kasę. – Poklepał się po kieszeni. – Jeśli czegoś chcesz, mów.

- Nie, nie chcę go obrobić, tylko śledzić. Jak szpieg – odparłam szybko, usiłując zrobić z tego zabawę.

Wyraz twarzy Pajaka mówił: *Odbiło ci*, ale tylko wzruszył ramionami i powiedział:

- Okay.

Poszliśmy więc dalej, przyspieszając, kiedy dziadek skręcił za róg. Wszedł w boczną uliczkę, tam było mnie ludzi. Byliśmy od niego jakieś dziesięć metrów, kiedy się odwrócił i nas dostrzegł. Wiedział, że miałam go na oku, gdy znalazł hamburgera w koszu. Zdziwiony i podejrzliwy znowu się odwrócił i zaczął na pół iść, na pół biec.

- Kobieto, nakrył nas – mruknął Pająk. – Co teraz?

Chciałam zobaczyć, co się stanie z dziadkiem, ale nie chciałam starego wystraszyć, nie w jego ostatnim dniu.

- Poczekajmy trochę. Idzie do parku, nie? Dajmy mu tam dojść. Chcesz zajarać?

Zapaliliśmy, a potem ruszyliśmy powoli w stronę parku. Na samym końcu uliczki śpieszył się dziadek. Dotarł do skrzyżowania z główną ulicą, już widać było park. Zajrzał pod pachę – tak, hamburger nadal tam był – a potem obejrzał się przez ramię. Chociaż byliśmy daleko, zorientowałam się, że nas widzi, że się denerwuje. Właśnie miałam powiedzieć Pająkowi, żebyśmy dali spokój, kiedy dziadek, oglądając się raz po raz za siebie, wyszedł na jezdnię.

Samochód z obrzydliwym hukiem walnął prosto w starucha. Najpierw wciągnęło go do połowy maski, a potem wyrzuciło w górę. Było jak w reklamie bezpiecznej jazdy w telewizji, ale tam używają manekinów, nie? To działo się

naprawdę – prawdziwe ciało, szaleńczo wymachujące kończyny, głowa szarpana do przodu i do tyłu, a w końcu lądowanie na twardej ziemi.

Przez kilka sekund staliśmy nieruchomo, usiłując pojąć, co się stało. Ludzie wrzeszczeli, zaczęli zbierać się dookoła. Pająk ruszył biegiem w ich kierunku.

- Chodź, zobaczymy, czy nic mu nie jest!

Zostałam w tyle. Nie chciałam już nic widzieć. Jeśli gość jeszcze nie był martwy, to niedługo będzie, w każdym razie przed północą. Dzisiaj był jego dzień. Nic nie da się zrobić.

Pająk był już na końcu ulicy, usiłował dojrzeć coś nad tłumem. Powoli podeszłam do niego. Jakaś dziewczyna piszczała, wysoko i nieustająco. Przyjaciółka ją odprowadzała. Między gromadą ludzi widziałam ciało. Kupka niedopasowanych zniszczonych ubrań z czymś w środku. Nie kimś, już nie. Kimkolwiek dziadek był, już odszedł. Odszedł tam, gdzie ludzie odchodzą, gdzie jest mama. Do nieba? Jeśli chodzi o mamę, to raczej do piekła. Albo nigdzie. Po prostu odszedł.

Dotknęłam ramienia Pajaka.

- Chodźmy.

Oderwał się od tłumy i ruszyliśmy w stronę jego domu. Był ciszy, kręcił głową.

- To my go przestraszyliśmy. Bał się...

- Wiem – szepnęłam.

Pająk powiedział na głos to, co już mnie dręczyło: *to ja spowodowałam dziś śmierć*. Ja wygoniłam starucha na ulicę. Gdyby nie ja, siedziałby w parku i jadł tego swojego zdechłego hamburgera. Może to by go wykończyło, zakrztusiłby się kęsem mięsa czy bułki. Może czekał go zawał.

Wszystko fajnie, tylko co zrobić z tą wciąż powracającą myślą, którą bezskutecznie usiłowałam odpędzić – może dzisiaj wcale nie był jego ostatni dzień. Może to, że mnie spotkał, sprawiło, że ten dzień stał się ostatnim...

Zanim się zorientowałam, byliśmy u Pajaka. Zatrzymałam się przed bramką.

- Chyba pójde do Karen – powiedziałam.

Potrzebowałam spokojnego miejsca, żeby sobie to wszystko poukładać w głowie.

- Nie, lepiej wejdz na trochę. Po czymś takim nikt nie chce być sam.

Nie wiedział, że miałam powód, by się wahać – orzechowe oczy, które widziały moje tajemnice. A co mi tam...

Val siedziała na swojej grzędzie w kuchni. Pająk pochylił się, żeby ją cmoknąć w policzek.

- Puścili was wcześniej? – spytała, zerkając na kuchenny zegar.

- Co? – Było w pół do drugiej. – Babciu, wiesz, że mnie zawiesili. Proszę, nie mów, że całkiem ci już odbija. A Jem... Jem ma indywidualny tok nauki.

Wyszczrzył zęby, a Val uśmiechnęłam się do niego. Wiedziała, co jest grane.

- To teraz poczytacie sobie podręczniki, co?

Przeniosła wzrok na mnie. Bezpośredni, widzący, niepozwalający się ukryć.

- Nie, musimy trochę wyluzować. Widzieliśmy, jak jednego dziadka potrącił samochód.

Odłożyła papierosa.

- Nic mu się nie stało?

- Zabiło go. Zginął na miejscu, na tej ulicy koło parku. Wszystko widzieliśmy.

Głos mu lekko drżał. Czyli nie taki z niego twardziel.

Val wstała z grzędy i podeszła do czajnika.

- Aż tak? Lepiej usiądźcie. Zaraz zrobię wam herbaty. Dobra, słodka herbata, tego wam teraz trzeba. Cholerny ruch, co? Nie można już nawet normalnie przejść przez cholerną ulicę.

Krzątała się, a my siedzieliśmy w saloniku. Przyszła do nas z trzema kubkami i paczką herbatników na tacy. Postawiła ten cały towar na pufie pośrodku pokoju i dysząc, usiadła w fotelu.

- Krzesła szkodzą mi na kręgosłup. No, pijcie.

Popijałam gorącą herbatę, a Pająk i jego babcia maczali w swoich kubkach herbatniki i siorbiąc, wciągali nasiąknięte kęsy.

- Czyli tak sobie szliście i wszystko widzieliście, co...?

Podchyliłam spojrzenie Pajaka. Ale nie musiałam się martwić, żadne z nas nie chciało jej mówić, że dziadek w swoich ostatnich minutach życia był przerażony, że chcemy go okraść.

- Tak, właśnie tak.

- Wstrząsając, nie? Człowiek nigdy nie wie, co go czeka za rogiem.

Pająk poszedł do łazienki, zostawiając mnie z nią samą. Nachyliła się w moim kierunku.

- Jem, wszystko w porządku...? Coś takiego potrafi człowiekiem wstrząsnąć, prawda?

Pokiwałam głową.

- Powiedz, czy widziałaś już wcześniej zwłoki? Czy to był pierwszy raz?

Chryste, ta się nie patyczkowała, nie?

Powinłam jej była po prostu powiedzieć, że nie chcę o tym mówić. Ale, jak wspominałam, coś w niej było – opór był niemożliwy.

- Moją mamę – odparłam cicho.

Val otworzyła szeroko usta, a potem pokiwała głową, jakby cały czas o tym wiedziała. To mi się podobało – nie zawstydziła się ani nie zaczęła opowiadać, jakie to okropne. Po prostu pokiwała głową. Mówiłam dalej.

- No, to ja ją znalazłam. Umarła w łóżku. Przedawkowała. Nie chciała tego. To znaczy, tak mi się wydaje. Czysty pech.

Znowu pokiwała głową.

- Pech. Jak mój Cyryl. Umarł, gdy miał czterdzieści jeden lat. Zawał. Nikt nie wiedział, że jest z nim źle. Nie było żadnych ostrzeżeń. Teraz jest tam, na kominku.

Popatrzyłam na półkę. Rzeczywiście, między porcelanowymi pieskami i mosiężnymi świecznikami stało oprawione w ramkę zdjęcie, profesjonalne, robione u fotografa. Czarno-białe, tylko głowa i ramiona. Przystojny facet, z takim błyskiem w oku. Tylko kawałek papieru w ramce, ale umiał dotrzeć do człowieka, sprawić, że też chciało się uśmiechnąć.

- Przynieś go to, skarbie, śmiało. – Z oporem i niepewnie podeszłam do kominka. – No, weź go. – Sięgnęłam po ramkę. – Nie, Jem, nie zdjęcie – skarciła mnie ostro. – Prochy w urnie.

Co takiego...? Fakt, zdjęcie stało obok solidnej drewnianej skrzynki. Zawahałam się.

- No, śmiało. Nie ugryzie.

Przesunęłam na bok parę bibelotów i wzięłam skrzynkę. Była zaskakująco ciężka – lite, gładkie drewno z małą, metalową tabliczką na wieczku: *Cyryl Dawson, zmarł 12 stycznia 1992 w wieku 41 lat.*

Ostrożnie przeniosłam urnę i postawiłam na pufie obok tacy. Val pochyliła się i pogłaskała pokrywę.

- Wszyscy mówią, że to strasznie umrzeć młodo, ale miał wspaniałe życie, życie młodego człowieka. Ominęły go bóle i strzykania. – Dotknęła ręką pleców. – To całe spowalnianie, gdy wszystko się sypie. Mój Cyryl żył pełnią życia, żył jak lew i zgasł jak świeca. Ot, tak! – Pstryknęła palcami. – Wiesz, Jem, śmierć nie jest taka zła. – Znowu położyła rękę na skrzynce, głaszcząc kciukiem mosiężną tabliczkę. – Tyle że tak się za nimi tęskni. Za tymi, którzy odchodzą. Tęskni się za nimi.

Pająk oderwał się od framugi drzwi, o którą stał oparty i objął babcię ramionami.

- To twój sposób na wkurzenie Jem? Głupia krowa!

- Hej ty, przestań mi zaraz!

Jej ręka wystrzeliła w górę, żeby go trzepnąć. Złapał ją, zanim go dosięgła, i znów cmoknął babcię w policzek. Dłoń starszej pani na chwilę spoczęła czule na twarzy wnuka. – To nie jest zły chłopak, Jem. Nie jest zły. Odstaw dziadka na miejsce, synu.

- Val – odezwałam się, zanim zdążyłam się zastanowić. – Jaką aurę miał Cyryl?

Na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Potem uśmiechnęła się, demonstrując piękny zestaw krzywych, pomarańczowych zębów.

- Wiesz co, sama chciałam to wiedzieć. Ale aury zaczęłam dostrzegać dopiero, kiedy odszedł, kochanie. Pewnie żal i to wszystko otworzyły moją duchową stronę. Nigdy wcześniej ich nie widziałam. – A zaraz po tym cicho i przyjaźnie zapytała: - A ty, co ty widzisz, Jem? – Wcisnęłam się z powrotem w kanapę. – No, co widzisz? Wiem, że to masz, bo... Jem, jesteśmy takie same. Wiemy, jak to jest kogoś stracić...

Val zaskoczyła mnie w chwili nieuwagi. A ja... ja tak bardzo chciałam jej powiedzieć... Pragnęłam ścisnąć jej kościstą dłoń, poczuć jej siłę. Wiedziałam,



że mi uwierzy. Wreszcie mogłam podzielić się swoją tajemnicą, zrzucić część tej samotności, którą mi przyniosła. Chwiałam się na krawędzi – Val przyciągała mnie do siebie. Tak się miało stać...

- Babciu, jeśli będziesz robić wodę z mózgu każdemu, kogo przyprowadzę, to nigdy nie znajdę kumpli. Na litość boską, daj jej spokój! – Głos Pajaka przeciął niewidzialną nić energii między mną a Val niczym miecz. Uwolniona, aż podskoczyłam. – Chodź, chcę ci pokazać moją nową wieżę. Szczena ci opadnie.

Pająk zaprowadził mnie na górę do swojego pokoju.

Gdy wychodziłam z saloniku na korytarz, obejrzałam się. Val nadal na mnie patrzyła, nie odrywając wzroku nawet wtedy, gdy wygrzebywała z paczki kolejnego papierosa.

## Rozdział 6

**N**a klatce schodowej pulsowała muzyka. Przeciskałam się między nogami, brzuchami, plecami. Ludzie ledwie zauważali, że przechodzę: nawalali się, wczuwali w rytm, wczuwali w siebie.

A ja szukałam Pajaka.

- Baz urządza imprezę w sobotę wieczorem – oznajmił dzień po tym, jak zginął ten włóczęga. Znowu byliśmy nad kanałem, rzucaliśmy kamieniami w puszkę. – Ja idę, to jasne. Ty też wpadnij, jakoś tak po dziesiątej. Trzecie piętro, Nightingale House.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Poinformował mnie o tym tak niedbale, ale impreza w sobotę brzmiała mi podejrzanie – całkiem jak randka, a mowy nie było, żebym wdawała się w te wszystkie męsko-damskie pierdoły. Z trudem oswoiłam się z myślą, że mam kumpla. Od przyjaźni był naprawdę spory krok do czegoś więcej. Zresztą, żebym zaczęła mieć na to ochotę (choć w życiu bym się do tego nie przyznała), musiałby to być ktoś przyzwoity. Rzadko zdarzało mi się o tym myśleć, ale jeśli już, to wyobrażałam sobie kogoś przystojnego, może niekoniecznie dziesięć punktów na dziesięć, ale co najmniej osiem. Nie ktoś taki jak Pajak – wysoki, chudy, rozdygotany, z megaproblemami z higieną osobistą. I tylko paroma tygodniami życia.

Musiałam go rozgryźć, dojść, czy te niedorozwoje ze szkoły miały rację. Chciałam zachować ostrożność, by żadne z nas nie wyszło na kretyna. Przecież nie jestem skończoną suką.

- Pajak? – zaczęłam ze znakiem zapytania w głosie.

- Tak.

- Wiesz, w szkole... Dlaczego się wtrąciłeś...?

Pajak zmarszczył brwi.

- Nie szanował cię, Jem. To, co powiedziałaś... wiedziałem, że to prawda. Naprawdę to czułaś. Nie miał prawa robić sobie jaj.

- Tak, wiem, Jordan to palant, ale to nie ma nic wspólnego z tobą. Zrobiłeś z siebie prawdziwy cyrk. I ze mnie.

- Nie chciałem, żeby mu to uszło na sucho.

- Tak, ale ja nie potrzebuję rycerza. Sama się sobą zajmę. – Uśmiechnął się lekko. – Stary, to nie jest śmieszne. Teraz wszystko jest gorzej – powiedziałam cicho. – Ciągłe słyszę jakieś komentarze, o tobie i sobie. Głupie komentarze.

Odwrócił wzrok, zapatrzył się na swoje dłonie. Kostki prawej niemal się zagoiły.

W ustach mi zaschło, ale musiałam to z nim wyjaśnić.

- Pajak, wiesz, że nie ma żadnego „ty i ja”, prawda?

Podniósł wzrok.

- Co?

- Nie jesteście, no... razem. Tylko kumple.

Odpowiedział: „Tak, jasne. Tylko kumple. Kumple. Luz”, jednak coś w jego obrażonej minie kazało mi myśleć, że czuł dokładnie odwrotnie. Wgłębi duszy klęłam się za tamten dzień pod mostem. Ludzie są tak cholernie trudni. Po co ja się w to w ogóle wplątałam...?

Wstał i wyciągnął ramię w moim kierunku. Pomyślałam: „Cholera, obejmie mnie! Czy on w ogóle mnie słuchał...?”. Ale on zacisnął tylko dłoń w pięść i lekko trącił mnie żółwikiem.

- Słuchaj, wiem, jaka jesteś. Mówiłem ci, że nigdy ci nie powiem nic miłego. A od teraz ominę też robienie czegoś miłego. Okay? Jeśli ktoś cię nie będzie szanował, to mu pozwolę. Jeśli cię napadną na ulicy, pójdę dalej. Jeśli zaczniesz się palić żywym ogniem, nawet na ciebie nie nasikam. Okay?

Uśmiechnęłam się i odprężyłam. Tak jest lepiej, trochę humoru, trochę dystansu. I miał rację, zaczynał mnie poznawać. Nikt inny nigdy nie umiał tak się ze mną drażnić, sprawić, że się uśmiecham. Po tym wszystkim, jak go od siebie odepchnęłam, niemal miałam ochotę go objąć. Niemal. Ale oczywiście tego nie zrobiłam. Zamiast tego nasze pięści spotkały się w żółwiku.

- Szafa gra, człowieku?

- Tak, Pająk – odparłam. – Szafa gra.

- To przyjdiesz w sobotę? Żadna randka, głupolu, tylko wyjście. Kumple.

- Nie wiem. Zobaczę.

\* \* \*

Długo o tym myślałam. W zasadzie każdą minutę między zaproszeniem a wejściem na schody parę dni później. Setki razy postanawiałam nie iść. To był zły pomysł z wielu powodów: po pierwsze nie lubiłam ludzi, a oni mnie. Po drugie Baz był powszechnie znanym świrem, niebezpieczną znajomością. I w końcu Karen nie pozwoliłaby mi być poza domem tak późno. Z drugiej strony nikt dotąd nie zaprosił mnie na imprezę, jakaś część mnie chciała pójść, zachować się normalnie. Powiedziałam sobie, że mogę iść na trochę, zobaczyć, jak tam jest. Jeśli mi się nie będzie podobało, nie muszę zostawać. Co do Karen, jeśli się nie dowie, to jej nie zabol.

Kiedy oglądała telewizję, wyślizgnęłam się przez kuchnię, z butami w rękę, żeby nie było mnie słychać na schodach. Szłam szybko, bezpiecznie schowana pod kapturem. Dłoń zaciskałam na gładkiej plastikowej rękojeści noża, który upchnęłam do kieszeni. Wzięłam go po drodze z kuchni, żeby dodać sobie odwagi – nigdy nie użyłabym broni, wiecie, że nie jestem agresywna, ale gdyby pojawiły się kłopoty, może widok noża powstrzymałby oprawcę na tyle długo, żebym zdążyła dać nogę. Zresztą sama świadomość, że go mam, wystarczała,

bym mogła wyjść za próg i dalej w ciemność. Kolejny mały sekret pomagający przetrwać.

Znalezienie mieszkania Baza wcale nie było trudne. Gdy przebijałam się przez schody i korytarz, muzyka stawa się coraz głośniejsza i zwiększało się zagęszczenie półprzytomnych dzieciaków. Miałam nadzieję, że znajdę Pajaka na korytarzu, ale niestety, musiałam wcisnąć się do środka. Był taki tłum, że nie dałam rady tak po prostu wejść do mieszkania, wpychałam się na całego. Nikogo tu nie znałam i nie znosiłam fizycznego kontaktu, więc to nie było łatwe zadanie. „Dam radę” – pomyślałam. Zresztą, jak na swój wiek byłam mała, więc dosyć sprawnie prześlizgiwałam się między ludźmi – nikomu to chyba nie przeszkadzało.

W środku było znacznie gorzej, niż się spodziewałam: przeraźliwie gorąco, rycząca muzyka, tak że nie dało się myśleć, stłoczone dzieciaki, cuchnące pachy wycelowane prosto w mój nos, oblepiający wszystko smród fajek, trawki i potu. I przez cały czas numery ludzi tuż przed moimi oczami, z bliska, żadnej ucieczki.

Mówią, że statystyczna długość życia społeczeństwa rośnie czy jakoś tak, ale dzieciaków z naszej dzielnicy to chyba nie dotyczy. Większość miała dożyć zaledwie do czterdziestki albo pięćdziesiątki, sporo z nich nawet tyle nie dociągnie. Ofiary popularnego stylu życia – samochody, wóda, prochy, desperacja. Wolałabym nie widzieć ich numerów, ale to nie jest coś, co mogę włączać i wyłączać jak mi się zechce.

Pokonałam jakieś trzy metry, zanim zaczęłam wpadać w panikę, wtłoczona między gościa w kompletnie przepoconej koszulce a jego dziewczynę, zlaną lakierem o włosów i perfumami. Nie bardzo widziałam możliwość dalszego przeciskania się, a korytarz za mną już się zamknął. Utknęłam. Brakowało mi powietrza, było tak głośno, jakby hałas tkwił wewnątrz mojej głowy, usiłując wydostać się przez uszy i nos. Kręciło mi się w głowie, zaczęłam tracić siłę w nogach. W zasadzie nie były mi potrzebne – nieludzki tłok i tak utrzymywał mnie w pionie.

Przez szczelinę między ludźmi dostrzegłam znajome logo na plecach żółtej koszulki, podskakującej, gdy jej właściciel poruszał się w rytm muzyki. Pajak! Wzięłam głęboki wdech i opadłam na klęczki. Przeciskałam się przez morze nóg, aż wydostałam się ponownie na powierzchnię tuż obok Pajaka. Klepnęłam go w ramię.

Odwrócił się zaskoczony, uśmiechnął i przerzucił mi długie ramię przez plecy, obejmując mnie w pasie. Mimo naszej rozmowy o braku miłych gestów, nie zaprotestowałam. Kiedy przyciągnął mnie do siebie, znajomy zapach jego ciała wydał się niemal przyjemny. Silne ramię podpierało, dając mi czas, bym mogła odprężyć się i znowu odetchnąć.

Coś do mnie mówił, ale nic nie słyszałam. Pochylił się więc i wrzasnął:

- Dobre wibracje! Masz... - Drugą ręką podał mi wielkiego skręta. Byłam poobijana i oszołomiona już samym tym, że tu dotarłam, więc przyjąłam towar

bez zastanowienia. – No, śmiało! – wrzasnął mi do ucha. – Spodoba ci się! Zobaczysz!

Popatrzyłam na tłęcego się skręta, z końca unosił się niebieski dym. To tylko trawka, nic twardego. Potem pomyślałam o mamie i o tym, pod jakim dziwnym kątem leżała, gdy ją znalazłam. Czy tak właśnie zaczęła...? Od nieszkodliwego skręta...? Mowy nie ma, żebym poszła jej drogą. Oddałam trawkę Pająkowi.

- O co chodzi? – spytał.

- O nic. Trochę tu gorąco. Chyba potrzebuję drinka.

- Jem, musisz zdjąć bluzę, bo się rozpuścisz.

Miał rację. Czułam, jak spływa po mnie pot. Jakoś wyslizgnęłam się z ubrania, usiłując nikomu nie przyłożyć łokciem podczas tej operacji.

Oczywiście, zapomniałam o nożu. Upadł na podłogę. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, jaka będzie reakcja. Całkiem sporo ludzi to zauważyło – ale tylko się roześmiali.

- Hej, tutaj kosy nie trzeba, złe swojego nie ruszy, nie?

Ktoś się pochylił, podniósł nóż i mi go podał.

- Pająk, kogo ty przyprowadziłeś? Ostra jest.

Mrugnięcie zdradziło, że śmieją się ze mnie. Miałam piętnaście lat i metr pięćdziesiąt wzrostu, nie byłam dla nich żadnym zagrożeniem.

Pająk wyszczerzył zęby.

- Taa, to jest Jem. Nie chcesz z nią zacząć. Jest mała, ale wredna.

Normalnie nie lubię, jak o mnie mówią, ale kiedy tak stałam w tłumie ludzi, miałam wrażenie, że gadają o kimś zupełnie innym. Bez znaczenia.

Po chwili podszedł do nas wielki facet i zamienił kilka słów z Pająkiem. Był cały pokryty tatuażami, naprawdę. Ramiona, szyja, twarz, wszystko. Te na jego twarzy przestraszyły mnie najbardziej, wcześniej nie widziałam czegoś tak szalonego.

Pająk pochylił się nade mną i wrzasnął:

- Muszę załatwić jeden interes! Zaraz wracam!

Patrzyłam, jak znikają w pokoju z tyłu, a jednocześnie usiłowałam sobie coś uporządkować w myślach. Kiedy Tatuowany podszedł do Pajaka, obejrzał mnie sobie uważnie. Tymczasem ja miałam już w głowie jego numer.

Wprawdzie nie pociągnęłam skręta, ale uznałam, że chyba musiałam się nawdychać dymu, bo mój mózg nie pracował tak, jak powinien. Nie przestałam kojarzyć zupełnie, ale trwało to dłużej niż zazwyczaj. 11122009. Co to, do cholery, miało znaczyć?!

Dopiero po chwili wszystko się ułożyło. Jedenasty grudnia tego roku. Wtedy Tatuowany umrze. Cztery dni przed Pajakiem. Jezu, co tu się dzieje?

Nie miałam obok Pajaka, a cała ta sprawa z numerami wypalała mi dziurę w głowie. Zrobiłam się naprawdę niespokojna. Trzymałam się jego nowych kumpli, choć nie znałam ich ani oni mnie. Zamknęłam oczy i udawałam, że wczuwam się w muzykę. Zastanawiałam się, jak długo tu wytrzymam, czy Pająk w ogóle zauważyłby, gdybym zniknęła, albo czyby mu to przeszkadzało.

Coś kazało mi się rozejrzeć, inny rodzaj hałasu albo to, że ktoś mnie popchnął, nie wiem.

W drugim końcu pokoju zaczynało się robić gorąco. Kilku gości razem z Tatuowanym popychało kogoś między sobą. Ręce, ramiona, łokcie, wszystko w ruchu. W środku zadymy, górując nad resztą, tkwił Pająk. Było całkiem jasne, co się dzieje. Mimo jego wzrostu, znęcali się nad nim, zastraszaali go. Podniósł ręce, jakby chciał powiedzieć: „Chłopaki, dajcie spokój!”, podczas gdy banda osaczał go niczym hieny. Pająk jest duży, ale w ogóle nie ma ciała, ścisnął mi się żołądek, kiedy zobaczyłam go tak bezbronnego.

Po pewnym czasie ktoś jeszcze wyszedł z tego pokoju na tyłach, w czapce bejsbolowej i ciemnych okularach. Żaden przystojniak, ale coś w nim było, w tym, jak się zachowywał. Nie potrzebowałam oficjalnej prezentacji: to był Baz, to on tu rządził. Coś powiedział i zostawili Pajaka w spokoju. Pająk mu podziękował i było widać, że znowu przegina, głowa chodziła mu w górę i w dół, jak u tych piesków z łebkami na sprężynach, a potem znalazł się znowu przy mnie.

- Chodź, Jem, czas iść.

Złapał mnie za ramię, a ja, ciągle w szoku, pozwoliłam mu poprowadzić się w stronę drzwi, zadowolona, że wreszcie się stąd wydostanę. Żałowałam, że w ogóle przyszłam na tą imprezę.

- Nic ci nie jest? – zapytałam.

- Tak, jasne. Jest cool. Pełen luz. Wynośmy się stąd.

Wciąż kiwał głową i mamrotał coś do siebie, kiedy szliśmy do wyjścia. Tym razem nie musieliśmy się przeciskać: ludzie robili nam przejście. Ta mała awantura w kącie wszystkim rzuciła się w oczy, a teraz coś z niej przyłgnęło do Pajaka.

Po saunie u Baza nocne powietrze było przeszywająco zimne. W milczeniu zeszliśmy po schodach. Pająk nie wykazywał żadnej chęci, by opowiedzieć mi o tym, co się stało, więc w końcu zapytałam wprost:

- Co się, do cholery, dzieje?!

- Nic.

- Pająk, nie jestem głupia. Nagle, ni stąd, ni zowąd, masz nowe stereo, kasę i Baz zaprasza cię na wypasioną imprezę. Baz – gość, który trzy tygodnie temu nawet by nie splunął, żeby uratować ci tyłek. Widziałam tę bandę troglodytów wokół ciebie przed chwilą. W co ty wdepnąłeś? Masz jakieś kłopoty?

- Jem, nie, żadne kłopoty. Nic, z czym bym sobie nie poradził. Oni... chcieli się upewnić, że nie nawalę. I nie nawalę. Wszystko będzie okay. Muszę tylko dostarczyć gdzieś taką małą paczkę i przynieść z powrotem inną.

- Paczkę? – Serce mi się ścisnęło. – O Jezu, Pająk, co oni kazali ci zrobić?

- To tylko przysługa, i tyle.

Przechodziliśmy przez High Road. Rozejrzał się szybko, po czym dopadł wejścia do sklepu i przywołał mnie. Wyglądał tak cholernie tajemniczo, że to

było aż śmieszne. Gdybym ogłosiła konkurs na najbardziej podejrzanego człowieka na całej ulicy, Pająk wygrałby bez najmniejszego problemu.

Wcisnęłam się obok niego. Rozpiął kurtkę, roztaczając znajomy smród.

- Co ty wyprawiasz?

Uśmiechnął się jak gość, który ma tajemnicę i tylko marzy, by o niej opowiedzieć. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął kopertę. Potem pochylił się i głośno szepnął:

- Mam tu dwa tysiące funtów.

Wyjrzałam z naszej kryjówki. Nikogo nie było na tyle blisko, by podsłuchać naszą rozmowę.

- Zamknij się! – rzuciłam.

Pająk prychnął.

- Nie, to prawda. Dwa tysiące. Ufają mi, Jem, widzisz? Na tyle, żeby mi dać kasę.

- A jeżeli ktoś cię napadnie, gdy będziesz z tym łąził?

Nawet po ciemku widziałam jego szeroki uśmiech.

- Będzie dobrze. Mam ciebie i twój nóż. Możesz być moim gorylem.

- Spadaj! – warknęłam. Czułam się głupio, że przyniosłam kosę. – Wzięłam nóż dlatego, że nie lubię być w nocy na dworze. Nie czuję się bezpiecznie.

- Rany, przecież nie krytykuję! Jest cool. Zresztą, sam też mam.

- Schowaj tę pieprzoną kopertę, zanim ktoś ją zobaczy, i spadajmy stąd.

Wsadził forszę z powrotem do kieszeni i ruszyliśmy. Teraz kroczył dumnie, jak kot, który zjadł całą śmietanę. Nie chciałam mu tego psuć, ale ważniejsze było, żeby się zastanowił, zanim zabrnije za daleko.

- Pająk, Baz cię wykorzystuje. Gdyby to nie było ryzykowne, załatwiły sprawę sam, cokolwiek to jest. A tak zgarną ciebie. Chcesz posiedzieć za kratkami...?

- Nie, będzie dobrze. Jestem ostrożny. Będę to robił parę miesięcy, parę lat, a potem stąd spadam. Z małą kaską człowiek może zajść daleko.

A mnie przeszły nagły dreszcz: „Stary, ty nigdzie nie zajdziesz. Zostało ci parę tygodni w tej dziurze i nic więcej”. Zrobiło mi się smutno, bardzo smutno. Chodziło o to, że coś dziwnego działo się między Pajakiem a mną. Po raz pierwszy w życiu nie byłam tylko obserwatorem. Zaangażowałam się. Zaczynałam mieć nadzieję, że jego numer jest nieprawdziwy, że to wszystko siedzi tylko w mojej głowie i nie wydarzy się w rzeczywistości.

Nie powinnam się tak oszukiwać. Prawda była taka, że tak czy inaczej on odejdzie za dwa tygodnie, a ja, Boże dopomóż, coraz bardziej chciałam go chronić. Więcej, chciałam go uratować.

## Rozdział 7

**K**iedy dotarłam do domu, Karen czekała na mnie i zaliczyłam standardowy wykład. By ją uspokoić, wróciłam do szkoły, ale po tygodniu znowu wszystko szlag trafił, i to jak. Szczerze mówiąc, większość tych, którzy mi dokuczali, dała sobie spokój. Ktoś mnie widział na imprezie, a powiązanie z Bazem kazało im się zamknąć. Ma się te znajomości. Nadal zdarzały się uwagi o mnie i Pajaku, i o tym, z kim się zadajemy, ale to już były tylko żarty, mniej paskudne i z odrobiną szacunku.

- Nie wkurzaj Jem. Z niej jest prawdziwy gangster!

- Gangsterska laska!

Zaczynałam rozumieć, dlaczego Pajak chodzi z wyżej uniesioną głową. Fajnie było nie być na samym dole towarzyskiej drabiny.

Ale gdzieś w tle tego wszystkiego cały czas byli Jordan i jego kumple. On sam wrócił do szkoły w poniedziałek po imprezie u Baza i trzymał się ode mnie z dala. Wiedziałam jednak, że mnie obserwuje. Czekał na właściwy moment. W klasie siedział trzy ławki za mną. Na myśl o jego oczkach utkwionych w tył mojej głowy aż cierpła mi skóra.

Już następnego dnia podczas przerwy przeszedł do ofensywy. Szłam obok szkoły, kiedy poczułam za sobą obecność paru osób. Obejrzałam się. Śledziło mnie dwóch kumpli Jordana. Pomyślałam: „Niech to szlag, nie będę uciekać”, i maszerowałam dalej. Skręciłam za róg i wpadłam prosto na samego Jordana z resztą bandy. Jego ręka wystrzeliła w środek mojej klatki piersiowej.

- A ty dokąd, gangstersko?!

- Nie twój pieprzony interes. Daj mi przejść.

- Nie, mam z tobą do pogadania.

- A ja wręcz przeciwnie.

Mówiłam twardo, ale czułam, że wpadłam w pułapkę, serce waliło mi jak szalone. Dopadli mnie w cichym kącie i było ich pięciu. Nie miałam szans, chyba że przywołam swojego tajnego przyjaciela.

Zacisnęłam rękę na rękojeści noża w kieszeni.

- Nie lubię cię, Jem. Ani ciebie, ani twojego chłopaka.

- On nie jest...

- Zamknij się, teraz ja mówię!

Spodobało mu się poczucie władzy. Mnie to wkurzało, kutas, musi mieć ze sobą kumpli, żeby kogoś przestraszyć. Powinnam była spuścić wzrok, zamknąć się, może nawet dać sobie przyłożyć, pozwolić, by to minęło. Ale on mnie rozwścieczył i nie myślałam logicznie.

Wyciągnęłam nóż i uniosłam go.

- Nie, to ty się zamknij! Nie chcę tego słuchać! Chcę tylko, żebyś pozwolił mi przejść i dał święty spokój!



Wszyscy zamarli. Jak kretyni gapili się na ostrze. Korzystając z okazji, przepchnęłam się obok Jordana, który nie stawiał oporu. Przez ułamek sekundy poczułam ulgę, póki nie wpadłam prosto na McNulty'ego. Świr chwycił mnie za nadgarstek i ścisnął tak mocno, że nóż upadł na ziemię. Wciąż mnie trzymając, wyciągnął z kieszeni chustkę, pochylił się i podniósł przez nią nóż, jak gliniarz z telenoweli kryminalnej. Jego triumf był jasny jak słońce. Dopadł mnie. Wreszcie. I miał dowody. Palant.

- Koniec, zaraz będzie dzwonek! Do klas! – huknął. – A ty – wysyczał z ponurą satysfakcją – idziesz ze mną.

Ściskając cały czas mój nadgarstek, zaciągnął mnie do gabinetu dyrektora. Tym razem nie czekaliśmy jak zwykle na zewnątrz. McNulty przemaszerował obok sekretarki i zapukał do drzwi dyrektora, po czym wparował do środka i oznajmił ważniackim tonem:

- Panie dyrektorze, mamy poważny problem. Przyłapałem Jem Marsh, jak grozi innemu uczniowi nożem na terenie szkoły. – Położył dowód na biurku.

Dyrektor, który podpisywał jakieś papiery, wyraźnie się wzdrygnął, jakby Świr pokazał mu tykającą bombę.

- Tak, rozumiem – powiedział, szybko przenosząc wzrok ze mnie na Świra. Potem podniósł słuchawkę telefonu. – Panno Lester, proszę zadzwonić na policję i poprosić, żeby przyjechali. Złapaliśmy uczennicę z nożem. Tak. Dziękuję. I proszę zadzwonić do domu panny Marsh. Lepiej, żeby też się pojawili.

Potem się zaczęło: pytania, wykłady, oskarżenia, rozczarowanie. Nie tylko dyrektor i policja, ściągnęli też Karen i Sue, moją opiekunkę społeczną. Kiedy wszyscy się tam znaleźli, gabinet pękał w szwach.

- Chyba nie rozumiesz, w jakie wpadłaś kłopoty: posiadanie broni, zastraszanie, do tego naruszenie spokoju w klasie, bezczelność, terroryzowanie...

I tak dalej, i tak dalej... Szybko przestałam na nich zwracać uwagę, siedziałam tam, a oni gadali. Chciałam wierzyć, że jeśli tylko będę siedzieć cicho, w końcu zabraknie im pary i wszystko minie, ale nawet ja nie mogłam aż tak się oszukiwać. Nóż leżał przede mną na biurku – milczący świadek.

„To był cholerny błąd, brać go do szkoły – myślałam ciągle. – Cholerny błąd. Teraz to już poważna sprawa. Wpadałam w gówno po samiutkie uszy”.

W końcu stanęło na tym, że dalej będą mnie przesłuchiwać na posterunku. Niemal było czuć tę falę podniecenia przechodzącą przez szkołę, kiedy mnie zabierali w policyjnym wozie. Dzieciaki wyglądały przez okna i stały w drzwiach. Kiedy mnie wyprowadzali, pomyślałam: „Pewnie jestem tu ostatni raz”. Ale i tak nic mnie nie obchodziła szkoła ani dzieciaki. Dopiero gdy wspomniałam Pajaka, poczułam ukłucie żalu. Jeśli teraz mnie zamkną, czy jeszcze go zobaczę?

Dopełnili wszystkich formalności – spisali mnie, przeszukali, zdjęli odciski palców. Myślę, że chcieli mnie w ten sposób zastraszyć, ale miałam to gdzieś.

Jakbym się całkiem wycofała. Byłam tam, ale zamknięta w sobie – patrzyłam, co się dzieje, ale nic nie czułam.

Zgadzałam się na wszystko, nie robiłam kłopotów, ale niczego im nie powiedziałam. Próbowali być mili: „Musisz zrozumieć, że to bardzo niebezpieczne, nosić przy sobie nóż. Równie dobrze może być użyty przeciwko tobie. Chodź, napijmy się herbaty i porozmawiajmy”. Próbowali straszyć: „Jeśli to trafi do sądu, czeka cię odsiadka. Z bandziorami obchodzą się ostro”.

Nic nie zyskali.

Karen i Sue siedziały ze mną na zmianę. One też próbowały coś ze mnie wyciągnąć. Karen w ogóle nie chciała odpuścić – szansa, że to właśnie ona mnie wychowa, zniknęła, a nie była przyzwyczajona do porażek.

- Jem, to bardzo ważne, żebyś nam wszystko opowiedziała. Nie wierzę, że przemoc leży w twojej naturze. W domu wcale taka nie jesteś. Coś się stało, prawda? Pomóż nam to zrozumieć...

Jej słowa zaczynały się przebijać przez mój ceglany mur, dostawać do głowy, Docierała do mnie, przekonywała, że ktoś mnie wysłucha, ale niby od czego miałabym zacząć? Od Jordana, od Świra, od Pajaka i imprezy, od mamy, od świadomości, że człowiek nigdy nigdzie nie jest bezpieczny, że wszystko się kiedyś skończy, dzisiaj, jutro, następnego dnia...?

Nie mogłam tego zrobić – to by było jak wydlubanie miękkiego bezbronnego ślimaka z muszli. Kiedy już wszystko oddam na zewnątrz, nic mnie nie będzie chronić. Wbiłam spojrzenie w podłogę, usiłowałam zablokować jej głos, pozostać silna.

Po długich pięciu godzinach wypuścili mnie pod opieką Karen, z wyznaczonym terminem za trzy dni, kiedy miałam wrócić na posterunek, by dowiedzieć się, czy mnie oskarżą. W szkole zawiesili mnie na miesiąc. Byłam uziemiona u Karen, dopóki opieka społeczna nie zdecyduje, co ze mną zrobić. Mogłam tylko siedzieć i czekać ze świadomością, że znów zbliża się przeprowadzka, kolejny „nowy początek”, gdzieś daleko stąd, daleko od Pajaka, jedyne przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałam.

Siedziałam w swoim pokoju, wściekła na tę wyraźną niesprawiedliwość. Dlaczego Jordana nie przycisnęli za znęcanie się? Dlaczego czepiają się mnie, skoro tylko się broniłam? Dlaczego uważają, że gdzie indziej będzie mi lepiej? Przeniesienie człowieka nie rozwiązuje sprawy – tylko przerzuca problem na kogoś nowego.

Walnęłam pięścią w łóżko. Praktycznie nie wydało dźwięku, tylko sprężyny się ugięły – żaloszny gest. Wstałam i przeciągnęłam ręką po komodzie. Szczotka do włosów, kolczyki i parę książek poleciały przez pokój. To nie wystarczyło. Podarłam T-shirt. Teraz lepiej. Podarłam, co mogłam, a resztę porzuciłam wokół. Odtwarzacz CD grał Chili Peppers. Wyrzywałam kabel ze ściany. Gdy wtyczka wyskoczyła z kontaktu, cisnęłam nim z całej siły w lustro. Szkło roztrzaskało się, ale odtwarzacz pozostał w jednym kawałku. Podniosłam go i walnęłam nim o ścianę. Odleciały kawałki plastiku, ale całość nadal była

rozpoznawalna. Przestał istnieć dopiero wtedy, gdy otworzyłam okno i rzuciłam sprzęt najdalej, jak mogłam. Jak upuszczona butelka, rozleciał się w drobny mak na chodniku przed domem.

Karen wpadła do mojego pokoju. Rozejrzała się. Spodziewałam się ataku furii, ale poczułam tylko jej lodowatą złość.

- Głupia dziewczyno – powiedziała. – No i co ci teraz zostało...?

Wyszła. Słuchałam jej ciężkich kroków na schodach, po czym osunęłam się po ścianie i mocno objęłam kolana.

W ogóle mało miałam, a teraz wszystko rozwaliałam. W zasadzie ocalało tylko to, w co byłam ubrana, nic więcej. Niewiele tego...

Byłam zmęczona byciem sobą. Całe to gównno, które znosiłam przez lata, z dala od ludzi, sama jak palec. I właśnie kiedy zaczęło się układać, wszystko spieprzyłam. Zwinęłam się w kłębek mroku. A potem pojawiła się dziwnie pocieszająca myśl...

Nie miałam niczego, więc mogłam robić wszystko. Co tylko chciałam. Nie zostało mi nic do stracenia.

## Rozdział 8

**O**budziłam się na podłodze, otoczona zniszczonymi rzeczami, moimi rzeczami. Ostatnia myśl jaką miałam przed zaśnięciem, wciąż się kołatała. Nie zostało mi już nic do stracenia... Co więcej mogli mi zrobić niż to, co już planowali...?

Spojrzałam na zegarek, nadal działający mimo pękniętego szkiełka – za dwadzieścia siódma. Rozprostowałam zeszywniałe nogi, wstałam i przeszłam przez pokój. Wydostałam się na korytarz, potem ostrożnie w dół schodów. Wypiłam trochę soku pomarańczowego z kartonu i wsadziłam chleb do tosterka, a kiedy tost wyskoczył, rozmazałam na nim masło orzechowe. Postanowiłam, że zjem po drodze, i wyszłam z domu.

O tak wczesnej porze na ulicy nie było zbyt wielu, za to dobiegał już charakterystyczny londyński szum. Zwinęłam spod czyichś drzwi butelkę mleka, żeby splukać smak tosta.

Dawno nie było mi tak dobrze. Wiedziałam, że w końcu mnie dogonią – może będą na mnie wrzeszczeć, może zamkną mnie, przeniosą – ale na razie, w tej chwili, byłam wolna.

Zabrałam mleko nad kanał. Wypiłam je, siedząc na tych samych podkładkach, na których pierwszy raz rozmawiałam z Pajakiem. Na skraju nieba pojawiło się światło. Kiedy nabrało blasku, wszystko stało się szare – budynki, mury, woda, niebo. Można pstryknąć kolorowe zdjęcie, a wyglądałoby jak czarno-białe. Pasowało do mojego nastroju – byłam spokojna, wyciszona, żyłam tylko chwilą, niczym więcej.

Dokończyłam mleko (w każdym razie prawie) i postawiłam butelkę na brzegu kanału. Wzięłam parę kamieni. Kolejno posyłałam je w stronę butelki. Niektóre przelatowały obok, było słychać, jak wpadają do wody – Plip! Kiedy dosięgały celu, butelka chwiała się, wyglądało na to, że spadnie z brzegu, ale wciąż pozostawała na miejscu. Przesunęłam stopą w tenisówce po ziemi, szukając większych kamieni. Znalazłam parę i bardzo się skoncentrowałam. Pierwszy nie trafił i wpadł do kanału. Drugi uderzył prosto w szyjkę i strącił butelkę z brzegu, z plaśnięciem spadła do wody. Wstałam i spojrzałam w dół. Kołysała się na boku, resztki mleka przelewały się wewnątrz, wszystko razem płynęło powoli w stronę Tamizy. Pomyślałam: „Powinnam była włożyć do środka kartkę”. Z jakiegoś powodu to mnie rozśmieszyło, myśl, że jakiś dzieciak we Francji czy Holandii miałby wejść do morza po moją butelkę i wyjąć z niej kartkę z wiadomością: *Pieprz się. Pozdrowienia z Anglii.*

Butelka pokonała już ze dwadzieścia metrów.

W pierwszej chwili miałam ochotę iść za nią, zobaczyć, gdzie obie skończymy, ale nie tak chciałam spędzić ostatnie godziny wolności, zanim mnie zgarną. Zaprzagnęłam pożegnać się z Pajakiem, dlatego zawróciłam w stronę sklepów i skierowałam się do jego domu.

Wciąż było bardzo wcześnie, jakieś wpół do ósmej. Oznaki życia – zero. Podeszłam do drzwi frontowych, moja ręka zawisała nad dzwonkiem. Czułam się niepewnie, w końcu to mogło wypaść trochę desperacko i żałośnie – pojawić się pod drzwiami chłopaka o tej porze. Nie zapukałam, tylko ostrożnie pchnęłam drzwi. Poruszyły się, a przez szparę wyleciała smużka dymu. Wsunęłam się do środka. W kuchni na swoje grzędzie siedziała Val, z kubkiem herbaty w jednej ręce i fajką w drugiej. Jezu, czy ona tu sypia...?

- Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała, jakby na mnie czekała. – Wejdz. – Weszłam do kuchni. – Ranny ptaszek z ciebie. Masz kłopoty...?

Pokiwałam głową.

- W dzbanku jest herbata. Weź sobie kubek ze zlewu, skarbie, i usiądź.

Tak właśnie znalazł nas Pająk, kiedy się pojawił koło dziewiątej: ja i Val obok siebie przy barku, drugi czajnik herbaty, góra popiołu z papierosów na talerzyku między nami. Przywłókł się do kuchni w spodniach od dresu i w starym, poplamionym T-shircie, z oczami tak małymi i opuchniętymi, jakby przespał sto lat. Nawet w najlepszych chwilach nie wyglądał za dobrze, ale to było jeszcze gorsze, jakby ktoś go pogniótł i wrzucił do śmieci.

- Co się dzieje? – zapytał, kiedy już dotarło do niego, że widzi jeszcze kogoś oprócz babci.

- Jem przyszła cię odwiedzić. Ma trochę kłopotów.

Spojrzał na mnie, a ja powiedziałam:

- Siedzę w gównie po uszy. Znowu mnie przeniosą.

Z jakiegoś powodu zaczęła drzeć mi broda. Szybko się odwróciłam, czując się jak idiotka. A on, o dziwo, powiedział dokładnie to, co było trzeba:

- Pieprzyć ich, Jem. Zróbmy sobie wolne. Mam trochę kasy. – Na te słowa Val spojrzała na niego badawczo. – Tutaj będą cię szukać, chodźmy do miasta. – Znowu zaczynał tańczyć w miejscu, wypełniała go znajoma energia. Klasnął w dłonie. – Dobra, idziemy! Babciu, nalej mi herbaty, a ja skoczę po buty.

- Myślę, że starczy ci czasu, by się umyć i włożyć coś czystego, Terry. W przedpokoju jest cały stos ubrań.

Na twarzy Pajaka widać było mękę i obrzydzenie.

- Babciu, jestem w porządku. Nie zwracaj głowy.

- Nie jesteś w porządku, powietrze wokół ciebie da się kroić nożem, śmierdziuchu jeden! – oznajmiła, zapalając kolejnego papierosa. Odwróciła się do mnie. – Chłopczy! I co możesz zrobić...?!

Mimo protestów Pająk wymknął się z kuchni, a kiedy wrócił, miał na sobie dżinsy i czystą koszulkę. Ale co do mycia – mowy nie ma, żeby zdążył w tym tempie. Wysiorbał herbatę i pochylił się, żeby pocałować Val.

- Pewnie powinnam wam kazać iść do szkoły, wy paskudne dzieciaki, ale skoro oboje jesteście zawieszeni... - mrugnęła porozumiewawczo. – Idźcie i bawcie się dobrze. Jeśli ktoś tu zajrzy, nic nie powiem.

Popatrzyła na mnie bez uśmiechu, ale w spojrzeniu jej przesywających orzechowych oczu kryło się ciepło, a ja pomyślałam: „Jesteś szczęściarzem, że

masz taką babcie. Gdybym ja miała w życiu kogoś takiego jak ona, wszystko mogłoby pójść inaczej”.

Kiedy przechodziliśmy przez frontowy pokój, Pająk złapał jeszcze bluzę z kapturem i zawołał:

- Pa, babciu, zobaczymy się później!

I już nas nie było.

O tej porze wszystko znów działało, ulice były pełne, kręciły się masy ludzi. Rankiem miałam wrażenie, że całe miasto jest moje. Spokój ulic należał tylko do mnie i do nikogo innego. Ale teraz byliśmy z Pajakiem dwoma mrówkami w mieście milionów mrówek, niczym więcej. Słońce też już wyszło. Zaczynał się jeden z tych jasnych, chłodnych zimowych dni.

- Nie musimy iść na piechotę, możemy jechać metrem. Nawet taksówką, jeśli chcesz – akurat starczy kasy.

- Pająk, a ile masz?

- Sześćdziesiąt funtów, wszystkie moje. – Wyszczrzył zęby. – Z tym że wieczorem muszę być u Baza. Interesy. Ale cały dzień mamy dla siebie – oznajmił, rozkładając szeroko ręce i wirując w miejscu. – Dokąd chcesz iść?

- Nie wiem, na Oxford Street?

- Okay. – Wyprostował się na swoją pełną wysokość, po czym wyciągnął jedno ramię jak drogowskaz i głośno oznajmił z najdurniejszym arystokratycznym akcentem: - Małe zakupy, madame. Czy to pani odpowiada?

Ludzie zaczęli się oglądać.

- Pająk, zamknij się! – Jakby trochę go to przygnębiło. – Chodź, przyglupie, to brzmi super! No, ruszaj!

Pobiegłam w stronę metra, a on zaraz znalazł się obok, długie nogi bez trudu prześcignęły mnie w gonitwie do budki z biletami.

\* \* \*

- To czyste zdzierstwo i tyle! Szesnaście funtów, żeby się tym przejechać! – Machnął ręką w stronę London Eye, złość pulsowała w całym jego ciele.

Większość pieniędzy wydaliśmy na Oxford Street, na głupie okulary słoneczne i czapki, i hamburgery. W Londynie sześćdziesiąt funtów to nie tak dużo.

Ludzie zaczęli się na niego gapić. Pewnie, jeżeli człowiek nie był do niego przyzwyczajony, było na co popatrzeć: czarny facet, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, wściekający się na ulicy. Turyści w kolejce wpatrywali się w niego, jakby robił za kabaret – specjalnie dla ich rozrywki. „Zaraz zaczną mu rzucać pieniądze” – pomyślałam. Niektórzy tręcali się łokciami, mruclili coś pod nosem, śmiali się. Bez szacunku, jak Jordan wobec mnie.

- Daj spokój – powiedziałam, usiłując rozładować sytuację. – I tak wcale nie chcę na tym jeździć. Chodźmy gdzie indziej.

Ale on już się rozkręcił.

- Wszystko w tym mieście jest dla pieprzonych turystów! A co z nami? Co ze zwykłymi ludźmi, którzy nie mają szesnastu funcików na kretyńską jazdę?!

Niektórzy z widzów zaczęli tracić pewność siebie, powoli odsuwali się, wymieniali zaniepokojone spojrzenia. Podobała mi się ich reakcja. Trochę nimi wstrząsnął.

Prześlizgnęłam się wzrokiem po kolejce – tak, ludzie wyraźnie czuli się nieswojo. Para japońskich turystów w takich samych niebieskich kurtkach z kapturem, w ciepłych czapkach i rękawiczkach zerkała w naszą stronę. W ułamku sekundy, którego potrzebowali, by spojrzeć na nas i odwrócić wzrok, zarejestrowałam ich numery.

Poczułam wstrząs, jakby kopnął mnie prąd. Były takie same. „Dziwne – pomyślałam. – Mają dopasowane daty śmierci. Jakie są na to zazwyczaj szanse...?”. A potem, jakbym dostała obuchem w głowę, dotarła do mnie też data: 08122009. To dzisiaj. Co jest, do cholery...?!

Rozejrzałam się bezradnie. Pająk przegiął i turyście odwrócili się do nas plecami, pewnie z nadzieją, że sobie pójdziemy, „Musiałam się pomylić” – pomyślałam, ale chciałam to sprawdzić. Ruszyłam w stronę kolejki, z zamiarem spojrzenia na Japończyków jeszcze raz. Pająk nawet nie zauważył, że odeszłam – słyszałam, jak klnie sam do siebie, owinięty w oburzenie niczym w kokon.

Kolejka była dość zwarta. Wypatrzyłam małą przerwę między chłopakiem w dresie i plecakiem na plecach a starszą panią w grubym tweedowym płaszczu i ze słomianą torbą.

- Przepraszam – powiedziałam, idąc w jej stronę, ale w ogóle nie musiałam się odzywać, i tak się cofała. – Dzięki – mruknęłam, przełaząc na drugą stronę kolejki.

Uśmiechnęła się słabo, przyciskając torbę do siebie, a ja dostrzegłam w jej twarzy strach. Jej numer też dostrzegłam i aż zamarłam w pół kroku. Gapiłam się na nią i nie mogłam przestać. 08122009.

To niemożliwe. Co to ma znaczyć?! Oblał mnie zimny pot. Gapiłam się na nią, jakbym wrosła w ziemię.

Starsza pani odetchnęła głęboko. Źrenice miała rozszerzone ze strachu.

- Nie mam dużo... - powiedziała cicho drżącym głosem. Ścisnęła torbę tak mocno, że zbieleły jej kostki. -... Nie mam dużo pieniędzy. To dla mnie specjalna atrakcja... Oszczędzałam z emerytury...

- Co...?- Wszystko jasne: starsza pani myślała, że zamierzam ją okraść. – Nie – powiedziałam, robiąc krok do tyłu. – Nie, nie chcę pani pieniędzy. Nie o to chodzi. Przepraszam.

Wpadłam na chłopaka przed nami, a ten się odwrócił, waląc mnie w plecy rogiem cholernego plecaka. „Jezu, ale będę poobijana” – pomyślałam. Zaczęłam się wycofywać w stronę Pajaka.

- Przepraszam – powiedziałam z opuszczoną głową i rękami w kieszeniach. – Nie chciałam.

- W porządku. Żaden problem. – Zwróciłam uwagę na jego dziwny akcent. Wyrzuciłam spod kaptura. Dziwne, wyglądał na równie przestraszonego jak ja, na czole miał krople potu, ciemne włosy były wilgotne. – Wszystko okay? – dodał i kiwnął głową, zachęcając mnie, bym się z nim zgodziła.

- Jasne, wszystko okay – powtórzyłam, zaskoczona, że wciąż mogę mówić jak zwykły człowiek. Wewnątrz mój prawdziwy głos wrzeszczał, to był rozdzierający, ogłuszający wrzask przerażenia. On też to miał. 08122009. Ten sam numer.

Coś się z tymi ludźmi stanie.

Dzisiaj.

Tutaj.

Odwrociłam się i potykając, dopadłam Pajaka, który wciąż rzucał mięsem.

- Pajak, spadamy stąd! – Zignorował mnie, zamknięty w swoim własnym małym świecie. Złapałam go za rękaw. – Stary, posłuchaj mnie. Musimy stąd spadać!

Czy on nie słyszał przerażenia w moim głosie? Nie czuł, jak moja dłoń drży na jego ramieniu?

- Nigdzie nie idę. Jeszcze tu nie skończyłem.

- Owszem, Pajak, skończyłeś. Opuść. Musimy stąd spadać i już!

Każda sekunda przybliżała nas do tego, co zabije tych turystów – cokolwiek to miało być. Serce waliło mi jak szalone, jakby zamierzało wyskoczyć przez żebra.

- Zaraz pójde do szefa, ktokolwiek tym rządzi. Ktoś im musi powiedzieć, zapytać, co jest grane. Obrzydliwe, tak naciągać ludzi. Nie powinniśmy się na to zgadzać. My... - Po prostu nie słuchał. Nie można było go do tego zmusić. - ... na zbyt wiele się w tym kraju zgadzamy. Wszystkich nas traktują jak drugą kategorię...

Bez zastanowienia podniosłam rękę i mocno uderzyłam go w twarz. Naprawdę mocno. Prask!

Urwał w pół słowa, zszokowany. Potem uniósł dłoń do policzka.

- Cholera, dlaczego to zrobiłaś?!

- Masz mnie słuchać! Musimy stąd spadać. Proszę, proszę, zabierz mnie stąd. Chodź.

Złapałam go i ciągnęłam, póki się w końcu nie ruszył. Zaczęłam biec, wciąż ciągnąc go za sobą, aż wreszcie on też ruszył biegiem. Rozkręcił się, puścił moją rękę i poleciał przodem na tych swoich długich nogach, wymachując łapami. Pięćdziesiąt metrów dalej zatrzymał się i zaczekał, a potem pobiegliśmy razem wzdłuż Nabrzeża i przez Most Hungerford.

W połowie mostu zwolniliśmy. Sekundę później zatrzymaliśmy się i spojrzeliśmy za siebie. Wciąż nic się nie stało, zero problemów.

- Jem, co się dzieje? O co chodzi?

- O nic. Denerwowałeś tych ludzi i tyle. Zaraz ktoś wezwwałby policję.



To mogła być prawda, nie? Choć wiedziałam, że może nie brzmi najlepiej, liczyłam, że Pająk da się nabrać.

- Jem, nie ściemniaj. Spójrz na siebie. Wyglądasz jak duch! Jeszcze bledsza niż normalnie. Jem, co się dzieje...?

Staliśmy tak, patrząc na Tamizę i na miasto, które żyło jak co dzień, i nagle poczułam, że zrobiłam z siebie idiotkę. Słowa tłukące mi się po głowie nie brzmiały prawdziwie nawet dla mnie: *numery, daty śmierci, katastrofa...* To brzmiało kretyńsko, głupi wymysł. Czyżby mój umysł prowadził ze mną jakąś idiotyczną grę...?

- Pająk, to nic. Dopadł mnie strach, atak paniki. Już w porządku... No, może nie całkiem w porządku, ale lepiej. – Próbowałam skierować rozmowę na niego. – Przepraszam, że cię uderzyłam. – Dotknęłam jego twarzy na parę sekund. – Boli?

Uśmiechnął się smętnie.

- Jeszcze trochę. Nigdy bym nie pomyślał, że umiesz tak przyłożyć. – Prychnął i pokręcił głową. – Cholerny Mike Tyson miałby z tobą kłopoty.

- Przepraszam – powtórzyłam.

- Spoko – powiedział, wciąż się uśmiechając.

I tak właśnie staliśmy, gadając na moście, patrząc na rzekę, kiedy usłyszeliśmy wybuch i zobaczyliśmy, jak London Eye rozpada się na kawałki.

## Rozdział 9

**M**usieliście to widzieć setki razy w telewizji, więc wiecie, co zobaczyliśmy tego dnia: gwałtowny wybuch, latające odłamki, prująca w górę smuga dymu, jedna kabina doszczętnie zniszczona, pozostałe uszkodzone i zniekształcone. Ludzie zamarli odwrócenii w stronę London Eye. Słyszeliśmy wrzaski niosące się nad wodą.

Pająk i ja krzyknęliśmy jednocześnie: „O Boże!”- Tak samo jak pozostali ludzie na moście.

Może dla niektórych miała to być modlitwa, dla większości zaś zwykłe słowa, które wypowiada się w szoku.

Zastygliśmy na minutę czy dwie, podczas gdy pył opadał i zaczynały wyc syreny. Czułam się całkiem otępiała. Ledwie zaczęłam mieć wątpliwości co do numerów, ledwie zaświtała nadzieja, że nie są prawdziwe, że to tylko głupia gra w mojej głowie, a już okazało się, że to wszystko prawda. Numery były prawdziwe – znałam przyszłość bliskich i obcych, zawsze będę. Zadrżałam.

- Pająk spadamy stąd – znów to powtórzyłam. - Chodźmy do domu.

Cokolwiek czekało mnie u Karen i tak było lepsze od patrzenia, jak London sprząta ciała. Odwróciłam się, by iść dalej przez most, ale Pająk się nie ruszył.

- Chodź – powiedziałam. - Idziemy.

Wciąż oparty o balustradę, zmierzył mnie wzrokiem, marszcząc brwi. W jego spojrzeniu widać było kompletną dezorientację, ale też oskarżenie. Wiedziałam, co będzie. Nie mogłam tego uniknąć. Wciąż patrząc mi w oczy, wyrzucił drżącym głosem:

- Wiedziałaś. Wiedziałaś o tym!

Staliśmy kilka metrów od siebie. Jego słowa były na tyle głośne, żeby dotrzeć nie tylko do mnie, lecz także do paru osób w pobliżu. Kilka głów szybko się odwróciło, by nam się przyjrzeć.

- Pająk, zamknij się! - syknęłam.

Pokręcił głową.

- Nie, nie zamknę się. Ty wiedziałaś. Jem, co się, do cholery, dzieje?

Wyprostował się i ruszył w moją stronę.

- Nic. Zamknij się!

Był już blisko i próbował mnie złapać. Uskoczyłam i ruszyłam biegiem. Na moście stało dużo ludzi, musiałam ich omijać. Pająk biegł znacznie szybciej ode mnie, ale był też wysoki i niezręczny, słyszałam jak ludzie na niego pokrzykują, gdy przebijał się między nimi. Pokonałam most i na ślepo wpadłam w jakąś ulicę. Dogonił mnie, złapał za ramię i odwrócił ku sobie.

- Jem, skąd wiedziałaś, że to się stanie?!

Oboje oddychaliśmy ciężko.

- Nie wiedziałam. Nic nie wiedziałam.

- Nieprawda, Jem, wiedziałaś o tym. Wiedziałaś! Co się dzieje? -

Próbowałam mu się wyrwać ale trzymał mocno. Ze swoim wzrostem, siła i smrodem wydawał się mnie osaczać, nie miałam drogi ucieczki. Próbowałam go uderzyć, ale chwycił mnie za ręce. Walnęłam głową z byka, ale był na to przygotowany i tylko odsunął mnie nieco od siebie, nie wypuszczając z kleszczowatego uścisku. Nie mogłam tego wytrzymać. Kopnęłam go i trafiłam. Skrzywił się, ale nie puścił. - Nie, masz mi powiedzieć, co się dzieje!

Ludzie na ulicy gapili się na nas. Przestałam się szarpać i kompletnie oklapłam. „ Nie chcę już tego znosić – pomyślałam. - Sama już nie dam rady...”

- Okay – szepnęłam. Ale nie tu. Zejdźmy nad kanał.

Podeszliśmy na Edgware Road. Stamtąd szybko na tyły sklepów, stąd było zejście nad kanał. Przynajmniej tu nie było ludzi. Straciłam wszystkie siły, nogi się pode mną uginały.

- Muszę usiąść – powiedziałam słabo i padłam na podłamaną ławkę. Brakowało jednej deski, co dawało wrażenie, że człowiek przeleci na wylot. Pająk usiadł obok.

- Rany, ale masz dziwny kolor. Włóż głowę między kolana czy coś. - Pochyliłam się, gdy szum wypełnił mi uszy. Przed oczami zrobiło mi się czerwono, potem czarno. - No, spokojnie...

Głos Pajaka słyszałam z bardzo daleka, gdzieś z drugiego końca tunelu.

Kiedy otworzyłam oczy, wszystko było nie tak. Chwilę potrwało, nim do mnie dotarło, że leżę. Ławka strasznie wbija mi się w plecy, ale głowę miałam na poduszce – niespecjalnie pachnącej, ale miękkiej bluzie Pajaka. On sam chodził tam i z powrotem po ścieżce, kręcąc głową, pstrykając palcami i mamrocząc pod nosem.

- Hej – mruknęłam niemal bezdźwięcznie.

Zatrzymał się i kucnął przy mnie.

- W porządku? - zapytał.

- Chyba tak.

Pomógł mi powoli usiąść, a potem klapnął obok. Dygotałam. Wziął bluzę i podał mi ją.

- Masz. Włóż to.

- Nie, nie trzeba.

Nie chciałam tego śmierdzącego ciucha na swoich ubraniach ani skórze. Znowu zadrzałam, a wtedy on sięgnął mi za plecy. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, i miałam zamiar mu powiedzieć, co sobie może zrobić, kiedy dotarło do mnie, że narzuca mi bluzę na ramiona. Pokrył mnie jak kocem.

Przypomniała mi się mama, jak okrywała nas obie, gdy leżałyśmy na kanapie w zimnym mieszkaniu, jak tuliłyśmy się do siebie w jeden z lepszych dni. Coś mnie zakłuło w oczy – piekące, gorące. Wylało się i popłynęło po policzkach. Cholera, płakałam. A przecież ja nie płaczę. Po prostu nie. Mocno pociągnęłam nosem, otarłam twarz grzbietem dłoni.

- Teraz mi powiesz?

Zapatrzyłam się w ziemię pod stopami. Jeszcze nigdy nie miałam nikogo, kto byłby takim przyjacielem, jak Pająk. Czy mogę mu zaufać...? Wzięłam głęboki oddech.

- Tak – oznajmiłam.

I powiedziałam mu.

## Rozdział 10

**M**iędzy nami zapanowała cisza – nie pustka, lecz przestrzeń wypełniona myślami i uczuciami, niewypowiedzianymi słowami i emocjami. Siedzieliśmy w milczeniu, podczas gdy z odległości niecałego kilometra dobiegały dźwięki pogrążonego w chaosie Londynu, syreny wyły, klaksony huczały, helikoptery krążyły.

Czułam się oszołomiona – wciąż nie doszłam do siebie po tym, co się stało, i była w szoku, że w końcu komuś powiedziałam. Moje ciało i głowa były w kompletnej rozsypce. Przez cały czas, gdy słowa ze mnie wypływały, nie patrzyłam na Pajaka – wzrok miałam wbity w ziemię. Całkiem nierealne doświadczenie. Jakby mówił ktoś inny.

Siedział pochylony, z łokciami opartymi na kolanach, i słuchał. Chyba nigdy dotąd nie widziałam go aż tak nieruchomego. W końcu wypuścił powietrze przez zaciśnięte na Maksa wargi.

- Niemożliwe, człowieku, niemożliwe.

Brzmiał jak ktoś skrajnie zdenerwowany, przestraszony aż do bólu.

- Pajak, to prawda. To wszystko prawda. Wiedziałam, że coś się stanie, bo ich numery były takie same. I miałam rację, stało się.

- Rany, nie ogarniam tego. Przerażasz mnie.

- Wiem. Ale ja muszę z tym żyć.

Nagle trzasnął się w czoło.

- Ten dziadek, ten, co go przejechało, widziałaś jego numer, tak? Dlatego chciałaś za nim iść...

Skinęłam głową. Na chwilę zapanowała cisza.

- Moja babcia o tobie wie, nie? Ty i ona, jesteście takie same, prawda? Cały ten czas myślałam, że pieprzy głupoty, że to w sumie śmieszne. Ale ona wiedziała, że ty jesteś inna. Kurwa! Dwie cholerne czarownice!

Wyprostowałam się nieco, usiłowałam oddychać równomiernie. Po kanale płynęły dwie kaczki, małe i brązowe, niczego nieświadome. Patrzyłam, jak równo płyną pod prąd. Tak łatwo jak być ptakiem albo zwierzęciem, żyć z dnia na dzień, bez całej tej świadomości, że się żyje i że pewnego dnia się umrze.

Pajak wstał, zaczął chodzić tam i z powrotem po płaskich kamieniach wzdłuż kanału. Mamrotał pod nosem – nie mogłam dosłyszeć słów – pewnie tylko usiłował jakoś przetrwać to, co powiedziałam. Podniósł garść żwiru, zaczął nim rzucać w kaczki. Musiał jedną trafić, bo nagle poderwały się do lotu, małe, brązowe skrzydła pracowały jak śmigła. Obrócił się.

- Widzisz numery wszystkich?

Znowu wbiłam wzrok w ziemię. Wiedziałam, co będzie teraz.

- Tak, jeśli spojrzę w oczy.

- Czyli znasz mój – powiedział cicho. Nie odpowiedziałam. – Znasz mój – powtórzył bardziej stanowczo.

- Tak.

- Cholera, człowieku, nie wiem, czy chcę to wiedzieć, czy nie. Nigdy o tym nie myślałem...

Kucnął, trzymając się za głowę.

„Nie pytaj mnie – pomyślałam. – Pająk, nigdy mnie o to nie pytaj”.

- I tak ci nie powiem – zapewniłam szybko. – Nie mogę. To nie jest w porządku. Nigdy nikomu nie mówię.

- Dlaczego nie?

Gapił się na mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, znowu pojawił się ten cholerny numer: 15122009. Chciałam wyrwać go sobie z głowy, zapomnieć, że go kiedykolwiek widziałam.

- Bo gdybym ci powiedziała, toby ci odbiło. To nie jest w porządku i już.

- A jeżeli komuś zostało mało czasu? Gdyby wiedział, miałby szansę zrobić to, o czym zawsze marzył...

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Tak, ale to byłoby jak życie w celi śmierci, nie? Każdego dnia jeden krok bliżej. Człowieku, mowy nie ma. Nikt nie powinien tak żyć.

Choć oczywiście wszyscy tak żyjemy. Budzimy się rano i wiemy, że jesteśmy o jeden dzień bliżej końca. Tylko się oszukujemy, że to nieprawda.

Pająk wstał, podrapał się w głowę i kopniakiem wrzucił więcej żwiru do wody.

- Muszę pomyśleć. Kompletnie mnie skołowałeś. – Na pobliskiej ulicy zawyła syrena. – Wyośmy się stąd.

Podaliśmy mu bluzę i ruszyliśmy ścieżką wzdłuż kanału. Żwir chrzęścił nam pod stopami, kiedy szliśmy obok upstrzonego graffiti muru. Wiele budynków popadło w ruinę, ale jeden czy dwa odnowiono, zamieniono w eleganckie biura i lokale, lśniące wysepki w morzu brudu. Syreny cichły, gdy się oddalaliśmy, wokół panowała dziwna cisza, jakby świat się zatrzymał.

W pobliżu osiedla przeszliśmy na główną drogę. Parę osób stało przed oknem sklepu z telewizorami, dołączyliśmy do nich. Kilkanaście ekranów, wszystkie pokazywały to samo. London Eye już się nie obracało. Kawałka brakowało, jakby ktoś wyszarpał kęs. Jedna kabina zniknęła, te najbliższe niej były powykręcane i zniszczone, po ziemi wiatr turlał śmieci. Tylko że tak naprawdę to nie były śmieci. Po ziemi wały się kawałki ludzi i ich rzeczy. Kamera zatrzymała się na poszarpanej niebieskiej szmacie, jaka została z czyjejś kurtki, i na czymś powiewającym na wietrze – ozdobnym brzegu słomianej torby, podartej w wybuchu.

Na dole każdego ekranu przesuwwały się słowa:

ATAK TERRORYSTÓW NA LONDON EYE...  
LICZBA ZABITYCH I RANNYCH NIEZNANA...  
POLICJA PROSI O OSTROŻNOŚĆ...

## GROŻĄ DALSZE ATAKI...

Patrzyliśmy całe wieki, a Pająk wciąż powtarzał:

- Cholera, człowieku. Jezu Chryste.

Wiadomości leciały bez przerwy, ciągle te same obrazy. Kiedy tam stałam, czułam, jak we mnie wzbiera. Usiłowałam się opanować, ale w końcu musiałam znaleźć boczną uliczkę i pozbyć się wszystkiego z żołądka. Kwaśna papka wylała się ze mnie na ziemię.

Pająk przyszedł zobaczyć, co się ze mną dzieje.

- Nic ci nie jest?

Zakaszlałam i splunęłam, usiłując oczyścić usta.

- W porządku – odparłam. Wyciągnęłam z kieszeni chusteczkę i wytarłam się. – Pająk...?

- Tak.

- Mogłam coś zrobić. Wiedziałam, że coś się stanie. Mogłam ich ostrzec, powiedzieć, żeby tę cholerną kolejkę zamknęli czy coś...

- Jem, a nawet gdyby zamknęli Eye i ludzie poszliby do metra, i wszystko stałoby się tam. Byłoby lepiej...?

Uznałam, że chyba ma rację. Tak czy owak, dzisiaj był ich dzień: tej japońskiej pary, starszej pani, chłopaka z plecakiem. Ale to uczucie mnie przygniatało – przekonanie, że mogłam coś zmienić.

- Chcesz iść do mnie? – spytał Pająk.

- Nie wiem, chyba tak.

Marzyłam, by znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu, by móc powiedzieć: „Wracam do domu”. Tylko że ja nigdzie nie czułam się jak w domu. Nagle przypomniałam sobie policję – Bóg wie, kto na mnie czeka u Karen. Tak, dom Pajaka był zdecydowanie lepszym wyborem.

Dotarliśmy ponownie do Carlton Villas i otworzyliśmy drzwi. Val nie tkwiła na swoim zwykłym stanowisku w kuchni – siedziała w salonie z włączonym telewizorem. Uniosła się, kiedy weszliśmy.

- Terry, to ty? Ach! – Opadła znów na fotel. – Umierałam z niepokoju przez całe popołudnie, odkąd o tym powiedzieli... Nic wam nie jest?!

Pająk pochylił się, by cmoknąć ją w policzek, a potem objął ją, kucając przy fotelu, i mocno przytulił.

- Byliście tam, prawda? – zapytała. – Wiedziałam. Wiedziałam. – Jedną jej ręką spoczywała na plecach Pajaka, druga przyciskała jego głowę, poplamione nikotyną palce zanurzały się w kręconych włosach. – Już dobrze. Już jesteś bezpieczny, synu.

Stałam w drzwiach. Miałam wrażenie, że nie powinnam tego oglądać – to było tylko między nimi. Po chwili Val spojrzała na mnie.

- Chodź tutaj. Usiądź, kochanie. Wyglądasz na wykończoną. – Przysiadłam obok niej, a ona wzięła mnie za rękę. – Tak się cieszę, że was oboje widzę.

Pająk wyplątał się z jej uścisku i przysiadł na piętach. Przetarł twarz, ale zdążyłam dostrzec ślady łez.

- Babciu, byliśmy pod London Eye chwilę przed tym. Dostałem szau, bo nie mieliśmy dosyć kasy, ale Jem, ona... - zawahał się i spojrzał na mnie szybko - ... ona powiedziała, że musimy stamtąd spadać. Byliśmy na Moście Hubgerford, kiedy wybuchło. Widzieliśmy to, babciu.

- Czyli go uratowałaś. Uratowałaś mojego chłopca. – Teraz trzymała moją rękę w obu dłoniach i patrzyła mi głęboko w oczy. – Dziękuję. Dziękuję, że przyprowadziłaś mi go z powrotem. Jest nieznośny, ale dla mnie jest wszystkim. Dziękuję.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Mieliśmy szczęście i tyle – wymamrotałam, ale Pająk nie zamierzał na tym poprzestać.

- Nie, to nie było szczęście. Babciu, ona mnie uratowała, tak jak mówiłaś. – Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie, ale wstrząs spowodowany tym wszystkim i ulga, że jest w domu, rozwiązały mu język. – Babciu, ona jest jak ty. Wiedziała, że coś się dzieje.

Chciałam wstać, ale Val ścisnęła mi mocniej rękę.

- Czułaś coś? Co...?

Pokreśliłam głową.

- Po prostu miałam przecucie, to wszystko. Wiedziałam, że stanie się coś złego. – Jej wzrok wierał się we mnie, siedziała tam, czekając. Serce waliło mi jak szalone, krew wściekle pulsowała w żyłach. – Wiedziałam, że ludzie umrą.

Val westchnęła cicho, miałam wrażenie, że wypuściła wstrzymywany oddech.

- Czułam, że coś w tobie jest – szepnęła. – Że masz dar. – Wciąż trzymała moją dłoń, potrząsając nią delikatnie w geście pocieszenia. – Jem, nie jesteś tu bez powodu. Uratowałaś mi Terry'ego. Dziękuję.

Jej oczy lśniły, a ja pomyślałam: „Mylisz się. Pająk mógł zostać tam, gdzie był, i tak by nie zginął. Uratowałam go najwyżej przed jakimś poranieniem, bo to nie jego dzień. Tak naprawdę nie mogę go uratować, chcę, ale nie mogę. On niedługo odejdzie, a ty pomyślisz, że zawiodłam was oboje”.

Ale niczego z tego nie mogłam powiedzieć na głos, nigdy bym im nie zdradziła, co czeka Pajaka. Siedzieliśmy więc tylko, Pająk, Val i ja, milczeliśmy, podczas gdy reporter w telewizji ogłosił, że policja poszukuje dwojga młodych ludzi, których widziano uciekających chwilę przed wybuchem, oboje byli w bluzach z kapturem i dzinsach. Chłopak był czarnoskóry i bardzo wysoki, zaś dziewczyna niska i biała.

Poczułam bolesny skurcz żołądka. Wszystkie kłopoty, jakiem miałam wczoraj, zniknęły. Teraz tkwiliśmy w tym z Pajakiem po uszy. Popatrzyliśmy na siebie, a Val jedną dłonią trzymała za rękę mnie, a drugą podała Pajakowi.

- Nic nie zrobiliście. Nic na was nie mają – oznajmiła stanowczo.

Tylko że oboje mieliśmy już kłopoty z policją, a stróże prawa i porządku nie łykną żadnych historyjek o mocach psychicznych, nie?



Pająk spojrział na mnie nad głową swojej babci, a ja wiedziałam, co myśli.  
Nie mogliśmy czekać, aż nas zgarną. Czas spadać.

## Rozdział 11

**S**łuchaj, muszę na chwilę wyjść. Mówiłem ci, mam parę interesów. Kiedy tylko wrócę, wyruszamy.

- Ale... - zaczęłam protestować, jednak Pająk nie zamierzał słuchać.

- Będziemy potrzebować kasy, nie? Wy skołujecie trochę jedzenia.

- Okay, tylko co, jeśli cię zgarną...?

- Nic mi nie będzie. – Wciągnął kurtkę na bluzę, a wełnianą czapkę na niesforne włosy. – Nie martw się, Jem. – Zacisnął dłoń w pięść i wyciągnął w moją stronę, ja zrobiłam to samo. Stuknęliśmy się kostkami. – No to luz, niedługo wrócę.

Wyszedł z domu.

Val przez cały czas obserwowała nas w milczeniu. W końcu podniosła się z fotelu.

- Będzie dobrze, wiesz o tym. Nic na was nie mają. Nic nie zrobiliście.

Wzruszyłam ramionami nieprzekonana. Na nóż zareagowali źle, a atak terrorystyczny to było coś znacznie, znacznie gorszego.

- Nie bój się, nie zamierzam was zatrzymywać. Róbcie wszystko, co uznacie za stosowne... Słuchaj – dodała, idąc w stronę drzwi – jeżeli chcecie uciekać, będziecie potrzebowali ubrań. Sprawdź u siebie w pokoju. Ty tymczasem zajrzyj do kuchni i weź, co chcesz.

W kuchni zaczęłam losowo otwierać szafki. Niewiele w nich było – parę puszek groszku, fasolka, pudełko ziemniaków w proszku. Wzięłam paczkę krakersów.

- Znalazłaś herbatniki z czekoladą? Mam gdzieś paczkę – odezwała się Val, wchodząc z naręczem rzeczy. – Przymierz – powiedziała, podając mi ubrania.

Zabrałam ciuchy do salonu i przerzuciłam, myśląc, że wołałabym umrzeć, niż cokolwiek z tego włożyć. Val jest mała jak ja, więc rozmiar był dobry, ale jej rzeczy śmierdziały papierochami i szczerze mówiąc, były okropne.

- Co się tak krzywisz? Nie dość dobre dla ciebie? – Przyłapała mnie. – Słuchaj, potrzebujesz paru T-shirtów i czegoś ciepłego. Robi się coraz zimniej. Ten sweter – zaczęła energicznie grzebać w stosie i wyciągnęła coś wielkiego i różowego z ogromnym golfem oraz płaszczy czy coś w tym stylu. – Masz. – Rzuciła mi miętowozieloną ocieplaną kurtkę z kapturem i rękawiczki.

- Ja... przymierzę je na górze.

Pobiegłam na piętro i znalazłam łazienkę, rzuciłam ciuchy na podłogę obok wanny i zamknęłam drzwi na zasuwkę. Skorzystałam z toalety, a potem siedziałam tam i siedziałam, oddychając ciężko, usiłując jakoś oswoić to, co się stało, co się nadal działo... Było tak, jakby wszystko ślizgało się dookoła mnie, a ja usiłowałam to opanować, utrzymać w kupie.

Po chwili wstałam i zdjęłam bluzę. I tak będę musiała przymierzyć rzeczy Val. Włożyłam cokolwiek i odwróciłam się do lustra. Wyglądałam jak stara baba. Okropność. Jednak musiałam działać. Gliny już raz mnie zgarnęły, szybko załapią, że to o mnie chodzi, nawet jeśli Karen do nich nie zadzwoni (a byłam dziwnie pewna, że to zrobi). Mają mój rysopis i nawet zdjęcia. Karen pstryknęła mi parę fotek z bliźniakami, gdy u niej zamieszkałam. Będą szukać małej, chudej dziewczyny z długimi, burymi włosami.

Otworzyłam szafkę nad umywalką. Wśród środków przeciwbólowych, kremu na hemoroidy i tabletek na niestrawność leżały nożyczki do paznokci. Nie zastanawiając się długo, chwyciłam je i zabrałam się za moje włosy. Nożyczki były do niczego, cięły tylko wtedy, gdy naciągnęłam kosmyk naprawdę mocno. W ręce zostawały mi pełne garście włosów. Pozwalałam im spadać na podłogę. Gdzieś w połowie całej akcji spojrzałam w lustro. Jezu, wyglądałam okropnie. Co ja, do cholery, zrobiłam?! Nieważne – skoro zaczęłam, muszę skończyć. Nie spojrzałam już w lustro, póki nie ścięłam wszystkich włosów.

Widzieliście kiedyś film „Angielski pacjent”? Cholerne nudy, moim zdaniem. Karen raz zmusiła mnie, żebym go obejrzała, ciągnął się godzinami, a ona na końcu wypłakiwała oczy, głupia krowa. Nieważne, w każdym razie jedna z bohaterek – pielęgniarka – skróciła sobie włosy i wyglądała cudownie. Po prostu je obcięła, przejechała po nich palcami i już – jak modelka. Zrobiłam tak samo. Tylko że ja prezentowałam się okropnie. Mowy nie było, żebym z takim czymś wyszła z domu, a tym bardziej uciekała. Patrzyłam na kłęby włosów walające się po podłodze i ścisnął mi się żołądek. Nie ma jakiegoś sposobu, by przykleić je z powrotem...?

Val zapukała do łazienki.

- W porządku...? Jem, nic ci nie jest?

Odsunęłam zasuwkę i otworzyłam drzwi.

- Jezu Chryste! – Było gorzej niż myślałam. – Hm, nie jest tak źle – dodała szybko, usiłując naprawić swój nietakt, ale obie wiedziałyśmy, że nikogo nie zdoła oszukać. Tragedia. – Kochanie, chyba trzeba je ściąć na zero. Mam tu gdzieś maszynkę. Zajrzę pod umywalkę.

Zabrała mnie na dół do kuchni i posadziła na stołku. Czułam się jak rekrut. Krzywiłam się, kiedy maszynka zgrzytała tępo koło ucha.

- Siedź spokojnie, skarbie, nic nie działam, jeśli będziesz się wiercić.

Po dłuższym czasie cofnęła się o krok, by podziwiać swoje dzieło.

- No, teraz lepiej.

Uniosłam rękę do głowy. Nie miałam włosów. Czułam kształt nagiej czaszki.

- Nie, Jem, nie jest za krótko, ścinałam tylko czwórka. Sama zobacz.

Popędziłam na górę do łazienki. Przez chwilę stałam przed drzwiami, zbierając się na odwagę, by wejść i spojrzeć w lustro. Dziewczyna w szklanej tafli odwzajemniła spojrzenie. Obca. Zwykle widziałam swoją twarz otoczoną burzą włosów, na pół zasłoniętą. Teraz była obnażona, oczy, brwi, nos, usta,

uszy, linia szczęki, wszystko. Wyglądałam na góra dziesięć lat, jakiś dziesięcioletni chłopiec. Popatrzyłam ponuro, osóbką w lustrze też. Może i była mała, ale lepiej z nią nie zadzierać. Ostra. Skupione oczy, silne kości policzkowe, przez skórę było widać mięśnie szczęki. Może i znikła grzywa-przegroda, ale za to byłam twardzielką. Uznałam, że mogę z tym żyć. Przejechałam ręką po resztkach włosów, lekko kłuły ale zaczynały mi się podobać.

Kiedy wróciłam do kuchni, Pająk już był. Dosłownie opadła mu szczęka, słowo daję.

- Kurwa, nie było mnie tylko pół godziny! Coś ty zrobiła?! – Obszedł mnie, oglądając z każdej strony. – Boże – śmiał się – wyglądasz naprawdę cool! – Wyciągnął dłoń i dotknął moich włosów.

- Odwal się!

Nie byłam publiczną własnością. Odskoczył, podnosząc obie ręce.

- Okay, okay. – Nadal się śmiał. – Słuchaj, musimy ruszać – uspokoił się wreszcie. – Im prędzej, tym lepiej.

- Dokąd chcecie jechać, synu? – spytała Val.

Pająk przestąpił z nogi na nogę, patrząc w dywan.

- Babciu, lepiej, jeśli nie będziesz wiedziała...

- Dobrze, ale zadzwonisz do mnie, jasne? Dasz znać, że nic wam się nie stało.

- Jasne, spróbuję.

Val wrzuciła rzeczy do torby: jedzenie, śpiwór, koc. Ja poszłam na górę po moje własne ciuchy i wsadziłam je do torby od Val. Przez minutę staliśmy, czując się cholernie niezręcznie, potem Pająk odkaslnął.

- Chodźmy, już czas. – Objął babcię. Bał przytuliła go. Usiłowałam nie myśleć o tym, że pewnie widzą się po raz ostatni.

Pająk wziął torby i ruszył do drzwi. Val złapała mnie za ramię.

- Opiekuj się nim, Jem. – Orzechowe oczy zajrzały głęboko w moje. Z trudem przełknęłam ślinę, ale nie powiedziałam nic. Nie mogłam niczego obiecać, prawda? – Uważaj na niego. – Odwróciłam wzrok, a ona wbiła mi paznokcie w ramię. – Wiesz coś? Wiesz coś o Terrym?!

Jęknęłam, to zaczynało boleć.

- Nie – skłamałam.

- Jem, popatrz na mnie. Wiesz coś...?

Zacisnęłam wargi i pokręciłam głową.

- O Boże – mruknęła, a jej źrenice rozszerzyły się ze strachu. – Jem, zrób, co się da.

Puściła moje ramię i wyszliśmy do przedpokoju. Pająk uchylił drzwi i sprawdził okolicę.

- Okay – uznał. – Teren chyba czysty. Ruszamy!

Pobiegł w stronę czerwonego samochodu zaparkowanego na chodniku, otworzył bagażnik i wrzucił torby do środka.

- Co to...? To twój...? – wykrztusiłam.

Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby.

- Teraz już tak. Wsiadaj.

Rozglądał się po ulicy, podrygując jak szalony.

Val sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła pięć funtów.

- Masz – powiedziała, usiłując wcisnąć banknot Pająkowi. – Weź to.

Uśmiechnął się i zacisnął jej dłoń na pieniądzech.

- Nie, babciu, nie martw się, mam kasę.

- Terry, to mnie nie obchodzi. To jest ode mnie. Dałabym wam więcej, ale nie mam. Weź. – Wepchnęła mu funciki do kieszeni.

- A z czego ty będziesz żyć – Nawet kiedy się śpieszył, znalazł czas, żeby o niej pomyśleć.

- Nie martw się, jutro odbieram rentę. Nic mi nie będzie. Kupcie sobie chipsy czy coś.

- Dzięki, babciu. – Znowu pochylił się, żeby ją przytulić. Zamknęła oczy i objęła go ostatni raz. – Odezwę się i do zobaczenia niedługo, tak?

- Tak, synu, w porządku.

Wsiedliśmy do samochodu, a Pająk sięgnął rękami pod kierownicę i dotąd tam grzebał, aż auto ożyło. Kiedy ruszyliśmy, obejrzałam się. Val stała na chodniku, spoglądając za nam, z na wpół uniesioną ręką. W głowie słyszałam jej słowa: „Jem, zrób, co się da”. Miałam ochotę powiedzieć Pająkowi, żeby się natychmiast zatrzymał. Chciałam wysiąść i uciec, biec, dopóki nie dostanę zawału albo dopóki ktoś mnie nie złapie. Wtedy wreszcie nic już by ode mnie nie zależało. W głębi ducha wiedziałam, że w żaden sposób nie mogę pomóc Pająkowi, jego czas się zbliżał, teraz to już kwestia dni, nie tygodni.

- Włącz radio, znajdź jakąś muzykę. – Jego głos rozproszył moje myśli.

Przyjrzałam mu się. Przepętniała go energia, ta cała afera go kręciła – ucieczka, jazda przez Londyn. Gdyby był psem, miałby teraz otwarte okno, głowę na zewnątrz, a uszy powiewałyby mu na wietrze.

Skakałam po radiostacjach. Same śmieci, więc otworzyłam skrytkę, żeby poszukać płyt. Wybór był raczej tragiczny: Bee Gees, Elton John, Dire Straits. Była tam jeszcze masa innego badziewia: rachunki, stara szczotka do włosów, jakieś papiery. Wyciągnęłam jeden z nich, nic specjalnego, nudny rachunek. Już miałam go rzucić na podłogę, kiedy coś wpadło mi w oko. Na samej górze był adres – J.P. McNulty, 24 Crescent Drive, Finsbury Park, Londyn.

- Rany boskie, Pająk. To samochód Świra! Odbiło ci?

Oczy mu lśniły.

- Nie mogłem się oprzeć. Super, co?

- Byłeś koło szkoły?

- Tak, prześlizgnąłem się. Wszyscy tkwili na ostatniej lekcji, Uwiąłem się, astry równie dobrze można w ogóle nie zamykać.

- Świr musiał to już zgłosić. Będą szukać samochodu.

- Myślałem o tym. Lepiej unikać autostrad, tam pełno policyjnych wozów z kamerami. Zarobimy trochę czasu, zanim trzeba będzie wymienić wóz.

Byłam pod wrażeniem, rzeczywiście przemyślał wszystko. Wciąż zerkał na tyle lusterko. Za każdym razem, kiedy to robił, samochodem lekko zarzucało.

- O co chodzi?

- Sprawdzam, czy nikt za nami nie jedzie.

- Słyszelibyśmy syreny, nie?

- Jem, nie chodzi tylko o suki, policja ma też nieoznakowane wozy. Są różne...

- A dokąd właściwie jedziemy...? – Wcześniej o to nie pytałam, pozwoliłam Pająkowi przejąć dowodzenie. Wyglądało na to, że wie, co robi.

- Chyba raczej nie warto próbować wyjechać z kraju. Będę mieć oko na wszystkie porty. Musimy jechać, aż znajdziemy miejsce, gdzie można się na chwilę przycząić. Myślałem, że zachód byłby okay, może dotrzemy nad samo morze...

Wszystko jasne. *Jego najlepszy dzień w życiu.*

- Weston-Super-Coştam?

Uśmiechnął się.

- Tak. W każdym razie tam się kierujemy.

- A gdzie to, do cholery, jest?!

Przyznaję, moja znajomość geografii jest zerowa.

- Na zachód, kierunek Bristol i dalej. Może kupię mapę, kiedy się zatrzymamy po paliwo. Nie, żebym umiał czytać mapy, ale to chyba nie jest takie trudne...

- Czyli masz kasę?

- O tak, pełno. – Położył rękę na kieszeni kurtki. – Mamy kasę, mamy podwózkę, wszystko przed nami!

Wydał z siebie idiotyczny okrzyk szczęścia i zaczął się śmiać jak opętany.

Na jedną chwilę zapomniałam o terrorystach, policji i o tym, że siedzę w kradzionym samochodzie z gościem, który ma pełno lewej kasy. Wydawało mi się, jakby po piętnastu latach czekania moje życie nareszcie się zaczynało. Prawdziwa przygoda, a ja nie miałam nic przeciwko temu.

## Rozdział 12

**D**roga wylotowa z Londynu przypominała scenografię z filmu science fiction. Jechaliśmy przez coś w rodzaju rampy między kosmicznymi biurkami piętnaście metrów nad ziemią. Nic, tylko beton, szkło i niebo. Byliśmy częścią strumienia samochodów, który wypływał z miasta. Kiedy patrzyłam na ciągnący się przed nami sznur świateł pozycyjnych, myślałam o tym, że w każdym z tych samochodów siedzi ktoś, kto ma własną historię. Ludzie wracający z pracy, cieszący się, że zostawiają za sobą terrorystów i chaos, pędzą na przedmieścia, gdzie na nich czeka dwa i cztery dziesiąte dzieciaka. Żadna z tych historii nie może być podobna do naszej, prawda? Uciekamy przed policją kradzionym wozem. Oto mój sen: Pająk i ja jako filmowe gwiazdy. Tak, to było coś, tylko... zbyt fajne, by mogło być prawdziwe.

Pająk zmienił pas na środkowy i zaczął wyprzedzać ciężarówkę. Nie wiadomo skąd jakiś samochód znalazł się tuż za nami na skrajnym pasie. Rozległ się klakson.

- Cholera!

Pająk szarpnął kierownicą i przerzucił nas z powrotem na lewo. Trąbiący samochód dogonił nas, a kierowca gapił się na Pajaka, krzycząc i machając rękami.

- Wal się! – odwrzasnął mu Pająk.

Gość dostawał szału.

- Pająk, daj spokój. Nie patrz na niego. Na litość boską, patrz na drogę, bo się rozwalimy!

Pająk jechał jak wariat, wykonując kompletnie przypadkowe ruchy kierownicą. W końcu gość przyśpieszył i zniknął, a ja odetchnęłam z ulgą.

- Nie chcemy zwracać na siebie uwagi, uspokój się.

- Tak, wiem, ale to był kompletny palant. Wkurzał mnie, człowieku.

- Chyba musimy zjechać z tej drogi, znaleźć jakąś spokojniejszą.

- Tak, zjedziemy najbliższym zjazdem.

Pająk ciągle był zdenerwowany, ale przynajmniej teraz miał obie ręce na kierownicy.

Niedługo pojawił się znak zjazdu.

Zjechaliśmy na odpowiedni pas, hamulce zapiszczały, kiedy Pająk usiłował zwolnić na zakręcie. Pojawił się znak, że będzie rondo, ale jechaliśmy za szybko, żeby mu się przyjrzeć. Wjechaliśmy na rondo i nie wiedzieliśmy, co dalej. Jeździliśmy w kółko, śledząc drogowskazy.

- Hounslow... Slough... Harrow... Jezu, dokąd?

Zrobiliśmy pełne koło, mając wrażenie, że nigdy się stąd nie wydostaniemy. W końcu wybraliśmy jedną z dróg, podczas gdy dookoła nas trąbiły klaksony. Wciąż tkwiliśmy w strumieniu samochodów.

- Jem, czy był ktoś za nami? Jeździł w kółko jak my?

- A skąd mam wiedzieć?

- Musisz patrzeć w lusterka! To żadna pieprzona filozofia! – Miał na czole krople potu. Wiedziałam, że jest zdenerwowany, ale teraz zachowywał się jak palant.

- Zamknij się! – wrzasnęłam. – Widzę tylko światła, wszystkie są takie same. Skąd mam, do cholery, wiedzieć, czy ktoś nas śledzi!

Otarł ręką czoło i włosy.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie wiem, jedź przed siebie. Zaraz powinien być jakiś drogowskaz.

- Drogowskazy chyba niewiele pomogą. Przydałaby się nam mapa.

- Mnie na nic, nie znam się na mapach.

- No to będziemy musieli się nauczyć. Rany, potrzebuję przerwy. – Pająk skręcił w boczną drogę i stanął. Zgasił silnik i przeciągnął się na tyle, na ile mógł, siedząc w fotelu, po czym schował twarz w dłoniach i odetchnął głęboko przez palce. – Kurwa! Człowieku, ciężkie to.

- Prowadzenie?

- Tak, o tylu rzeczach trzeba myśleć, wszystko naraz.

Otarł resztę potu z czoła rękawem, odchylił głowę i zamknął oczy.

- Pająk – powiedziała powoli. – Prowadziłeś już kiedyś samochód, nie?

- Pewnie – odparł, nie otwierając oczu. – Rany, objechałem samochodem przemysłową działkę Spencera.

- Myślałam, że robiłeś to często, kradłeś auta itd.

- Tak, jasne... Jem, ja byłem tylko w obstawie. Jeździć mi nigdy nie dali. Spojrzałam na niego ostro.

- Nie wierzę... Ale z ciebie świr! Właśnie przejechaliśmy przez jedno z najruchliwszych miejsc na świecie, pokreconych jak cholera, a ty tylko raz w życiu prowadziłeś samochód! O Boże...

Złapałam się na tym, że śmieję się z ulgą graniczącą z histerią.

Otworzył oczy.

- Co? Z czego się śmiejesz? Dowiozłem nas tutaj, nie?

Złapałam oddech.

- Ja się nie śmieję z ciebie. Naprawdę nie. – Wyglądał na oburzonego, uspokajająco dotknęłam jego ramienia. – Dowiozłeś nas tutaj. Byłeś super. Byłeś super, Pająk. Chodź, zajrzyjmy do torby od twojej babci. Zjemy coś.

Poszedł do bagażnika, wyciągnął torbę i rzucił mi na kolana. Sięgnęłam do środka. Zawartość była raczej żałosna – krakersy, czekoladowe herbatniki, jakieś puszki, ale otwieracza brak. Była paczka papierosów, przynajmniej tyle, a na dnie coś ciężkiego. Sięgnęłam głębiej. Poczulałam szyjkę butelki. Wyciągnęłam ją. Twarz Pajaka pojaśniała.

- Człowieku, mowy nie ma – powiedziała, chowając wódkę z powrotem do torby. – W tej chwili to by ci raczej nie pomogło.

- Ale mi się chce pić. Jest tam coś innego do picia?



Pogrzebałam trochę.

- Nie.

- To słabo – stwierdził.

- Co?

Nie wiedzieć czemu wybuchnął śmiechem.

To było zaraźliwe. Właściwie nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale też zaczęłam się śmiać. Siedzieliśmy tam jak pieprzona, ale wesoła para idiotów.

Kiedy się uspokoiiliśmy, czuliśmy się tak, jakby uszła z nas cała energia, wysmialiśmy ją na amen. W samochodzie zapanowała cisza. Powoli doganiała nas rzeczywistość, jak wtedy, gdy wypije się coś naprawdę zimnego i czuje chłód spływający do żołądka.

Dopadły mnie wątpliwości, zaczęłam bać się tej wyprawy. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy, nie mieliśmy ze sobą nic użytecznego, wszyscy nas będą szukać. Nie chciałam tego mówić na głos, ale po prostu nie mogłam się powstrzymać.

- Może powinniśmy zawrócić – zaczęłam. – Może potraktują nas łagodniej, gdy sami wrócimy i się poddamy.

Pająk pokręcił głową.

- Ja nie wracam, nigdy. Nie mogę, Jem.

- Co to znaczy, że nie możesz? No dobrze, będzie ciężko. Przesłuchanie, wypytywanie, co się stało. Dostanie się nam, za ten rąbnięty samochód też, ale w sumie... co mogą nam zrobić? Wsadzić do pudła...?

- Nie, Jem, nie chodzi o policję, chociaż mnie tym razem na pewno zamkną, tylko czekali na okazję. Ale gliny to nie problem. Zobacz.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął brązową kopertę, taką dużą, złożoną na pół. Podał mi ją.

- Co to jest?

- Zajrzyj.

Otworzyłam kopertę i zajrzałam do środka. Były tam banknoty, gruby plik. W życiu nie widziałam tyle kasy.

- Jem, to jest nasza przyszłość. No, w każdym razie następne parę tygodni.

Trzymałam banknoty w jednej ręce, kciukiem drugiej przejechałam po nich, jakbym kartkowała książkę. Tu musiały być setki używanych pięcio- i dziesięciofuntówek. Tysiące funtów.

- Pająk, co ty zrobiłeś? Obrabowałeś bank?

Obgryzał skórkę przy paznokciu, potem spojrzał na mnie bez odpowiedzi.

- Pająk, co ty zrobiłeś...? – szepnęłam.

Spuścił wzrok i przejechał dłońmi po włosach.

- Nie dostarczyłem ostatniej przesyłki.

- To kasa Baza?! Okradłeś go?! Boże, Pająk, zabiją cię!

Znowu obgryzał skórkę.

- Nie, jeśli mnie nie złapią. Dlatego nie mogę wrócić. Jem, siedzimy na tym gównie razem. I razem musimy zacząć od nowa...

Zamknęłam oczy. Naprawdę nie było powrotu. Poczułam dłoń na ramieniu.

- Nic ci nie jest? – Nie odzywałam się, nie wiedziałam, co powiedzieć. –  
Mógłbym gdzieś cię zostawić... Ja nie mogę wrócić, ale ty tak. Możesz wrócić,  
Jem.

Dotarli do mnie jego słowa. Mówił poważnie – pojechałby dalej beze mnie.  
Ale do czego miałabym wrócić? Do policji, do socjalki, do Karen?

Otworzyłam oczy, a on gapił się prosto na mnie, naprawdę patrzył. Ilu ludzi  
w moim życiu dostrzegano coś więcej niż tylko dziwną, milczącą małą  
dziewczynę w bluzie z kapturem? Ilu ludzi naprawdę się mną przejmowało?  
Pająk był inny: zabawny, walnięty, niespokojny, nieuważny. Był w porządku.

- Nie – powiedziałam. – Jest okay. Zostaję. Chętnie zobaczę Weston-Super-  
Cośtam.

Wyszczerzył zęby i pokiwał głową.

- Pojedźmy dalej tędy, znajdziemy stację i jakieś porządne jedzenie, kupimy  
mapę, otrząśniemy się trochę.

- Okay, zróbmy tak.

Jakoś wykonaliśmy zawrotkę na trzy i wróciliśmy na główną drogę. Po mniej  
więcej dziesięciu minutach znaleźliśmy niewielką stację benzynową i  
zatrzymaliśmy się koło saturatora.

Po chwili szperania i macania kolejnych przycisków Pająk odkrył, jak się  
otwiera wlew baku. Potem już sprawnie załatwił sprawę. Oboje poszliśmy do  
sklepu, ja skorzystałam z toalety, a Pająk nabrał masę rzeczy – colę, chrupki,  
czekoladę, jakieś kanapki. Żarcia powinno nam starczyć na parę dni. Ludzie  
patrzyli na nas trochę dziwnie. „Cholera – pomyślałam – zapamiętają dwójkę  
dzieciaków obładowanych żarciem”.

Kolejka posuwała się megawolno.

Gość przy kasie miał włączone radio. Przerwali muzykę, żeby nadać ważne  
wiadomości: „Londyn wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po tym, jak potężna  
eksplozja zniszczyła London Eye. Siedem osób zginęło, wiele innych zostało  
rannych. Policja wciąż poszukuje dwójga młodych ludzi, bardzo wysokiego  
czarnoskórego oraz znacznie niższej dziewczyny o drobnej budowie ciała”.

Swędziała mnie cała skóra. Miałam wrażenie, że nad głową mam wielki neon  
i strzałkę: TUTAJ SA. Wiedziałam, że Pająk też to słyszał, patrzył w ziemię,  
przestępując z nogi na nogę i zagryzając wargę. Czekałam, aż ktoś coś powie,  
chwyci jedno z nas. To była tortura. Z całego serca pragnęłam rzucić zakupy i  
dać nogę, ale walczyłam z tym. „Tylko spokój, spokój” – myślałam.

Powoli posuwaliśmy się do przodu. Kiedy dotarliśmy do kasy, wiadomości  
się skończyły i znowu grała muzyka. Gość nawet na nas nie spojrzął, spytał  
tylko o numer saturatora i przejechał skanerem po kodach na jedzeniu. Pająk  
zapłacił gotówką i wyszliśmy.

W drodze do wyjścia zauważyłam wysoko w rogu stacji kamerę. Przez  
sekundę patrzyłam prosto w nią, a ona na mnie, jak nieruchome oko. „Super –  
pomyślałam. – Teraz mają moje zdjęcie, w głupiej kurtce Val i z łysą pałką”.

Zanim wsiadłam do samochodu, zdjęłam miętowozielone paskudztwo i rzuciłam na tylne siedzenie. Pająk zdążył już odpalić silnik.

- Okay, jedziemy. Masz, popatrz na mapę, może uda ci się znaleźć, gdzie jesteśmy.

Położył mi na kolanach całkiem gruby zeszyt. Zaczęłam protestować, ale mi przerwał.

- Jem, musimy stąd spadać. Sprawa życia i śmierci. Mus to mus.

Przerzucałam strony, dopóki nie trafiłam na mapę południa Anglii. Skupiłam się, usiłując odczytać wzór setek linii. Wreszcie znalazłam Londyn i zaczęłam szukać na lewo. Poczułam przyływ triumfu, kiedy odkryłam Bristol. Między miastami była masa dróg, wystarczyło jedną znaleźć.

- Pająk, jedź, aż znajdziemy jakiś drogowskaz. Wtedy będę mogła coś powiedzieć.

I tak nie bez przygód wydostaliśmy się z miasta, zatrzymując się co jakiś czas, żeby sprawdzić mapę, zawracając, gdy się pomylił.

Przez cały czas nasłuchiwałam wycia syren i sprawdzałam w bocznym lusterku samochody za nami.

Kiedy wreszcie udało mi się znaleźć na mapie, gdzie jesteśmy, trzymałam na tym miejscu palec, przesuwając go w miarę upływu podróży.

W Basingstoke zjechaliśmy z obwodnicy i znaleźliśmy cichą uliczkę. Pająk odlał się, a potem zrobiliśmy w samochodzie coś jakby piknik: kanapki, chrupki, cola.

- Chyba powinniśmy zostawić ten samochód. Jest za gorący, każdy gliniarz w kraju go szuka – oznajmił Pająk z pełnymi ustami, pryskając na wszystkie strony kawałkami chrupek.

Poczułam ukłucie żalu.

- Prawie go polubiłam.

- Tak, wiem, ale jak go nie wymienimy, zgarną nas dzisiaj albo jutro. Może znajdziemy jakieś naprawdę spokojne miejsce i przekimamy, a wcześniej rano zorganizuję następny wóz. Jestem padnięty.

Jeździliśmy, aż znaleźliśmy nieoświetloną wiejską drogę. Zjechaliśmy w coś rodzaju zatoczki, zgasiliśmy silnik i światła. Ciemność była jak smoła, nienaturalna.

- Pająk, to mi się nie podoba. Cholernie tu ciemno. Znajdźmy coś oświetlonego. Tu jest strasznie.

- Nie, człowieku. Jeśli będzie jasno, ludzie nas wypatrzą. Pięciu minut nie przetrwamy. Jak zamkniesz oczy, to i tak nie poczujesz różnicy. Słuchaj, wleź do tyłu i połów się, tam ci będzie wygodnie.

- A ty gdzie będziesz?

- Nigdzie, tu się prześpię.

Jego długie nogi ledwie mieściły się z przodu, głowa dotykała sufitu.

- Nie, tu mi dobrze, mogę odchylić oparcie. Ty wleź do tyłu, będziesz miał więcej miejsca.

Tyle, jeśli chodzi o staromodną galanterię. Od razu się zgodził i przeszedł na tylną kanapę. Pogrzebał w bagażniku i podał mi koc. Owinęłam go sobie wokół ramion i usiłowałam ułożyć się w miarę wygodnie. Zamknęłam oczy, ale widziałam tylko obrazy z telewizji: miejsce, gdzie były wagoniki London Eye, strzępy niebieskiej kurtki, resztki słomianej torby. Znowu widziałam kolejkę, twarze na mnie patrzyły. Otworzyłam oczy, ale to nie przyniosło mi ulgi, nie miałam na czym się skupić, nic, tylko ta nieszczęsna czerń wiejskiej drogi. Ciemność była gęsta, mogła kryć cokolwiek. Za ledwie parę metrów od samochodu mógł chować się ogromny facet z nożem, a my go nie zobaczymy, dopóki nie stanie tuż obok, nie przycisnie twarzy i rąk do okien, co rozgniecie je groteskowo, dopóki nie otworzy szarpnięciem drzwi i...

- Pająk, śpisz?

- Nie. – Słyszałam, jak się wierci. – Jestem wykończony, ale nie mogę spać. Mój mózg nie chce się wyłączyć, jakbym był pod prądem.

- Boję się. Nie podoba mi się tu.

Czułam, jak sięga przez oparcie fotela i klepie mnie po ramieniu. Wysunęłam rękę spod koca i splotłam palce z jego. Pajaka wydawała się dwa razy większa od mojej – długie palce i wystające kostki. Delikatnie pogładził nasadę mojego kciuka, uspokajając mnie bez słów. Musiałam chyba zasnąć, bo następane, co pamiętam, to szare, srebrzyste światło wpadające do samochodu przez zaparowane okna. Pająk energicznie mościł się w fotelu kierowcy.

- Czas jechać, Jem. Znajdźmy sobie jakiś fajny wózek i zabierajmy się stąd, zanim wszyscy się obudzą.

Zawrócił i pojechaliśmy z powrotem na przedmieścia śpiącego miasteczka. Rzuciło mnie do przodu, kiedy nagle dał po hamulcach. Przed nami przez drogę przechodził lis, wielki lis. Pająk uśmiechnął się, kiedy zwierzak zniknął w żywopłocie.

- Dobrze, że w niego nie wałęnałem. Jem, on jest tak sam jak my. Złodziej, wychodzi, kiedy nikogo nie ma. Szacunek, panie lisie.

Jechaliśmy dalej, wkrótce znaleźliśmy się w cichych uliczkach pełnych zaparkowanych samochodów. Było megawczesnie, ale Pająk wcale nie był zaspany, jego taksujące spojrzenie przesuwano się po rzędach aut. Po chwili zatrzymał się i głową wskazał drugą stronę ulicy, gdzie stało wielkie kombi.

- Bierzemy ten. Załaduj wszystko do toreb. Szybko i żadnego hałasu.

Uniósł długi kościsty palec do ust i mrugnął. Był cholernie zadowolony.

## Rozdział 13

**Z**ostań tutaj, ja sprawdzę teren.

Pająk wysiadł z samochodu i przebiegł przez drogę. Szybko okrążył kombi i wrócił.

- W porządku. Żadnych blokad i alarmów. Pozbieraj wszystkie nasze rzeczy, nie zapomnij o kocach.

- Chwileczkę.

Sięgnęłam do schowka i wyjęłam ten list do McNulty'ego. Poszukałam czegoś do pisania, w końcu znalazłam ogryzek ołówka. Maczkiem dopisałam na samym rogu kartki: *Koniec: 25.12.2023*. Pożegnalny prezent dla okrutnego drania.

- Co ty, do cholery, robisz?! – syknął Pająk. – Musimy spadać, zanim ktoś nie wyjrzy zza firanki. Chodź!

Upuściłam list na podłogę, pozbierałam rzeczy i wysiadłam. Pająk był już przy drzwiach kierowcy kombiaka, majstrował przy zamku jakimś narzędziem. Pstryknęło w zadowalający sposób, a on wsiadł i otworzył mi drzwi pasażera. Wrzuciłam cały nasz towar na tylne siedzenie i wskoczyłam do środka, usiłując zamknąć drzwi jak najszybciej. Pająk robił te swoje czary-mary pod kierownicą. Po chwili silnik zawarczał. Ruszyliśmy wolno i spokojnie przez uśpione ulice.

Wydostanie się z Basingstoke zajęło nam całą wieczność. Co za koszmar, jakby specjalnie tak projektowali miasta, by chwytać ludzi w pułapki. Dobre dwadzieścia minut jeździliśmy w kółko, póki nie zobaczyłam drogowskiego na Andover. Widziałam tę nazwę na mapie – kolejne miasto na zachód.

Wreszcie byliśmy w trasie i Pająk odetchnął z ulgą.

- Moim zdaniem powinni zbombardować pieprzone Basingstoke, a Londyn zostawić w spokoju.

Na drodze nawet o wpół do siódmej rano było sporo samochodów.

- Włącz radio, zobaczymy, co się dzieje – poprosił mnie Pająk.

Ja niczego nie chciałam wiedzieć, wolałam, żeby cały świat został za nami, żebyśmy byli tylko ja i Pająk w samochodzie. Jednak włączyłam radio i na chybił trafił wciskałam guziki, aż znalazłam jakieś wiadomości.

„Liczba ofiar śmiertelnych wczorajszego wybuchu bomby w Londynie wzrosła w nocy do jedenastu osób, dwudziestu sześciu rannych jest wciąż hospitalizowanych, dwóch jest w stanie krytycznym. W tej chwili eksperci policyjni przeszukują teren w poszukiwaniu dowodów, które wskażą sprawców lub też potwierdzą tożsamość ofiar. Policja wciąż apeluje do dwojga młodych ludzi, których widziano, jak opuszczają London Eye tuż przed eksplozją, o pilne zgłoszenie się. Prowadzący śledztwo są gotowi ujawnić nagranie z kamer bezpieczeństwa na dzisiejszej konferencji prasowej”.

- Wyłącz to, Jem. Nie mówili nic o samochodzie, nie? Może jeszcze nas nie rozgryźli...

- Hm, a myślisz, że podaliby w radiu wszystko, co wiedzą? Chyba nie są aż takimi głupami... Karen musiała zgłosić moje zaginięcie i mają zdjęcia z kamer...

- Najlepiej byłoby znaleźć jakąś kryjówkę, obozowisko w lesie. Między ludźmi nie będziemy bezpieczni.

Znów ścisnęło mi się serce. Cholera, czy którekolwiek z nas wiedziało coś o obozowisku? Dwójka głupich dzieciaków z Londynu!

- Pająk, byłeś choć raz w życiu na biwaku?

- Nie, ale to chyba nie może być trudne. Potrzebujemy tylko jedzenia i wody, parę koców i jakieś w miarę zaciszne miejsce. Jak komandosi, nie?

- Nie chcę zostać komandosem – roześmiałam się.

- Nie to nie, ale myślałem, że skoro masz już fryzurę, to... Nie pękaj, Jem. Będziemy żyć z ziemi, łapać zwierzaki, zbierać jagody. Damy radę.

- Jeżeli będziemy szukać pożywienia w lesie, najpóźniej jutro wieczorem wylądujemy w szpitalu, bo się otrujemy! O ile najpierw nie zamarzniemy na śmierć! – Miałam ponury nastrój, do tego za oknem widziałam tylko przygnębiającą mieszankę pól i łąk. Była równa przyjazna jak powierzchnia Marsa: zero sklepów, zero domów czy ludzi, brak życia. Fakt, Londyn to dziura, ale przynajmniej jakaś cywilizacja, a nie ta niekończąca się błotnista nudna pustynia. – Dlaczego nie możemy zostać w samochodzie? Zaparkujemy gdzieś z boku...

- Tak, może i masz rację. Słuchaj, pojedziemy jeszcze jakieś pół godziny, a potem zaparkujemy nie na widoku. Jak się ściemni, ruszymy dalej. Po ciemku trudniej nas będzie zauważyć.

Jechaliśmy i jechaliśmy, mijając ponure wzgórza, a tu i ówdzie samotne farmy. Co jakiś czas pojawiało się kilka domków, czasami sklep. Te wsie może i miały nazwy, ale nam trudno je było odnaleźć. Nic w nich nie było ciekawego. Niektóre domy miały słomiane dachy, jak w jakimś pieprzonym średniowieczu. Przypomniała mi się historia o trzech świnkach – mama mi ją kiedyś czytała. Jedna głupia świnka buduje dom ze słomy, a zły wilk go zdmuchuje. Na końcu wilk łąduje w garnku, a świnki są bezpieczne w ceglany domku... Nie wiem, dlaczego opowiadając dzieciom takie kłamstwa. Wcale nie jest trudno załapać, że w prawdziwym życiu wilk zawsze wygrywa. Takie małe świnki, jak ja i Pająk, nie mają szans.

- O czym myślisz?

Ocknęłam się nagle. Nie spałam, tylko zamyśliłam się tak bardzo, że przez chwilę byłam nieobecna.

- O świnkach.

- Widziałaś jakieś?

Rozejrzał się szybko, przez co samochód zniosło na prawo.

- Nie. I patrz na drogę! Zabijesz nas oboje. Nie o prawdziwych świnkach. O takich bajkowych, z książki.

Przy drodze pojawił się znak z piknikowym stołem. Zjechaliśmy z drogi i znaleźliśmy dyskretny parking. Stała tam ciężarówka, wjechaliśmy więc za nią, oboje łyknęliśmy coli i zjedliśmy kilka herbatników. Pojawił się kierowca ciężarówki, podszedł do tyłu samochodu. Zatrzymał się, żeby zapalić papierosa, potem sprawdził, czy wszystko jest porządnie umocowane. Zauważyłam, że przez cały czas na nas patrzy. Niby udawał, że nie, ale człowiek czuje, kiedy ktoś się na niego gapi. Instynktownie wtuliłam się w fotel, obserwując, jak podchodzi do kabiny i wchodzi do środka.

- Widzisz go?

Pająk wyciągnął z paszczy kawałek herbatnika.

- Kogo, tego kierowcę?

- Tak, widzisz go w kabinie?

- Tylko jego odbicie w lusterku. A co?

- Co robi?

- Jara i gada do małego radyjka.

Poczułam mrowienie, wszędzie.

- Pająk, on nas wyczał. Zawiadamia policję.

- Nie bądź głupia. Torowcy w kółko ze sobą gadają.

- A jeśli jednak nie? Co wtedy zrobimy?

- Pozbędziemy się tego auta, znajdziemy inne. Tak czy inaczej zabieramy się stąd.

Zapalił, bez trudu zmienił bieg i skręciła na główną drogę. Zaczynał łapać, o co chodzi w kierowaniu.

Obejrzałam się. Daleko w tyle jechała za nami ciężarówka. Właściwie gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie były ciężarówki – samochody przed nami czy nadjeżdżające z przeciwka dosłownie co minutę. Jeśli gość z parkingu nas spojrzął i rozgłosił kumplom, gdzie jesteśmy, byliśmy totalnie załatwieni. Tak, tiry są w stanie śledzić każdy nasz ruch. Zajrzałam do kabiny kolejnego nadjeżdżającego dostawczaka i napotkałam spojrzenie kierowcy – patrzył przez ułamek sekundy, a potem odwrócił wzrok. Miał na uszach słuchawki. Coś mówił, kiedy nas mijał.

- Pająk, musimy zostawić kombiaka. Wyczaili nas. Kierowca tej ciężarówki, która nas minęła, patrzył na mnie. Nie widziałeś?

- Nie. Człowieku, gapię się na drogę, jak kazałaś.

- Tylko rzuć okiem.

Po kilku minutach nadjechała następna ciężarówka. Kierowca zdecydowanie zmierzył nas wzrokiem. Pająk też to widział. Zaklął i skręcił w boczną drogę, pędząc wąską alejką. Jedną ręką trzymałam się drzwi, a drugą tablicy rozdzielczej, modląc się, żeby nikt nie jechał z naprzeciwka. Wreszcie Pająk zwolnił. Zatrzymał się na skrzyżowaniu drogi z alejką zbyt wąską dla

samochodu. Był tam znak informujący: Droga dla pieszych. Ścisnęło mi się serce.

- Zbieraj się, dalej walimy z buta.

- Nie ma mowy. Dokąd? Jak...?

- Weźmiemy wszystko, pójdziemy tą dróżką, po paru kilometrach znajdziemy jakieś miejsce na nocleg, a jak tylko się da, załatwię nowe cztery kółka. Pewnie tu też są farmy, nie? Chodź, pakujemy się.

Załadowaliśmy, co się dało, do plastikowych toreb. Gorączkowo przerzucałam atlas, wyrwałam wszystkie strony pokazujące, gdzie jesteśmy teraz, oraz wszystkie miejsca między nami i Weston.

- Dobry pomysł!

Znowu było widać, że w Pajaku buzuje adrenalina. Moje ciśnienie też skakało, ale to było jak dwie strony medalu. Pająk był podniecona, ta przygoda mu się podobała, a mnie zżerał strach – pościg był coraz bliżej.

Nie wszystko zmieściło się do toreb. Włożyła kurtkę, to lepsze, niż nieść ją w rękę, a Pająk owinął się w koc. Potem, oglądając się jeszcze na samochód, ruszyliśmy dróżką. Bóg jeden wie, jak musieliśmy wyglądać – najprawdopodobniej jak para palantów. Na pewno nie wyglądaliśmy jak turyści (nie mieliśmy plecaków i górskich butów), raczej jak dzieciaki z pociągiem do lumpeksów.

Reklamówki doprowadzały mnie do szału. Jedna ciągle obijała mi się o łydkę. Próbowałam ją obracać, przekładać do drugiej ręki, nic nie pomagało. Bum, bum. Plastik wrzynał mi się w rękę, okropny i nieustanny ból.

Do tego nie mogłam sobie poradzić z nogami. Ścieżka była okropnie nierówna: dwie kamieniste koleiny, a między nimi trawiasta górką. Najpierw szłam koleiną, ale co chwila wykręcałam sobie kostkę na kamieniach, więc przeszłam na ten trawiasty kawałek. To było prawie okay, dopóki dróżka nie zdecydowała się nagle skrócić albo dopóki nie było jakieś dziury czy czegoś. Wtedy znowu miałam kłopoty z kostką. I przez cały czas, bum, bum, bum, ta cholerna torba. Tak się przeczułam, że zaczynało to dla mnie być jak walenie w nogę młotem pneumatycznym.

Szliśmy pół przedpołudnia, aż stanęłam i upuściłam obie torby. Spojrzałam na swoje dłonie. Były jaskrawoczerwone, przecięte szerokimi, białymi liniami, znakami po wrzynających się uchach.

Pająk, nieświadom niczego, maszerował dalej. Jakby słuchał muzyki – szedł w zgodzie z własnym rytmem, kiwając głową, na lekko sprężynujących nogach. Muzyki oczywiście nie miał, chyba że we własnej łepetynie. Gdy załapał, że nie idę za nim, odwrócił się.

- Co jest?

- Dalej nie mogę. Mam dość. Nie możemy odpocząć?

Spojrzał na zegarek.

- Idziemy całe sześć minut. Jeśli wrócisz do tego zakrętu, zobaczysz samochód.



Kopnęłam jedną z toreb.

- Nie dam rady. Nienawidzę chodzenia.

- W Londynie chodzimy całe kilometry nad kanałem i po ulicach. Kilometry, człowieku! Dasz radę.

- Tak, ale tam jest Londyn, cywilizacja. Mają bruk i asfalt. A to jest gówno! Kostki mnie boją. A te głupie torby objijają mi się o nogi i... popatrz na moje ręce!

Wyciągnęłam łapska w jego stronę.

- Słuchaj – powiedział cierpliwie – musimy odejść jak najdalej od samochodu, znaleźć jakąś kryjówkę. Może po godzinie zobaczymy, dokąd doszliśmy?

- Nie słuchasz mnie! NIE MOGĘ! – krzyczałam ze złością. Może nawet tupałam nogami. Potem złapałam tę wredną torbę i cisnęłam nią. Zatoczyła w powietrzu wdzięczny łuk i utknęła w żywopłocie, jakieś dwa metry nad ziemią. Pająk podszedł i położył mi rękę na ustach.

- Cii! Zaraz się tu wszyscy zlecą, wariatko.

W jego oczach tańczyły iskierki, wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

Śmiał się ze mnie.

Śmiał się.

Ze mnie.

Dostałam szału, wymachiwałam pięściami, kopałam, wrzeszcząc i stękając.

- Nigdy się ze mnie nie śmieje! Nigdy...!

Zamiast się cofnąć albo mi oddać, otoczył mnie rękami i nogami, calutką, i przytrzymał. Ramiona miałam przyciśnięte do boków, nie mogłam się ruszyć. Trzymał mnie mocno, twarz miałam wciśniętą w to śmierdzące miejsce pod jego pachą. W ten sposób jakoś wyciągnął ze mnie całą furję. Czułam, jak gniew ze mnie spływa, jak ciało się odpręża. Podbródek opierał mi na czubku głowy, staliśmy tak przez chwilę, oddychając tylko.

- Już w porządku? – zapytał.

- Nie.

Ale było w porządku, a w każdym razie dużo lepiej.

Pająk puścił mnie i podszedł wydostać reklamówkę z żywopłotu.

- Zjedzmy kawałek czekolady i chodźmy dalej. Wezmę te twoje torby.

Na to nie mogłam mu pozwolić – w końcu mam jakąś godność, nie?

- Odwal się, sama mogę je nieść.

- Taa, jasne.

W końcu zawarliśmy kompromis i on wziął tę wredną torbę. Ruszyliśmy znowu, w górę ścieżki. Żółte światło prześlizgiwało się przez gałęzie, a z głównej drogi dolatywało wycie syren.

## Rozdział 14

**D**różka kończyła się ogrodzeniem z niewielką zamkniętą bramką. Ktoś jednak korzystał z tego przejścia, bo pod bramką leżał drewniany klocek. Odłożyliśmy torby i oparliśmy o płot ramionami. Wyglądało na to, że ścieżka idzie dalej prosto, środkiem pola. Teren się tu obniżał, więc nie wszystko było widać – jak okiem sięgnąć były tylko pola. Nigdy dotąd nie widziałam takiej totalnej pustki.

- Gdzie my, do cholery, idziemy? – spytałam.

Pająk wzruszył ramionami.

- Jak najdalej od tego samochodu. Gdziekolwiek.

- Tędy nie możemy. – Ruchem głowy wskazałam wiejską pustynię.

- Dlaczego nie?

- Popatrz tylko, kretynie! Nie ma drzew ani żywopłotów. Będzie nas widać jak nad dłoni w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

- Wolisz wracać? Siedzieć w samochodzie, aż nas znajdą, wyciągną i rozłożą na ziemi z lufami na karkach?

- Z jakimi lufami...?!

- Przecież oni myślą, że jesteśmy terrorystami!

Oparłam głowę na ramieniu i zamknęłam oczy. Nie wiem, jak wyobrażałam sobie życie uciekiniera, ale na pewno nie tak. Czułam się wyczerpana, bolesne zmęczenie wypełniało całe ciało.

- Nie możemy tu na trochę zostać...? – zapytałam, nie podnosząc głowy, głosem zduszonym przez rękaw.

Pająk pokręcił głową.

- Za blisko samochodu. Musimy zniknąć – urwał. – Zobacz, na górcę są drzewa. Dojdziemy tam, a potem się schowamy, aż się ściemni.

Podniosłam wzrok. Na szczycie wzgórza, jakieś dwadzieścia kilometrów dalej, majaczyła ciemniejsza smuga.

- Co tam...?

Pokiwał głową.

- Tak, będziemy tam w pół godziny, czterdzieści minut maks. Uda nam się.

Wziął torby i przerzucił je przez ogrodzenie, a potem przeszedł sam – dla jego długich nóg to nie był problem.

Z westchnieniem ruszyłam za nim. Pisnęłam, gdy klocek na którym stanęłam, zachybotał, panienka z miasta. Pająk roześmiał się i wyciągnął rękę, żeby mi pomóc. Złapałam go i przerzuciłam jedną nogę przez ogrodzenie. Potem próbowałam przerzucić drugą. Tyłek wisiał mi w powietrzu, cholerny płotek chwiał się, a na ręce miałam jakąś maź. Ptasie gównno.

- Kurwa mać! – Za sobą słyszałam śmiech Pajaka. – To nie jest zabawne, cała jestem w gównie! – Usiłowałam wymacać grunt. Kiedy wreszcie znalazłam się na twardej ziemi, Pająk pokładał się z radości. – Co?!

- W życiu nie widziałem takiej komedii! Jesteś super!

- Odwal się!

Chciałam wytrzeć dłoń o niego, ale uskoczył. Przez chwilę ganiałam go dookoła toreb, dopóki nie zdołał złapać mnie za nadgarstek, ściągnąć na ziemię i siłą otrzeć mi rękę o kępę trawy. Większość gówna zeszła, a resztę wytarłam o spodnie. Usiedliśmy z dala od siebie. Ciężko oddychałam z wysiłku, wciągałam powietrze wielkimi haustami. Stopniowo moje ciało się uspokajało, a oddech wracał do normy.

Pająk pogrzebał w jednej z toreb, napił się coli i podał mi butelkę. Napój był ciepły i trochę odgazowany, ale smakował jak pieprzony nektar. W końcu pozbieraliśmy torby i ruszyliśmy dróżką, prosto w przestrzeń.

Nie uwierzycie, jak nieprzyjemnie się czułam, wyłażąc na to pole. Po całej gadaninie Pajaka o lufach wciąż myślałam o miejscu między łopatkami, jakbym czekała, aż jakiś snajper w nie wyceluje. Im dalej odchodziliśmy od bramki, tym bardziej byliśmy na widoku. Nie czułam się bardziej bezbronna, gdybym szła tą ścieżką nago. Dookoła nie było nic, tylko trawa i niebo, więcej nieba niż widziałam w całym swoim życiu, wręcz nieprzyzwoita ilość nieba. W mieście człowiek nie kuma, ile miejsca zajmują budynki. Kiedy ich nie ma, zostaje tylko niebo, wielkie i puste. Między czubkiem głowy a kosmosem jest pustka, tylko grawitacja powstrzymuje cię przez wzlotem daleko od ziemi. Byłam przerażona. Jedyne sposobem, by sobie z tym poradzić, to patrzeć pod nogi i stawiać jedną stopę przed drugą.

Przede mną Pająk maszerował sprężystym krokiem. Złapałam się na tym, że studiuję sposób, w jaki się porusza, obserwowałam długie nogi sięgające aż do chudego tyłka. W szkole czy na ulicy zawsze wydawał się taki niespokojny, jakby trudno mu było opanować energię wśród ścian i budynków. Tutaj miałam wrażenie, że jego nogi po prostu pożerają kilometry. Wysoki czarny gość prosto z Londynu, a wyglądał tu niemal jak w domu. To była dla niego odpowiednia skala.

Za to dla mnie nie. Pająk maszerował, a ja się wlokłam z głową pełną różnych: *już nie mogę... nie chcę... nienawidzę tego...*

Gdy dotarliśmy na szczyt pierwszego wzgórza, myślałam, że jesteśmy blisko tej kryjówki, którą wypatrzył, a tymczasem pojawiła się kolejna górką. Przestrzeń falowała, pagórki rozciągały się po horyzont.

Wreszcie doszliśmy do skraju pola. Drugą stronę ogrodzenia porastały gęste drzewa. Za nimi było słycać szum wody. Pająk zatrzymał się i odłożył torby.

- Poczekaj chwilę – rzucił, rozpędził się krótko i przeskoczył płot z drutu kolczastego.

- Co ty robisz?! – krzyknęłam, ale nie odpowiedział.

Zostałam sama, jak jakaś idiotka. Usiadłam, zerkając w kierunku, z którego właśnie przyszliśmy. Gdybym zobaczyła kogoś goniącego nas, co bym zrobiła? Nie zdążyłam wymyślić odpowiedzi, bo Pająk wrócił.

- Jem, tam jest zbrocze, a potem rzeka. To dobrze. Będziemy chwilę brodzili w wodzie, wtedy nas nie znajdą, nawet gdyby mieli psy. Stracą trop. Widziałem w filmach. – No, ja też widziałam, ale czy to cokolwiek znaczyło? Ale jego nie dawało się zatrzymać. – Przerzucimy torby, a potem ci pomogę.

Podaliśmy mu rzeczy, a potem spojrzaliśmy na płot.

- No, nie wiem... - powiedziałam z powątpieniem.

- Chodź tu, postaw jedną stopę na drucie, połóż rękę na słupku i skacz. Ja cię złapię.

Z braku lepszych pomysłów zrobiłam, co kazał. Drut ugiął się pod moim ciężarem, ale pomyślałam: „A co tam!” i już byłam na górze. W tej chwili Pająk złapał mnie pod pachami i po prostu przerzucił nad płotem, stawiając bezpiecznie po drugiej stronie. Uśmiechnęliśmy się i przybiliśmy zółwika. Z torbami ruszyliśmy między spore drzewa.

Teren obniżał się ostro. Rzeczywiście, w dole płynęła rzeka, jakieś cztery czy pięć metrów szerokości, wartka i błotnista.

- Głęboko tu? – spytałam.

- Nie wiem, jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć. Przerzucimy torby na drugi brzeg, a potem sprawdzę.

- Może najpierw sprawdź? Jeśli jest za głęboko, to nie przejdziemy i stracimy rzeczy, nie?

- Jem – odparł poważnie – musimy się przeprawić. Chyba nie mamy wyboru. Będzie dobrze, obiecuję.

Wziął pierwszą torbę, związał ucha razem i zaczął nią wymachiwać, po czym wypuścił ją ze stęknieniem. Przeleciała nad wodą i wylądowała po drugiej stronie. Uśmiechnął się i zabrał za pozostałe. Szło nieźle, aż do ostatniej. Poleciała za wysoko i spadła nie na brzeg, ale prosto do rzeki.

- Cholera! – zaklął, po czym gorączkowo zaczął szarpać się z tenisówkami i skarpetkami. Podwinął nogawki i zsunął się z brzegu do wody.

- Pająk, wszystko okay? – zawołałam.

- Kurwa! – odwrzasnął głosem wysokim jak u dziewczyny. – Lodowata!

Torba spłynęła z prądem jakieś dziesięć metrów i utknęła na czymś blisko drugiego brzegu. Pająk zaczął brnąć w jej stronę, woda sięgała mu tylko do kolan.

- Rzuć moje tenisówki na drugi brzeg, a potem swoje. Dasz radę przejść, zimna jak nie wiem, ale poza tym okay! – krzyknął.

Wepchnęłam jego skarpetki do butów i przerzuciłam je, jeden po drugim. Pająk szedł w stronę torby. Przykucnęłam, żeby zdjąć buty.

- Rany! – był już w połowie rzeki, wymachując rękami dla złapania równowagi. – Trochę ślisko, musisz uważać! – wołał.

- Okay! – odkrzyknęłam i wróciłam do rozplątywania supła, który pojawił się na sznurowadłach.

Pająk chlapał, klnąc jak zwykle, ale nie patrzyłam na niego. W końcu zdjęłam buty i skarpetki i wstałam, żeby je przerzucić. Plastikowa torba wciąż

tam tkwiła, kołysząc się, kiedy woda usiłowała ją ściągnąć. Ale Pajaka nie było.  
Zniknął.

## Rozdział 15

**P**rzyjrzałam się drugiemu brzegowi – ani śladu Pajaka. Powierzchnia wody – też nic. To było oszałamiająco nierzeczywiste. Miałam wrażenie, że coś w moim mózgu poszło na tryb: jestem sama, a Pajak nigdy nie istniał, bo gdyby istniał, to przecież nie mógłby tak po prostu zniknąć...

Nagle, na lewo ode mnie, w kotłującej się wodzie pojawił się dziwny ruch. Coś wyskoczyło na powierzchnię – kolano, może łokieć. Nie mogłam się zorientować. Prąd unosił Pajaka, zniósł go już trzydzieści metrów dalej. Popędziłam wzdłuż brzegu. Pajak pojawiał się dosłownie co chwilę, woda obracała nim niczym szmacianą lalką. Widziałam ramię, plecy, tył głowy – wszystko, tylko nie twarz. Twarz wciąż miał pod wodą.

Pędziłam spanikowana najszybciej jak mogłam. Prześlizgiwałam się pod drzewami rosnącymi wzdłuż brzegu, nie myśląc o smagających, mnie gałęziach. Biegłam i wrzeszczałam jednocześnie. Nie słyszał. Wreszcie go dogoniłam. W maksymalnej panice raki rozejrzałam się, szukając czegoś, czym dałoby się go osiągnąć. Szarpnęłam długą gałąź, usiłując ją odłamać od drzewa, ale nie miałam dość siły. Tymczasem Pajak znowu się oddalił. Na myśl, że jest taki bezbronny, że woda wlewa mu się do płuc, sama niemal przestałam oddychać. Nie tak miało być. Jego numer 15122009 – to dopiero za tydzień. Więc co się, do cholery, dzieje?? Znowu ruszyłam biegiem.

Przegoniłam rzekę. Byłam jakieś dziesięć, piętnaście metrów przed Pajakiem. Oprócz nas nie było tu nikogo. Nikogo i niczego do pomocy. Nie miałam wyboru, zeskoczyłam do rzeki. Zaszokowało mnie nie tylko zimno, ale też jej siła. Nurt uderzył mnie wściekle. Woda sięgała mnie zaledwie do ud, a z największym trudem utrzymywałam się w pionie. Z miejsca, w którym stałam, prawie nie mogłam wypatrzeć Pajaka. Gorączkowo przeszukiwałam wzrokiem wodę, aż wreszcie dostrzegłam ciemny kształt zmierzający w moją stronę. Zrozumiałam, że Pajak minie mnie po lewej – musiałam jak najszybciej iść w stronę drugiego brzegu, inaczej go nie złapię. Ledwie brnęłam, a woda była coraz głębsza. Posuwałam się z trudem, stękając z wysiłku i frustracji. Pajak był tuż-tuż – cholera, nie złapię go! Rzuciłam się do przodu. Kiedy wpadł na mnie, straciłam równowagę na śliskich kamieniach i sama poleciałam na dno.

Teraz wszystko się wymieszało – góra i dół, woda i powietrze, Pajak i ja. Byle tylko nie wypuścić jego bluzy! Cokolwiek się stanie, stanie się nam obojgu – za nic go nie puszczę. Powietrza! Wreszcie moja twarz wychynęła na powierzchnię, wciągnęłam haust powietrza. Kopałam, desperacko usiłując wymacać stopą dno rzeki. Prąd był bezlitosny. Pajak stał się bezwładnym ciężarem, objął się o mnie, wciągając pod wodę, ale bez szans, sama ledwie łapałam powietrze. Nie wypuszczając Pajaka, przekręciłam się na wznak. Poniosło nas w dół rzeki, pokonaliśmy parę zakrętów. Zastanawiałam się, czy dotrzemy tak aż do morza, kiedy poczułam, że szoruję po czymś ostrym

palcami. Zatrzymaliśmy się i to tak nagle, że na sekundę wypuściłam Pajaka, ale znowu go złapałam.

Teraz już oboje się nie ruszaliśmy. Rzeka płynęła, ale my utknęliśmy na kamienistej mieliźnie niedaleko brzegu. Pajak leżał twarzą na moich nogach. Ściągnęłam go z trudem i przekręciłam na plecy, potem chwyciłam pod pachami i wywlokłam z wody. Był ciężki, bez życia...

Uklęknęłam obok, patrząc z niedowierzaniem. Oczy miał zamknięte. Odszedł. To niemożliwe – całkiem niemożliwe! Nie tak miało być!

- Pajak, wstawaj! - wrzasnęłam. - Obudź się! - Nic. - Nie możesz mnie, do cholery, zostawić! Nie możesz!

Z bezsilnej złości walnęłam go z całej siły w klatkę piersiową. Jego usta otworzyły się i chlusnęła woda. Złożonymi dłońmi z całej siły nacisnęłam mu na brzuch. Wyciekło więcej wody. Więc jeszcze raz. I jeszcze. Nagle strzyknęła z niego cała fontanna, normalnie jak u wieloryba. Po chwili wydał najobrzydliwszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam, i wciągnął ogromny haust powietrza.

Odskokczyłam, zaskoczona uderzeniem wody. Przez chwilę siedziałam w kucki, patrząc, jak jego pierś unosi się i opada. Wreszcie otworzył oczy.

Przez moment usiłował się skupić, a potem cicho powiedział:

- Jem, dlaczego płaczesz? Co ci jest?

Nawet nie wiedziałam, że to robię, ale kiedy przejechałam dłonią po twarzy, otarłam gorące łzy i smarki.

- To nic – szepnęłam. - Po prostu jestem szczęśliwa.

Zamknął oczy dosłownie na sekundę, po czym znowu wpatrywał się we mnie.

- Nie rozumiem... Co się dzieje?

- Topiłeś się. Wyciągnęłam cię.

- Okay... To dlatego jestem cały mokry i jest mi zimno – stwierdził. - Nic nie pamiętam. Szliśmy przez pole, a tu nagle leżę na wznak, całkiem mokry, a ty płaczesz... sorry, ze szczęścia. - Usiadł powoli, rozglądając się, jakby właśnie spadł z innej planety. - Ty też jesteś cała mokra - zauważył filozof jeden, a na twarzy pojawił mu się wredny uśmiech. - Nie zrobiłaś mi usta-usta, co...?

- Nie! Zamknij się!

- Ach, więc zrobiłaś!

- Nie! Naciskałam ci na brzuch, aż wypłynęła woda, ale teraz tego żałuję, ty cholerny kretynie.

Sięgnął ręką i pogłaskał mnie po ogolonej głowie. Jego uśmiech bladł, w miarę jak docierała do niego powaga sytuacji.

- Uratowałaś mnie. Człowieku, uratowałaś mi życie. Jezu, Jem, teraz mam u ciebie naprawdę spory dług...

Wzruszyłam ramionami.

- Nie ma sprawy. Każdy by tak zrobił.

- Ale nikogo innego tutaj nie ma, nie? Byłaś tylko ty. Tylko ty mogłaś mnie

uratować. I uratowałam.

- Daj już spokój, dobra? To nic wielkiego. Słuchaj, przynajmniej jesteśmy po tej właściwej stronie rzeki. Musimy tylko wrócić po nasz rzeczy i przebrać się w coś suchego. Zamarzam, kurwa mać.

To była prawda. Cała dygotałam, Pająk też. Pomogliśmy sobie nawzajem wstać, jakoś wyleźliśmy na brzeg i poszliśmy z powrotem, pod prąd. Pająk jak zwykle maszerował z przodu, ale ciągle się zatrzymywał i oglądał na mnie, a potem uśmiechał się, kręcił głową i szedł dalej. Tymczasem mój mózg pracował jak szalony. Czyli numery były prawdziwe, to nie był jego cholerny dzień. Ale gdyby mnie tu nie było, na pewno by utonął – kiedy go wyciągnęłam z wody, był niemal martwy. Pająk o tym wiedział: uratowałam go. Uratowałam mu życie.

Kręciło mi się w głowie. A co, jeżeli on miał zginąć dzisiaj, ale ja to zmieniłam...? Przez ostatnie tygodnie czułam się okropnie z powodu tamtego dziadka. Przecież nie chciałam mu zrobić krzywdy, ale czułam się tak, jakbym sama wygoniła go na ulicę. Może numery to była obosieczna broń. Może nie tylko przyczyniłam się do czyjejs śmierci – może mogłam też uratować komuś życie...? A jeśli dzisiaj uratowałam Pajaka, to czy będę mogła zrobić to też piętnastego...?



## Rozdział 16

Torby wciąż leżały tam, gdzie je rzuciliśmy. Pająk gałęzią wyłowił z rzeki tą ostatnią. Wyciągnęliśmy suche ciuchy. By się przebrać, odwracaliśmy się do siebie plecami. Było mi zimno, koszmarnie zimno, miałam więc w nosie, czy mnie podgląda. Sama byłam zbyt zajęta suszeniem, by podglądać jego. Z Londynu wyjechaliśmy w takim pośpiechu, że nie wzięłam od Val żadnej zapasowej bielizny (szczerze mówiąc, to nawet nie chciałam myśleć, co ona mogła nosić pod ubraniem), zostawiłam więc na sobie mokre majtki i stanik, zmieniałam tylko dżinsy i górę. Nałożyłam tyle suchych warstw, ile tylko zdołałam znaleźć, a na wierzch dorzuciłam jeszcze kurtkę Val. Mokre ciuchy zwinęliśmy do jednej torby i wyruszyliśmy dalej – wciąż jeszcze wstrząśnięci, zmarznięci i dygocący.

Szybko oddaliliśmy się od rzeki i wkrótce trafiliśmy na pasmo wzgórz. Ciągnęły się jak okiem sięgnąć, niby morskie fale. Po przygodzie w rzece byłam wykończona. Nogi miałam jak z ołowiu, ale i chód Pająk stracił zwykłą sprężystość.

Naszym celem wciąż była mała kępa drzew na wzgórzu. Zaczynałam myśleć, że to jeden z tych pustynnych mirażów, które znikają, kiedy człowiek się do nich zbliża, ale w końcu Pająk wylazł na jakiś szczyt, rozejrzał się i wykrzyknął radośnie:

- Hej, jesteśmy na miejscu! – I o dziwo, byliśmy.

Zbiegliśmy ze zbocza i po raz ostatni wleźliśmy pod górę, wprost do niezłej kryjówki w zagajniku.

Padłam na granicy drzew. Patrzyłam skąd wyruszyliśmy, i nie mogłam uwierzyć, że to tak daleko.

- Zobacz, ile przeszliśmy! Nic dziwnego, że ledwie żyję. – Padłam na wznak, nie przejmując się, na czym właściwie leżę.

- Jeśli my widzimy całą okolicę, to znaczy, że każdy może też zobaczyć nas. Schowajmy się.

Nie pojmowałam, co się dzieje z Pajakiem. Nagle połknął pigułkę rozumu czy co...? Jęknęłam, wstałam z trudem i poszłam za nim głębiej między drzewa. Pozbierał wszystkie torby, a po chwili znalazł całkiem dobrą miejscówkę między czterema pniami. Jeżeli się wstało, można było wyrzeć na pola, ale gdy siedzieliśmy, zasłaniały nas krzaki. Byliśmy ukryci.

Grunt był twardy i nierówny. Pająk rozłożył koc. I tak czuło się wszystkie korzenie, kamienie i dołki, ale było odrobinę wygodniej. On siedział oparty o pień, a ja położyłam się na wznak i wpatrywałam w drzewa. Dziwne to było. Pnie zakończone koronami liści, które wyglądały, jakby zlewały się w jedną masę. Drzewa odcinały się ciemno na tle jasnego nieba, tworząc koronkowy wzór zbyt skomplikowany, by móc na niego patrzeć. To działało jak narkotyk.

Człowiek się odprężał i wszystko zaczynało mu się mieszać, jakby był w niebie i obserwował liście setki metrów poniżej. W gałęziach szumiało, taki dziwny, nierealny dźwięk – wiatru albo wody – naprawdę uspokajające.

- Nie mogę uwierzyć, że nam się udało... - odezwałam się po chwili.

- Co?

- Przejść cały ten kawał.

- Tak, to niesamowite, co człowiek jest w stanie osiągnąć, kiedy musi – prychnął Pająk. – Może dojdziemy na piechotę do Weston.

- A to daleko?

- Pojęcia nie mam. Ale daleko.

Znowu jęknęłam i zamknęłam oczy, pozwoliłam, by moje myśli skupiły się na hałasie, tylko na hałasie...

Kiedy się obudziłam, bolała mnie głowa, w ustach miałam sucho, a wokół warg lekko, obrzydliwość. Z trudem sobie przypominałam, gdzie właściwie jestem, ale nawet kiedy usiadłam i rozejrzałam się, nie byłam pewna, czy jest rano, czy wieczór. Na zegarku było pięć po czwartej, uznałam, że chyba po południu, ale równie dobrze mógł to być ranek następnego dnia, naprawdę nie wiedziałam. Pająk chrapał odwrócony plecami, zwinięty w kłębek jak pieprzony niemowlak. Widziałam jego profil. Kiedy spał, można go było sobie wyobrazić jako dziecko – spokojny, wręcz niewinny. Przez minutkę testowałam to uczucie: jak by to było być mamą. Przestraszyłam się – to na pewno nie dla mnie. Nigdy nie będę w stanie poradzić sobie z taką odpowiedzialnością. Poza tym, jak mogłabym kiedykolwiek spojrzeć dziecku – mojemu dziecku – w oczy i zobaczyć jego śmierć, zanim tak naprawdę zaczęło żyć...? Niektórzy ludzie po prostu się do tego nie nadają. Ja do nich należałam. Żaden problem.

Potażałam oczy i czoło, ale ból w głowie nadal pulsował. Sięgnęłam do toreb i zaczęłam grzebać, szukając czegoś do picia. Cola była okay, ale żałowałam, że nie mamy nic ciepłego – przydałby się kubek herbaty albo gorącej czekolady, coś uspokajającego. Pająk musiał usłyszeć to moje grzebanie w reklamówkach, bo rozciągnął się i odwrócił do mnie.

- Która godzina?

- Minęła czwarta.

- Boże, przespaliśmy cały dzień. – Usiadł powoli. – Wszystko mnie boli.

Podaliśmy mu colę.

- Właściwie to dzisiaj jeszcze nic nie jedliśmy ani nie piliśmy.

Pociągnął długi łyk.

- No, od razu lepiej. Sprawdziałaś, czy nas gonią?

- Nie, bo nic nie słyszę.

- Za chwilę wyjrzymy, a na razie coś zjedzmy.

Znowu zaczęliśmy grzebać w torbach, wrabialiśmy chrupki, krakersy, herbatniki i czekoladę. Pająk wstał i jedząc, przeszedł się po naszym małym lasku – od jednego skraju do środka po kolejnego herbatnika i na drugą stronę.

- Nic nie widzę – oznajmił, jednocześnie żując i mówiąc. – Dziś powinniśmy zrobić jeszcze kawałek, ale zaraz będzie ciemno. Chyba tu po prostu odpocznimy, a wyruszymy jutro z samego rana.

O to nie zamierzałam się kłócić. Nie przeszkadzałoby mi, gdybym już w życiu nie musiała nigdzie chodzić.

Kiedy postanowiliśmy zostać, okazało się, że mamy przed sobą co najmniej dwanaście godzin i nic do roboty. Nie mogliśmy po prostu odprężyć się, posiedzieć spokojnie, a spanie nie wchodziło w grę. Połaziliśmy trochę po lasku, z różnych punktów poobserwowaliśmy krajobraz. Długo stałam i patrzyłam, jak nad nami przesuwały się kłęby chmur. Wydawały się sunąć wolno, ale wystarczyło skupić wzrok na jednej, potem spojrzeć w innym kierunku i znowu na tę wybraną – aby się przekonać, że jest dużo dalej, niż można by się spodziewać. Trochę jak my – niby wlekliśmy się polami (jak dwa owady na powierzchni planety), ale ostatecznie okazało się, że pokonaliśmy wiele kilometrów.

- Nie widziałam dotąd tyle nieba – powiedziałam. – Mało mi nie odbiło, kiedy szliśmy i szliśmy, a nad nami cały ten bezkres...

- Jeszcze się przyzwyczaisz. Tu jest tyle świeżego powietrza, można wdychać i wdychać! – Pająk szeroko rozłożył ramiona. – Tak też jest nad morzem: wielka plaża gładka jak stół, morze i niebo. Będiesz zachwycona, Jem. – Odwrócił się do mnie. – Znajdziemy jakiś pensjonat, będziemy codziennie jeść rybę z frytkami. Możemy chodzić po molo, pisać na piasku, wygłupiać się...

Zaczął wspinać się na drzewo, ale nie dotarł zbyt wysoko, buty zsuwały mu się po śliskim pniu. Spróbował jeszcze raz – znów porażka.

Światło powoli zniknęło, jakby coś wysysało kolor nieba. Robiło się coraz zimniej.

- Zaraz będzie całkiem ciemno – powiedziałam, znów dygocąc. – Co robimy?

- Po prostu pójdziemy spać.

- Jest dopiero wpół do piątej.

- Człowieku, wiem, ale masz inne pomysły? Co, może pooglądamy telewizję?!

Zaczynałam łapać doła. Myślałam o zimnie, o czerni. Nie chciałam być tu w ciemności. W samochodzie też było słabo, ale przynajmniej mieliśmy porządne metalowe ściany i dach.

- Pająk, nie zostawajmy tutaj. Spróbujmy znaleźć coś innego, bezpieczniejszego...

- Nie mamy czasu, kobieto! Musielibyśmy iść po ciemku. Minęłyby godziny, zanim coś byśmy znaleźli. No i nie mamy latarki.

Dookoła nas świat zmieniał się z kolorowego w czarno-biały. Niedługo będzie tylko czerń. Nie miałam pojęcia, co się dzieje na polu nocą. Zwierzęta

szukają pożywienia? Ludzie wyruszają na polowanie? Tak naprawdę nie chciałam wiedzieć. Zaczynało mi odbijać.

- A czemu nie mamy latarki? No, czemu?! Czy to nie jest ciut głupio wyruszać w świat bez latarki?!

- Odrobina realizmu, Jem! Mówisz, że jestem głupi, a ty?! No, spójrz w lustro! Jest nas dwoje i żadne nie ma latarki! Nie tylko ja!

Teraz wrzeszczeliśmy na siebie nawzajem. Jego ślina spryskiwała mi policzki, wpadała w oczy, ale było mi wszystko jedno. Wściekałam się, że mnie tu sprowadził, że jestem w takiej durnej sytuacji.

- Mam spojrzeć w cholerne lustro, tak?! Tylko że tu nie ma żadnego lustra! Nie ma pieprzonego nic!

- Słuchaj, musimy to przetrzymać, okay? Jutro spróbuję znaleźć jakiś wózek, ale dzisiaj nocujemy w zagajniku i koniec.

- Ja nie chcę tu być, nie rozumiesz, kretynie?! Nie chcę tu być! Nawet nie wiemy, co robimy! Nie mamy, kurwa, bladego pojęcia!

- Rany boskie, ale mnie wkurzasz! – Miałam jego twarz tuż przed swoją, długim paluchem machał mi przed samym nosem. – Koniec! Już nie możesz być małą dziewczynką! Doróżnij! Co się z tobą dzieje...?! W Londynie byłeś twarda! Słuchaj, idę sobie, zanim zrobię albo powiem coś głupiego.

I poszedł, kręcąc głową i wymachując rękami.

- Tak, odpieprz się!

- Sama się odpieprz! – odkrzyknął, nie odwracając się.

Oczywiście, tak naprawdę nie miał dokąd iść. Utknęliśmy jak na malutkiej wysepce. Na tle atramentowego nieba widziałam jego rozdygotaną sylwetkę jak w kreskówce. Miałam ochotę wrzeszczeć: „Kurwa, nie odchodź!”, ale tylko zagryzłam wargi, usiłując się uspokoić, opanować wściekłe myśli w mojej głowie, działać normalnie. Jakkolwiek na to spojrzeć, mieliśmy kłopoty. Wróciłam do naszego obozu i położyłam się na boku, naciągając kurtkę na głowę i owijając się kocem.

Gdy tylko zamknęłam oczy, zobaczyłam obrazy: ciała ludzi pod London Eye, dziadka, jak potrącony przez samochód leci w powietrzu, strzępy czegoś jaskrawoniebieskiego na ziemi, moją mamę... Więc otworzyłam je i gapiłam się na dziwny wzór konarów, gałęzi i liści tuż nad ziemią i tuż nade mną. Patrzyłam, jak jakiś owad kręci się na końcu łodygi, a małe listki uginają się pod jego ciężarem. Skóra zaczęła mnie swędzić na myśl o owadach i pająkach łąjących po mnie w nocy. Boże, wieś jest obrzydliwa!

Słyszałam, jak Pająk przebija się z powrotem przez poszycie, siada i grzebie w torbach. Najwyraźniej wyciągnął drugi koc, bo słyszał, jak się wierci, usiłując znaleźć wygodną pozycję, a potem grzebie dalej. W końcu dobiegło mnie drapanie o coś metalicznego.

Pomyślałam: „Nie odezwę się do niego, niech sobie robi, co chce, mam to gdzieś!”, ale teraz każda moja komórka usiłowała wyedukować, co on robi. Po chwili ciszy rozległo się pstryknięcie zapalniczki i w ciemności pojawiło się

nikłe światełko. Cichutkie kliknięcie po tym, jak papieros się zapalił, a potem długi wydech i ciche westchnienie zadowolenia.

Usiadłam, a głos Pajaka oznajmił:

- Wiedziałem, że nie śpisz. Chcesz macha...?

Świecący koniec szluga powędrował w moją stronę. Wzięłam papierosa i zaciągnęłam się. W jaraniu było coś uspokajającego – było normalne, znajome, bezpieczne.

- Super – westchnęłam. Tak naprawdę nie chodziło mi o palenie, choć to też było okay. Po prostu dobrze było znowu się dogadać. Oboje wiedzieliśmy, że nie wolno nam się tak kłócić.

Przez chwilę podawaliśmy sobie szluga, prawie się nie odzywając, tylko cisząc chwilą. Potem Pajak spytał:

- Myślisz, że są jacyś czarni farmerzy?

- Nie wiem, pewnie nie. A co?

- Podoba mi się tutaj. Lubię czuć ziemię pod stopami. Widzieć kilometry przestrzeni.

(I to wszystko po jednym dniu spędzonym na łożeniu po durnych polach).

- Pajak, ty i ziemia! Daj spokój, cudów nie ma!

- A czemu nie? Trzeba matury, żeby zostać farmerem?! Studiów?! Trzeba być białym?!

- Nie wiem... Nie wiem! Ale pewnie trzeba kasy. I to dużo.

- Przecież nie muszę od razu kupować farmy, chcę tylko na jakiejś pracować. Nie wydaje mi się, żeby stanowisko chłopca na posyłki u Baza czy kogoś takiego było wielką karierą. Nie chcę tego robić. Muszę znaleźć coś innego. – W jego głosie rozbrzmiewała pasja. – Teraz mam wyjście. *My* mamy wyjście. Nie chcę wracać. Gdziekolwiek dotrzemy, chcę zacząć nowe życie, nie chcę wpaść z powrotem w stare gówno.

To, jak opowiadał, poruszyło mnie. Mówił prosto z głębi serca.

- Wiesz, Świr miał rację – ciągnął.

- Nie mów!

- No... naprawdę miał. Tacy jak ty i ja mają przyszłość zaplanowaną od urodzenia. Pośredniak, kasa w markecie, budowa, ulica. Żadnych perspektyw. Nie chcę tak skończyć.

- Wrócisz do szkoły, zdasz maturę? – spytałam, nie wierząc w to ani przez chwilę.

- Nie, na to już chyba za późno. Ale chcę coś zrobić. Chcę być inny.

Nietypowy czarny chłopak, wbrew cholernej statystyce.

Węzeł w moim żołądku zacisnął się aż do fizycznego bólu. Gadanie o przyszłości łamało mi serce. Jak mogłam spokojnie siedzieć i słuchać chłopaka, któremu został tydzień życia...? To, co mówił, było słuszne, inspirujące. Ale jeżeli numery były prawdziwe, przyszło o wiele za późno. Jeżeli...

Wiedziałam, że jestem o krok od wygadania prawdy. Chciałam powiedzieć Pajakowi o wszystkim – podzielić się ciężarem. Może razem moglibyśmy

wymyślić, jak to zmienić. Ale tego nie da się zrobić, prawda? Nikomu nie mogę powiedzieć, jaki ma numer, najwyżej draniowi takiemu jak McNulty, zresztą on jest za głupi, żeby skumać, o co chodziło. Przełknęłam z trudem ślinę, usiłując opanować emocje. Muszę szybko zmienić temat, wypełnić pustkę słowami.

- Pająk, dlaczego mieszkasz z babcią? Oczywiście, jeśli to nie tajemnica...

- Jasne, człowieku, żadna tajemnica. Kiedy byłem, mama dała nogę z jakimś facetem. Nawet jej nie pamiętam. Chyba niewiele straciłem. Zawsze miałem babcię.

- Twoja babcia jest cool.

- Tak. Stara głupia czarownica...

- Myślisz, że powinniśmy do niej zadzwonić? Powiedzieć jej, że nic nam nie jest?

- Nie, to nie jest bezpieczne. Wiesz, mogą wyśledzić, skąd był telefon. Babci nic nie będzie. Jest okay.

Przed oczami pojawił mi się obraz Val przy drodze, kiedy odjeżdżaliśmy – to było zaledwie wczoraj...

- Słyszałem, jak mówiłaś babci o swojej mamie – powiedział Pająk cicho. – Przykro mi i w ogóle.

- To niczyja wina...

- Wiem, ale...

- Pewnie bez niej mi lepiej. Była... skomplikowana.

Zamilkłam. Kłamałam i wiedziałam o tym.

Byłe jaki dom, ale jednak dom. Jakiegokolwiek życie czekałoby mnie z mamą, choćby i narkomanką, wolałabym je – niż tę cygańską egzystencję, którą prowadziłam od jej śmierci. Niczyje dziecko.

Rozmawialiśmy tak z przerwami przez kilka ładnych godzin. Na otwartej przestrzeni głosy wydawały się stłumione. Dzięki gadaniu udawało się nam odpędzić nieznane duchy i potwory czekające w hektarach ciemności. W końcu przerwy między zdaniem zaczęły robić się coraz dłuższe, zaczynaliśmy odpływać.

Chyba spałam już całkiem mocno, kiedy nagle obudził mnie przeraźliwy hałas. Otworzyłam oczy, ale nie zobaczyłam różnicy: czy miałam je otwarte, czy zamknięte, było ciemno jak w tunelu.

- Słyszałeś to? – szepnęłam.

- Musiałbym być martwy, żeby nie słyszeć.

Dziwny hałas znów się rozległ. Wysoki, przeraźliwy dźwięk rozdarł noc. Wydawało się, że jest wszędzie – wokół nas, na nas, w nas. Byłam całkiem rozbudzona, zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Pająk przysunął się bliżej, słyszałam, jak się wierci wśród liści i ścięci na ziemi, jego zapach się zbliżał.

- Jak myślisz, co to? – zapytał cicho, bardzo blisko mojego ucha.

- Nie wiem.

- Wierzysz w czarownice?

- Zamknij się!

Tak, w tej chwili wierzyłam w czarownice. I w duchy, i w wilkołaki, we wszystkie nocne strachy.

Kolejny przeraźliwy wrzask, ale tym razem tuż po nim rozległo się parę huków.

- To sowa, Jem. W życiu żadnej nie słyszałem. Ale daje, nie? Przydałby się jakiś pocisk – zaczął macać grunt, potem wstał i rzucił kamienie w gałęzie nad nami.

Słyszałam, jak zahacza o konary i liście. Parę sekund później wrzask rozległ się znowu, ale słyszeć go było coraz słabiej – najwyraźniej sowa poleciała szukać jakiegoś bezpieczniejszego miejsca.

- Prawdziwy z ciebie wieśniak, nie? Rzucasz kamieniami w sowę...

- To znany sposób, ludzie wsi ciągle do czegoś strzelają albo szczują zwierzęta psami, albo rozszarpują na kawałki... Będę się tu czuł jak w domu.

Sowa nadal protestowała, ale teraz już daleko. Jej krzyk wydawał się podkreślać, jak samotni byliśmy, dookoła nas tylko ciemność i przestrzeń. Kiedy tak nasłuchiwalismy, czułam, jak przenika mnie zimno. Jedną noc tu przetrzymamy, ale jutro musimy znaleźć coś innego.

O spaniu nie było już mowy. Mogłam tylko leżeć, słuchać i usiłować za dużo nie myśleć. Wydawało mi się, że Pająk śpi, ale po chwili poczułam jego dłoń, jak przesuwa się po moim kocu, aż natrafiła na moją. Leżeliśmy tak, trzymając się za ręce, czekając, aż na niebo wróci światło.

Oboje nie spaliśmy, kiedy usłyszeliśmy nowy, złowrogi dźwięk rozchodzący się w ciężkim nocnym powietrzu – helikopter.

## Rozdział 17

**S**łyszysz? – spytałam.

Głupie pytanie.

- Mhm.

- Myślisz, że to zwykły helikopter?

Wiedział, o co mi chodziło, o helikopter przewożący kogoś z punktu A do punktu B.

- Nie wiem.

Zsunął się z koca na ziemię i poczołgał przez leśne poszycie. Nadal było ciemno, ale wystarczyło popatrzeć w stronę, z której wczoraj przyszliśmy, by zobaczyć na niebie delikatne pasmo błękitu. Stamtąd właśnie dochodził hałas.

- Jem, ten helikopter unosi się nad jednym miejscem, jakby coś oświetlał z góry. Widzę tam też inne światła. – Słyszałam, jak czołga się z powrotem do mnie, po chwili był obok i energicznie zwijał koca. – Jem, musimy spadać. Chyba nas tropią.

- Pająk, jest ciemno. Nie mamy latarki, pamiętasz?

- Jakoś musimy sobie poradzić. Poza tym może lepiej uciekać po ciemku.

- Tak, ale... - chciałam przypomnieć mu o błocie, płotach i drucie kolczastym, ale dobiegł mnie jeszcze jeden odgłos – szczekanie. Też dochodził z tyłu. Światła, helikoptery, psy. Zrobiło mi się niedobrze. To była prawdziwa obława. W milczeniu zaczęłam zbierać rzeczy.

Wyszliśmy spomiędzy drzew, żeby iść w dół zbocza. Człowiek nie widział, gdzie stawia nogi, a teren był tak nierówny, że wciąż się potykaliśmy. W pewnej chwili prawa stopa wpadła mi do dziury, poleciałam do przodu. Upuściłam torby i zamachałam w powietrzu ramionami, usiłując odzyskać równowagę. Prawą ręką zdołałam się czegoś złapać, ale to coś ugięło się pod moim ciężarem. Upadłam. Coś ostrego wbiło mi się w twarz, co powitałam stekiem przekleństw.

- Gdzie jesteś? – Z ciemności doleciał głos Pajaka.

- Tutaj! Kurwa, nie mam pojęcia, gdzie!

- Nie ruszaj się. Idę.

Jakoś do mnie trafił. W ciemności najpierw zamajaczył mi tylko jego kształt, kiedy był całkiem blisko, zorientowałam się, że z niepokojem marszczy czoło.

- Jezu, Jem, upadałaś na drut kolczasty. Czekał... - Chwycił mnie mocno i postawił na nogi.

Jęknęłam i znowu zakląłam, kiedy niechcący uścisnął mi ranę na prawej dłoni.

- Masz chusteczkę albo coś? – spytał.

Sięgnęłam do kieszeni i znalazłam starą chusteczkę higieniczną. Delikatnie wytarł mi nią twarz. Bolało jak cholera. Ręka też nie dawała o sobie zapomnieć. Pająk pogrzebał w torbie, wyciągnął swój T-shirt, oderwał kawałek materiału.



Owinął mi go wokół dłoni i zawiązał na węzeł. Znowu przejmował dowodzenie, starała się, jak mógł, ale moja pewność siebie topniała w oczach.

- Pająk, jesteśmy załatwieni, nie?

- O co ci chodzi?

- Dzisiaj nas dopadną. Psy wywęszą moją krew...

- Tego nie wiem. Krew to chyba wyczuwają rekiny. Zresztą mamy sporą przewagę i jesteśmy po drugiej stronie rzeki. Myślę, że powinniśmy iść dalej, poszukać jakiejś kryjówki. Najlepiej, żeby to był budynek, wtedy nie zobaczą nas z helikoptera nawet przez noktowizor, przez ścianę chyba nie da rady... Chodź. Ja to poniosę. – Wziął moje torby. – Dasz radę jeszcze kawałek...?

- Chyba tak.

Ruszył, a ja tym razem trzymałam się blisko. Świt trwał całą wieczność, pewnie dlatego, że było pochmurno. Obejrzałam się, ale wzgórze zasłaniało widok. Co za głupota, przecież wcale nie chciałam widzieć, jak nas gonią. Dopędziłam Pajaka i razem brnęliśmy przez pole. Dzień wcześniej czułam się wystawiona na widok, ale to czekanie w ciemności było dziesięć razy gorsze. Jeśli helikopter przyleci, zanim znajdziemy kryjówkę, będzie po wszystkim. Czułam mrowienie skóry na karku, wyobrażając sobie nadciągający huk śmigieł.

Szliśmy twardo przez cały ranek, pocąc się w grubych kurtkach mimo lodowatego wiatru. Milczeliśmy, bo nie było nic do powiedzenia. Natrafiliśmy na kilka farm, ale budynki (domy, stodoły, obory) wybudowano za blisko siebie. Policja przetrząsnęłaby je w mgnieniu oka. Potrzebowaliśmy czegoś na uboczu.

Znalezienie odpowiedniej stodoły zajęło nam parę godzin. Konstrukcja oparta była na wysokich metalowych słupach i przykryta dachem z blachy falistej. Zero ścian, ale za to położna idealnie – w samym rogu pola, tuż obok kolejnego zagajnika. W promieniu kilku kilometrów nie było żadnych domów. Składowano w niej kostki siana, poukładane niczym żółte, włochate cegły i tworzące z dwóch stron ściany. Gdy podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy coś jeszcze – rozwalający się metalowy płotek, a w środku krowy. Na nasz widok zwierzęta podniosły łby, prychnęły i pociągnęły nozdrzami. Nigdy przedtem nie widziałam z bliska krów, znałam je tylko z telewizji. Były ogromne, poważnie.

- Ja tu nie zostanę – oświadczyłam. – Mowy nie ma. Nie z nimi.

- Są ogrodzone płotem... - odparł Pająk, jakoś tak niepewnie. Wyczułam, że sam się waha.

- Tak, ale spójrz na ten płot. Jest powiązany pieprzonym sznurkiem.

Krowy wciąż na nas patrzyły, jakby czegoś oczekiwały. Potem jednej odbiło i bez żadnego ostrzeżenia tryknęła rogami sąsiadkę. To było jak prąd, przez stado przeszła iskra, zwierzęta rozproszyły się i przegrupowały.

I tyle.

- Nie możemy tu zostać. Zadepczą nas.

- Jem, nie mamy innej opcji. Tutaj przynajmniej jest dach. Zobacz, jeśli krowy wydostaną się za ogrodzenie, możemy wleźć po sianie na górę, widzisz? Mućki chyba nie umieją się wspinać, nie?

- Nie wiem.

Usiedliśmy na beli siana i patrzyliśmy na stado. Parę krów ciągle się na nas gapiło, ale większość wróciła do żucia siana. Jedna, nie przestając ruszać pyskiem, zadarła ogon. Polał się strumień brązowych krowich sików. W życiu nie widziałam czegoś tak obrzydliwego. Instynktownie podniosłam rękę, żeby zakryć usta, bo pusty żołądek mi się skręcił. Odwróciłam wzrok, tymczasem Pająkowi opadła szczeka i gapił się na krowę całkiem zauroczony i przerażony jednocześnie.

- To chora krowa – powiedział, nie odrywając od niej wzroku – albo ktoś ją karmił curry. Kiedy ostatni raz jadłem curry, kurwa...

- Zamknij się! – zdołałam krzyknąć, zanim żołądek znowu mnie uciszył. Skulona, chwiejnym krokiem wyszłam ze stodoły. Stałam parę metrów dalej. Pochyliłam się, ręce oparłam na kolanach i usiłowałam opanować mdłości, wchłonąć trochę świeżego powietrza. Po chwili usłyszałam, jak Pająk idzie w moją stronę.

- W porządku?

- Nie.

Poczułam jego rękę na plecach. Przez sekundę leżała spokojnie, a potem poruszyła się uspokajająco w górę i w dół. Skupiłam się na tej dłoni, na ciepłe dotyku, mięśnie brzucha rozluźniły się stopniowo. Chociaż poczułam się lepiej, nie chciałam strząsać jego ręki i jeszcze chwilę stałam pochylona. Nigdy nie przepadałam za fizycznym dotykiem, ale ten gest pocieszenia, ogrzewał. Kiedy podniosłam głowę, Pająk nie patrzył na mnie, tylko gapił się w dal. Pozwolił dłoni opaść. Wiatr wiał przez pola, teraz trochę ostrzej.

- Lepiej? – zapytał, nie odwracając głowy.

- Nie... no tak... - Chciałam mu podziękować, ale to by było za miękkie. Zamiast tego podążyłam za jego wzrokiem. Patrzyliśmy w kierunku, z którego przyszliśmy. – Jak myślisz, ile zostało czasu... zanim nas dogonią?

- Nie wiem. Nie słyszę już helikoptera. – Staliśmy chwilę, usiłując wyłapać regularny łomot. Może to wiatr zagłuszył odgłos śmigieł, w końcu przybierał na sile, a może nigdy go nie słyszeliśmy... Zaczęłam się trząść, Pająk objął mnie ramieniem. – Chodź, ukryjemy się. Wleziemy gdzieś do tyłu, za siano, nikt nas nie znajdzie.

Znowu miał coś do roboty i znowu angażował się w to na sto procent. Istny człowiek czynu – przerzucał bele siana, układał je w stos, wykrzykiwał polecenia. Budował coś w rodzaju tunelu – znikał w nim, pełzając na czworakach, by wciągać do środka kolejne bele. Wreszcie wylazł z durnym uśmiechem na gębie.

- *Voilà!* – musiałam się skrzywić, bo dodał: - Chodź, bo wciągnę cię na siłę! Tu naprawdę jest okay.

By zajrzeć do tunelu, a potem do niego wleźć, musiałam uklęknąć. Gdy dotknęłam zranioną dłońią ziemi, zabołało, więc pełznąć, opierałam się tylko na koniuszkach palców. W środku było ciemno, ale nie zupełnie czarno, no i tunel nie był tak długi, jak mi się zdawało. Po jakiś pięciu czy sześciu metrach nabierał szerokości, tworząc pokoi czy raczej jaskinię. Było tu dosyć miejsca dla dwóch osób, mogliśmy nawet usiąść obok siebie. Nie widziałam Pająka zbyt dobrze, za to świetnie go czułam. Wielogodzinny marsz, ciągnięcie siana, a także to, że nie mył się Bóg wie jak długo (kąpieli w zabłoconej rzece nie liczyłam) – wzmogło jego normalny smród do olimpijskich rozmiarów.

- No i jak, super, nie?! Musimy tylko zamknąć sianem wejście i załatwione. Może już to zrobię, sprawdzę, czy system działa...?

Na myśl o zamknięciu w tym zaduchu całkiem odpadłam. Rzuciłam się w stronę wyjścia.

- Pająk, na pewno jest okay. Zamkniemy tunel później, jak będzie trzeba.

Wypełzłam z powrotem do stodoły i odetchnęłam głęboko. Dla mnie smród krowiego łajna był lepszy niż zapach Pająka. Tymczasem pan budowniczy wylazł z tunelu, wydawał się bardzo dumny ze swego dzieła. Nie chciałam mu psuć nastroju, ale ręka bolała coraz bardziej, byłam zmęczona i wystraszona. Pewnie dlatego nie zastanowiłam się nad tym, co powiedziałam.

- Jeśli nas tu znajdą, jesteśmy załatwieni na cacy – stwierdziłam.

Wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast, jakby ktoś wyłączył światło. A ja nienawidziłam siebie za to, że tak go traktuję.

- Masz rację, Jem. Jeśli nas tu znajdą, nie uciekniemy, będziemy jak szczury w beczce. – Usiadł na sianie obok mnie, opierając łokcie na udach i ciężko zwieszając głowę. Jego głos był cichy, pełen emocji. – Wiesz, ja się nie poddam, będę walczyć. Nie żartuję.

Wiedziałam, że ma nóż, i byłam pewna, że go użyje. Ogarnął mnie gwałtowny niepokój.

- Pająk, nie warto. Jeżeli nas tu dopadną, powinniśmy się poddać. W końcu co na nas mają...? London Eye to nie nasza sprawka, nie dadzą rady nam tego przypisać. Zwinąłeś kasę Baza, ale założę się, że on tego nie zgłosił. Buchnęliśmy parę wozów, no i co? Nie my pierwsi, nie ostatni. Ale walka, o, walka to zupełnie inna sprawa. Zatniesz kogoś, to nas wsadzą...

- Tak, wsadzą, ale nie ciebie, tylko mnie. Nie ty rąbnęłaś fury. Nawet ta sprawa z nożem w szkole, niby kiepsko, ale przecież białej biednej dziewczynce, z Karen i socjalną po swojej stronie, w dodatku dotąd nie notowanej, nic nie zrobią. Ja to inna para pantofelków – wystarczy spojrzeć na moją czarną gębę. Pomyśl tylko, spełniam wszystkie warunki, typowy młody przestępca. Nie będą się zastanawiać, wsadzą mnie na parę miesięcy, może rok. Utknę w systemie. – Przejechał ręką po włosach. – Nie mogę, Jem. Nie chcę dać się zamknąć. Nie chcę być jeszcze jednym dzieciakiem wywalonym na śmietnik. – Walnął pięścią w siano. Raz już dostał przy mnie takiego ataku, wiedziałam, że może się wpędzić w niezłą furję, ale kiedy na niego spojrzałam,

wyglądał, jakby miał się rozpląkać. Był wściekły, tak, ale też przerażony. – Nie pójdę siedzieć. Będę walczyć i może dam się zabić...

- Stary, nie mów tak, nigdy tak nie mów.

Pogłaskałam go uspokajająco po plecach, a tymczasem myślałam: „Tak się to stanie...?”. Był taki chudy, przez ubranie czułam każdy krąg jego kręgosłupa.

Pociągnął nosem, przejechał po twarzy rękawem. Potem wyprostował się i spojrzał mi prosto w oczy.

- Czy to dzisiaj, Jem?

Patrzyłam na niego tępo, udając, że nie wiem, o co pyta.

- Co?

- Czy to dzisiaj wszystko się dla mnie skończy? Ty to wiesz, prawda? Znajdą nas? Zastrzelą mnie jak tego faceta w metrze...?

Poczułam łzy w oczach.

- Nie pytaj, Pająk. Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

- O Boże – szepnęła. Podniósł obie dłonie do ust, jakby się modlił. Oddychał ciężko, rozglądając się na prawo i lewo, w oczach miał panikę. To była prawdziwa tortura, widzieć go takim. Nie mogłam na to pozwolić, dla niego złamałam swoją zasadę.

- To nie dzisiaj – powiedziałam cicho. – Pająk, słuchasz mnie? To nie dzisiaj...

Opuścił ręce. Spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami.

- Dziękuję – odparł i skinął mi głową. – Jem, nie powinienem pytać i... nie zapytam nigdy więcej. Obiecuję. – Wyglądał jak mały chłopiec, taki poważny i skupiony.

Miałam ochotę go przytulić, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze. Pomyślałam o Val, kobiecie, która go tak uspokajała, kiedy był mały, i o słowach, jakie od niej usłyszałam (naprawdę tylko dwa dni temu...?). Te słowa niespodziewanie znów rozległy mi się w głowie: „Opiekuj się nim, Jem”. Czy to przypadkiem nie za dużo, jak na jedną zwykłą dziewczynę...?

Siedząc na sianie, wyjedliśmy resztki naszych zapasów. Odwróciłam się plecami do krów, żeby mi nie psuły apetytu. Podzieliliśmy się ostatnią paczką chrupek i zjedliśmy po batonie, dopiliśmy też colę. Żuliśmy każdy kęs, usiłując najeść się prawie niczym. Po posiłku oboje już wiedzieliśmy. Możliwości się skończyły. To by było na tyle. Koniec i kropka. Jutro trzeba będzie coś wykombinować.

Tymczasem znowu nie było co robić. Pogadaliśmy trochę, ale niewiele było do powiedzenia. Mieliśmy dołującą świadomość, że wpadliśmy w kłopoty po uszy. W końcu wleźliśmy do tunelu, w jaskini rozłożyliśmy koce i usiłowaliśmy zasnąć tuż obok siebie.

Teraz było już ciemno, naprawdę czarno, choć pewnie minęła dopiero piąta. Znowu trochę pogadaliśmy, nasłuchując krów. Jeżeli udawało się zapomnieć, jak były obrzydliwe, jak wielkie, to ich odgłosy były w sumie całkiem miłe – wydmuchiwanie powietrza przez wielkie wilgotne nozdrza, powolne dreptanie

po sianie, żucie trawy. Ile razy któraś pierdnęła, Pająk ryczał ze śmiechu. Są ludzie, którym niewiele trzeba do szczęścia.

Nie wiem, jak długo tam leżeliśmy. Nie mogłam znaleźć wygodnej pozycji. Bele siana pod spodem były twarde, żdźbła drapały nawet przez koc. Skóra pokryta dwudniowym brudem swędziała mnie jak nie wiem, głowa też. Czułam się lepka i okropna.

- Przydałaby mi się kąpiel albo chociaż prysznic – stwierdziłam, wierząc się i usiłując podrapać w plecy o to siano.

- Mnie nie przeszkadza – powiedział Pająk.

- Jasne – odparłam.

- O co ci chodzi? – spytał.

- Śmierdzisz, Pająk. Bez obrazy, stary, ale tak jest. Ja też śmierdzę, tylko różnica jest taka, że ja tego nie chcę.

Kiedy tak rozmawialiśmy, dotarł do nas jakiś nowy dźwięk, który przybierał na sile. W ciszy stodoły słyszałam coraz szybsze uderzenia o blaszany dach. Padało. Ten odgłos był niesamowity, woda wałaca o metal. Wyczołgałam się z tunelu i usiadłam na beli siana, ściągając bluzę przez głowę i rozpinając dzinsy.

- Co robisz? – Pająk wylazł za mną.

Dzinsy utknęły mi na tenisówkach. Zła, szarpnęłam za sznurowadła.

- Zamierzam się wreszcie umyć. Dalej, wyjdźmy na dwór! – Wybiegłam na zewnątrz. W samych tylko majtkach i staniku. Boso.

Lało. Czułam jak błoto i krowie łajno ochlapuje mi nogi, gdy na ziemię spadały wielkie krople. Nic mnie to nie obchodziło. Czułam się bosko. Lodowate, ale odświeżające ukłucia deszczu na odsłoniętej skórze. Uniosłam twarz, zalała ją woda z nieba, szorowałam się zaciekle, sterczące włosy też. Swędzenie mijało. Rozmazywałam deszcz po całym ciele, a potem znowu zadarłam głowę i otworzyłam usta, łapiąc zimne krople na język.

Popatrzyłam na stodołę. W mroku dostrzegłam Pajaka. Opierał się o jeden z metalowych słupów, uśmiechał i kręcił głową.

- Człowieku, odbiło ci! – krzyknął. – Naprawdę ci odbiło!

- Nie! – odwrzasnęłam. – Jest super! Chodź do mnie!

- Nieee, nie ja, mowy nie ma. Wczoraj dosyć się zmoczyłem.

Podbiegłam do niego. Poślizgnęłam się w błocie i niemal wywaliłam. Śmiech. Cofnął się, ale złapałam go, a potem wyciągnęłam na zewnątrz. Kiedy go zmoczyło, poddał się, zaczął ściągać ciuchy i rzucać je do stodoły.

- Nie wierzę, że to robię! Ale obłęd!

Kręciłam się w kółko z rozpostartymi rękami, znowu zatracając się w ciemności i deszczu. Pająk w samych gatkach podszedł do mnie ostrożnie, skulony, z wciągniętym brzuchem, jego ciało usiłowało bronić się przed chłodem. Ależ on był chudy! Widać było wszystkie mięśnie, i to nie dlatego, że był tak napakowany – po prostu nie osłaniał ich żaden tłuszcz. Stał z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Nie patrzył mi w oczy. Ja już zapomniałam o wstydzie, poniósł mnie zachwyt, ale on stał tam, sparaliżowany skrępowaniem.

- Zimno tu jak cholera! – pisnął.

Roześmiałam się.

- Odświeżająco!

- Te krople są jak igły!

- Wetrzyj wodę, to będzie okay!

Potał jedno przedramię, sztywno, potem zajął się resztą.

- Masz rację.

Powtarzał moje ruchy, przesuwając rękami po włosach, zadzierał głowę, zamykając oczy... W końcu wrzasnął radośnie, a ja patrzyłam, jak ściera wodę z twarzy, ramion i piersi, i nagle to do mnie dotarło. Był piękny.

Poczułam, że szok ogarnął całe moje ciało. Jakbym go widziała po raz pierwszy, dostrzegła to, czego nie zauważył nikt inny – coś za tym nieustanny dygotaniem, niezręcznością i agresją.

Poczułam, że na mnie patrzy.

- Co? – spytał.

- Nic.

- Zimno ci?

- Nie, nic mi nie jest.

- Musisz się ruszyć, bo zamarzniesz! – Wystartował nagle, skacząc jak szalenciec, wrzeszcząc. Dołączyłam do niego, tańcząc i podskakując, śmiejąc się jak wariatka. Złapał mnie i okręcił, a potem przyciągnął do siebie i objął w talii. Tańczyliśmy walca jak jakaś para świrów. A przez cały ten czas deszcz padał jak wściekły. To było naprawdę szalone.

- Ktoś tam na górze cię lubi! – krzyknął mi do ucha.

- O co ci chodzi?

- Przysłali ci prysznic akurat wtedy, kiedy tego chciałaś, nie?

- To tylko deszcz. Nikogo tam nie ma.

- Skąd wiesz?

- No, nikt się mną nie zajmował przez ostatnie piętnaście lat, więc dlaczego miałby zacząć akurat teraz?

Przestaliśmy tańczyć, ale on wciąż mnie obejmował.

- Ja zawsze będę się tobą opiekować – powiedział.

Jego słowa dotarły do mnie. W sam środek. Aż mnie skręciło. Jednocześnie zaczęły mnie piec oczy. Dla tego chłopaka nie było żadnego *zawsze*. Odwróciłam głowę, żeby nie widział moich łez.

- Mówię poważnie, Jem.

- Wiem – odpowiedziałam drżącym głosem.

Złapał mnie za podbródek i delikatnie przyciągnął do siebie. Tak bardzo różniliśmy się wzrostem, że oczy miałam na poziomie jego klaty. Odchylił moją głowę, poczym wolno, wolniutko pochylił się.

Jeszcze zdążyłam pomyśleć: „To się nie dzieje naprawdę”, zanim poczułam, jak jego wargi delikatnie przyciskają się do moich. Zamknęłam oczy. Jego usta poruszyły się lekko, nos otarł o mój. Gdy poczułam, że nieznacznie się odsuwa,

otworzyłam oczy. Jego twarz była tak blisko, że straciła wyrazistość, ale i tak widziałam jego numer, ten sam co zawsze. Jeszcze parę centymetrów dalej i zaczął wyglądać bardziej znajomo, zarys zmieniał się z powrotem w twarz Pajaka. Zmarszczył brwi, puścił mnie i podniósł ręce, jakby się poddawał.

- Sorry – powiedział. – Przepraszam.

- Nie – odpowiedziałam szybko – nie przepraszaj.

Sięgnęłam do jego karku, przyciągnęłam do siebie i pocałowaliśmy się znowu.

I zatraciliśmy się w sobie nawzajem, delikatnie badając twarze i rysy, które, mogłoby się wydawać, tak dobrze znaliśmy. W deszczu, w ciemności, w kompletnie innym wymiarze.

## Rozdział 18

**P**ołożyłam się na kocu, instynktownie krzyżując ręce na piersiach. Próbował mnie tam dotknąć, pocałować.

Wiedziałam, że moje ramiona mu przeszkadzają. Powiedziałam sobie, że jeśli mamy to zrobić, muszę mu zaufać, dopuścić go blisko. Zmusiłam się, by podnieść ręce nad głowę, położyć je na sianie z tyłu. To było celowe – odsłaniałam się przed nim. Skorzystał z tego z entuzjazmem, całując mnie, gryząc leciutko i ssąc. To było cudowne. I wstrząsające. Zbyt nowe i zbyt dziwne. Złapałam się na tym, że w myślach się odsuwam. Stałam się obserwatorem i kompletny absurd tego wszystkiego – nas dwojga nago w śmierdzącej stodole, przedziwnych doznań mojego ciała, napięcia w środku – wywołał u mnie nerwowy śmiech.

Pająk przestał i popatrzył na mnie. Twarz miał śmiertelnie poważną – nigdy go takim nie widziałam.

- Śmiejesz się...

- Nie.

Wciąż nie mogłam powstrzymać nerwowego chichotu.

- Zrobiłem coś nie tak?

- Nie, jasne, że nie. To tylko... Ja tylko... No, nie jestem przyzwyczajona. Przepraszam. - Śmiech zniknął, gdy zobaczyłam, jak go to zraniło. - Pająk, w porządku – powiedziałam. - Ja nigdy tego nie robiłam. To nerwy. Wyluzuj i chodź tutaj.

Teraz mnie samej niewiele brakowało do płaczu, wszystkie uczucia były zdecydowanie zbyt blisko ujęcia. Przyciągnęłam go, całując czule, wargami zachęcając, by odwzajemnił pocałunek. Było lepiej, kiedy się całowaliśmy. Miękkosć, wilgoć warg nas uspokajały, a mnie sprowadziły z powrotem do mojego ciała. Znowu byłam z nim.

Pieścił mnie i głaskał, rozdygotana energia płynęła z końców jego palców. Niezręcznie i w ciemności zrobiliśmy to. Naprawdę to zrobiliśmy – na drapiącym kocu, w pyle stodoly i smrodzie krowiego łajna. Bele siana pod nami mogły się tylko huśtać, ale ziemia się nie poruszała. Ten pierwszy raz był tak niezręczny, mechaniczny, potrwał tylko jakąś minutę – nic, czym warto by się przejmować. Tylko potem byliśmy inni. Nie przez seks, ale przez bliskość, intymność. Przykryliśmy się, na ile się dało, dwoma kocami i starą zieloną kurtką i przytuliliśmy się do siebie. Deszcz zmył jego kwaśny smród, była tylko lekka, uspokajająca woń, kiedy ułożyłam się z głową na jego piersi.

- Robiłeś to już przedtem? - spytałam.

- Tak, jasne. Masę razy. - Była to ewidentna ściema. - No, w każdym razie raz. - Czekałam. - Okay, teraz już raz. Z tobą.

Uśmiechnęłam się i przytuliłam go mocniej.



Nawet wtedy, po tym wszystkim, kipiała w nim energia, jego ręce wciąż były w ruchu. Przeczesał palcami moje króciutkie włosy, a druga ręka przesuwiała się po moim ramieniu, brzuchu, boku. Obrócił się, tak że leżeliśmy twarzą w twarz, i delikatnie przejechał palcem po linii mojej szczęki.

- Śmieszne, z krótkimi włosami wyglądasz bardziej jak dziewczyna. Widać twoją twarz. - Pocałował mnie w czoło, w noc, w brodę, po kolei. - Tę śliczną buzię

Nikt jeszcze nie powiedział że jestem śliczna. Jestem absolutnie pewna, że nikt tak nawet nie pomyślał.

- Chyba ci mówiłam, że masz mi nie mówić nic miłego.

Prychnął.

- Tak, przecież obiecałem, nie? Ale to się nie liczy.

- Dlaczego? Słowo to słowo, nie?

- Tak, ale to było, zanim się w tobie zakochałem.

Tego było za wiele, osaczyło mnie nowe. Zareagowałam jak zwykle. Powiedziałam to samo co zwykle.

- Odpieprz się!

- Okay, zapomnij.

Mocno go zraniłam. To było tak intensywne i rzeczywiste, jak czarny księżyc wiszący nad nami. Boże, co ja zrobiłam?!

- Przepraszam, przepraszam... Wiesz, ja chyba całkiem nie wiem, jak mam się zachowywać...

- W porządku, Jem.

Ale puść mnie, odsunął się.

- Nie, wcale nie. Idiotka ze mnie.

Gdybym powiedziała mu to samo, tam i wtedy, gdybym powiedziała, że go kocham. Gdyby... gdyby... gdyby...

Bez jego ciepła koc był żałośnie niewystarczający, zimno rozlało się we mnie całej, zadrżałam gwałtownie. Usiadłam i zaczęłam szukać ciuchów, znowu przeklinając brak latarki. Zakładam, co tylko znalazłam bez stanika czy majtek, tylko jedną skarpetkę (i to chyba Pająka), bluzę, dzinsy. Reszta musi zaczekać, aż będzie trochę światła. Jakiś metr ode mnie Pająk robił to samo. Miałam wrażenie, jakby coś się między nami skończyło. Zrobiłam to swoim niewyparzonym jęzorem.

Zwinęłam się w kłębek, ale nawet w ubraniu było mi zimno. Kiedy się nad tym zastanowić, to kiedy człowiek tańczy na golasa w deszczu w grudniu, a potem tarza się nago w stodole, to musi zmarznąć, nie? Głód też raczej nie pomagał. Słyszałam, jak metr ode mnie Pająk wierci się i próbuje ułożyć. Westchnął. Może to był tylko oddech, ale ja usłyszałam też frustrację, złość i smutek. Chciałam wyciągnąć do niego rękę, ale bałam się, że mnie odepchnie.

Leżeliśmy w milczeniu. Nawet krowy były spokojniejsze. Ułożyły się na sianie we własnym brudzie, tylko sobie żuły i oddychały. Było mi za zimno,

żebym mogła zasnąć, poza tym nawet nie chciałam próbować z tą ścianą ciszy między nami. Potrzebowałam go.

- Nie śpisz? - szepnęłam, a głos niemal ginał w ciemności wielkiej stodoły.

- Nie.

- Zimno mi.

- Wiem. Mnie też. - Pauza. Bardzo długa pauza. - Chodź tutaj.

Przysunęłam się do niego, a on się obrócił. Owinął jedno długie ramię wokół mnie, a ja się do niego przytuliłam.

- Przepraszam – powiedziałam. Za to wcześniej.

- W porządku, Jem, zamknij się. To już minęło.

- Tak, ale... Nie chciałam tego powiedzieć. Nie chciałam cię zranić.

- Wiem. W porządku. Zwykła kłótnia kochanków, co?

Pocałował mnie w czubek nosa, potem w usta i nagle naprawdę wszystko było w porządku.

Kiedy oddychaliśmy nawzajem swoim oddechem, a ja zanurzyłam ręce w jego kręconych włosach, pomyślałam „Kochanków... Tak, teraz jesteśmy kochankami”. Przerwaliśmy, by złapać oddech. Ciągłe miałam zimne dłonie, wziął je i wsunął pod swoje ubranie, na gołą skórę piersi i brzucha, aby je ogrzać.

- Nie byłoby fajnie, gdyby można było zacząć od nowa...? - zapytałam. - Mam wrażenie, że moje życie było spaprane zanim się zaczęło.

- Wiesz co... - popatrzył na mnie, a ja go objęłam. - My naprawdę zaczynamy od nowa, Jem. Myślę, że gdybym cię nie spotkał, byłaby trawa, prochy, palenie cracka i dawanie sobie w żyłę. Więzienie. Szpital. Tak by się to dla mnie skończyło. Ty mnie przed tym uratowałeś. Teraz będzie inaczej.

Wbiłam paznokcie w jego plecy, poczułam w oczach pieczenie łez.

- Au! A to za co? Zostawiasz na mnie swój znak?

- Nie, tylko trzymam cię mocno.

- Aha – uśmiechnął się.

On też mnie trzymał i zrobiliśmy to jeszcze raz, ale tym razem to było kochanie się, powolne i delikatne. I nie leżałam tylko, byłam tego częścią – poruszając się i całując, głaszcząc i wdychając. Jakbym była kimś innym, choć tak naprawdę nie byłam. Ja, prawdziwa ja, a Pająk był jedynym człowiekiem, który mnie kiedykolwiek odnalazł, który zobaczył mnie taką, jaka byłam naprawdę. I ja widziałam jego. Był piękny.

Potem leżałam w zgięciu jego ramienia, z dłonią na jego piersi, a on zastygł, ani jednego dygotu czy podrygu. Razem byliśmy tacy spokojni. Zasnęłam, czując jego ciepły oddech i serce bijące tuż obok mojego.

## Rozdział 19

**B**udziłam się powoli, nie wiedząc, co jest rzeczywiste, a co nie. Słyszałam ciepłe, głębokie odgłosy krów rozmawiających ze sobą. Moje nozdrza wypełnione były powietrzem pachnącym ziemią i gównem - wymieszane wonie zwierzęce i roślinne. Leżałam na boku, jak zwykle zwinięta w kłębek, ale w plecy było mi ciepło, przytulało się do mnie coś ciężkiego. Otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą ścianę siana. Popatrzyłam w dół - ramię Pajaka obejmowało mnie w pasie. On też leżał na boku, owinięty wokół mnie.

Akurat zaczęło się rozwidniać. Krowy wstawały, kopiąc siano - pewnie ten odgłos mnie obudził. Dotknęłam ramienia Pajaka i przytuliłam go mocniej. Ten niewielki ruch go obudził, otarł policzek o czubek mojej głowy i pocałował mnie tam.

- Lepiej wstawać, jest rano - szepnęłam.

Pajak jęknął.

- Okay - powiedział. - Jeszcze tylko pięć minut.

I tak leżeliśmy razem jeszcze chwilę. Teraz już nie spałam, w myślach jeszcze raz rozpamiętywałam poprzednią noc. Czy to było naprawdę...? Czy byłam inna...? Pajak znowu zasnął, czułam to po ciężarze jego ramienia, po ciężkim, równym oddechu muskającym mi włosy. Zaczęłam się martwić, że ktoś nas tu znajdzie. Na pewno ktoś przyjdzie zająć się krowami. Chyba nie zostawiali ich samych na całe dni, nie? Okręciłam się pod jego ramieniem, potarłam jego pierś, żeby go obudzić.

- Chodź, musimy iść.

Leniwie otworzył jedno oko.

- Pali się...?

- Trzeba stąd spadać, robi się jasno. - Wyślizgnęłam się z jego ramion i usiadłam. Nie spaliśmy w jaskini z siana, leżeliśmy tylko na jakichś belach. Wszędzie były porzrzucone ubrania, skarpetki wdeptane w brudną ziemię. Tak, to się działo naprawdę.

Pozbierałam swoje ciuchy i zrobiłam, co się dało, żeby je otrzepać z błota, potem się rozebrałam, żeby się znowu ubrać, tym razem porządnie. W zimnym świetle dnia byłam skrępowana, szybko narzuciłam T-shirt, a potem musiałam się nagimnastykować, żeby pod nim włożyć jeszcze stanik.

- Po co to robisz? - zapytał sennie. - Wszystko już widziałem. Nie musisz się chować.

- Wiem - odpowiedziałam. - Zimno mi i tyle. A poza tym wstawaj. Masz...

Zwinęłam jego skarpetkę, którą miałam wcześniej na sobie, i rzuciłam w niego.

- Tak, tak...

Kiedy już się ubraliśmy, mogliśmy tylko iść. Nie mieliśmy nic na śniadanie, nawet do picia. Krowy ustawiły się w zagrodzie i patrzyły na nas ciekawie, ich oddech zmieniał się w parę w chłodnym porannym powietrzu.

Wsadziliśmy koce do toreb i ruszyliśmy. Nie było wątpliwości, co mieliśmy dzisiaj do zrobienia - musieliśmy znaleźć jakąś cywilizację, więc poszliśmy ścieżką do szosy. Pająk niósł torby. Kiedy ruszyliśmy, złapał je jedną ręką, a drugą delikatnie ujął moją. Szliśmy obok siebie, nie odzywając się. Kiedy ścieżka się zwężyła, on poszedł przodem, ale mnie nie puścił. I tak się trzymaliśmy, ja z ręką wyciągniętą do przodu, on do tyłu. Brzmi okropnie sentymentalnie, nie? Jakbyśmy od razu wpadli w te słodkie męsko-damskie karesy. Ale to nie tak. Po prostu byliśmy razem. Naprawdę razem.

Szliśmy drogą, unosząc kciuk jak autostopowicze, za każdym razem, gdy usłyszeliśmy samochód. Ryzykowaliśmy rozpoznanie, ale i tak nikt się nie zatrzymał. Wszyscy się śpieszyli, pędzili, jakby ta wiejska droga była torem wyścigowym, na nasz widok zjeżdżali na pobocze. Paru zatrąbiło, jakbyśmy w ogóle nie powinni tu być. A którądy niby mieliśmy iść? Rowem...? Palanty!

Przestało padać, ale wszystko było mokre, na poboczu były ogromne kałuże. Nogawki spodni robiły się coraz cięższe, gdy woda w nie wsiąkała. Nie było łatwo iść z kompletnie pustym brzuchem. Byłam zmęczona, naprawdę zmęczona, całe ciało buntowało się przeciwko temu, czego od niego chciałam. Ciągle bekałam, ale nie czułam cienia smaku wczorajszego jedzenia - kwaśną pustkę.

Po ósmej się zatrzymaliśmy. Nie mogliśmy usiąść, było za mokro. Stanęliśmy parę metrów od szosy, na drodze dojazdowej do jakiejś farmy. Pająk rzucił torby i zapalił jednego z ostatnich papierosów. Dzieliliśmy się fajką w milczeniu, a z drzew kapą na nas woda.

- Ponuro, nie? - spytał. Pokiwałam tylko głową. - Chyba powinniśmy zaryzykować jeden telefon. Ściągnąć taksówkę.

- Mowy nie ma, namierzają nas. Pająk, to byłby koniec.

- A co innego możemy zrobić? Utknęliśmy tutaj na środku pustyni.

- Nie wiem, ale policja na pewno tylko czeka, żebyśmy użyli telefonu, nie?

Upuścił peta na ziemię i zdeptał.

- Jem, jestem głodny. Zimno mi.

- Wiem. Ja też.

Zapaliliśmy jeszcze jednego, podawaliśmy go sobie, mała pociecha w tym ogólnie wrogim świecie. Po kilku chwilach usłyszeliśmy, jak drogą za nami jedzie samochód. Popatrzyliśmy na siebie. Nie było czasu ani sensu się chować. Wielka terenówka wyłoniła się zza zakrętu. Kierowca dał po hamulcach na nasz widok, a potem nas objechał. Kiedy samochód nas mijał, zajrzeliśmy do środka - prowadziła kobieta, chyba niewiele po trzydziestce, całkiem elegancka, z włosami w kucyk i z grzanką w zębach, która wyglądała jak dziób. Z tyłu siedziała parka dzieciaków. Przypięte pasami w tym wielkim aucie wyglądały jak lalki.

Kobieta spojrzała na nas - zaskoczona, nieufna, może trochę zła - po czym podjechała do skrzyżowania i skręciła na szosę. Parę metrów dalej zatrzymała się i wrzuciła wsteczny, aż zrównała się z nami. Szyba od strony pasażera zjechała, kobieta wyjęła tost z ust i wychyliła się przez okno.

- Czekacie na kogoś?

Jej głos brzmiał ostro, jakby nas o coś oskarżała. Zbrodnia bycia obcymi. Zbrodnia bycia młodymi.

Pająk uniósł rękę.

- Po prostu potrzebujemy podwózki. Do miasta.

Trochę przeginał - żadne z nas nie wiedziało, czy w pobliżu jest jakieś miasteczko. Popatrzyła na nas z powątpiewaniem, zaciskając usta w wąską linię.

- Jasne. Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc. Szyba pojechała do góry i samochód ruszył.

- Wiedźma - stwierdziłam.

Pająk pokiwał głową i zaciągnął się znowu. Trzy metry dalej samochód znowu się zatrzymał i zawrócił. Tym razem z tyłu nadjechał inny, zatrąbił, kiedy auta się mijały. Szyba zjechała.

- Lepiej wsiadajcie - powiedziała stanowczo. - Jadę do miasta. Torby połóżcie z tyłu. Jedno z was będzie musiało usiąść między dziećmi.

Wymieniliśmy z Pajakiem spojrzenia, potem otworzyliśmy bagażnik i wrzuciliśmy torby. Otworzyłam drzwi pasażera. Dzieciaki patrzyły szeroko otwartymi oczami, jakby ich mamie całkiem odbiło. Usiłowałam unikać ich wzroku - nie mogę tego znieść, oglądania numerów| dzieci. To mnie dobija. Były w eleganckich mundurkach - marynareczki, koszule, krawaty, wiecie o co chodzi - i patrzyły na mnie, jakbym była z kosmosu.

- No... przepraszam... Mogę...?

Chłopiec siedzący z mojej strony przełożył nogi na bok i odchylił się. Przetarłam się koło niego i usiadłam pośrodku. Dziewczynka odsunęła się ode mnie. Pająk zamknął bagażnik i wskoczył na przód.

- Dzięki, naprawdę jesteśmy wdzięczni. To super, naprawdę super. Fajny wózek. Super. Cool. Cool... - Kiwał głową z uznaniem. Chciałam, żeby się zamknął i nie sprawiał wrażenia zbyt wielkiego świra. - To naprawdę miło z pani strony. Na dworze jest kurewsko zimno.

Usłyszałam, jak chłopiec ostro wciąga powietrze. Widziałam go kątem oka, oczy miał jak spodki i otwartą buzię. Kobieta odezwała się głośno, starannie wymawiając każde słowo.

- Słuchajcie, chętnie was podwiozę, jeśli nie będziecie się wyrażać. W tym samochodzie tego nie robimy.

Pająk przycisnął rękę do ust.

- Jezu, przepraszam. Przepraszam. Bez obrazy, proszę pani. W porządku, dzieciaki? - Odwrócił się i rzucił im uśmiech numer dwa. - To nie jest fajnie używać takich słów, nie? Bardzo nie fajnie.

Wydawało mi się, że dziewczynka pisnęła. Spojrzałam na nią. Była absolutnie przerażona. Może nawet się posikała. Może w ogóle nigdy nie widziała czarnego, a co dopiero takiego, który miał metr dziewięćdziesiąt i niewyparzony jęzor. Pewnie nawet w najlepszych czasach wyglądał dość groźnie, ale po dwóch dniach wędrówki i spania gdzie popadnie, naprawdę przedstawiał makabryczny widok.

Pająk przestawał panować nad nerwami. Nie mógł się pohamować.

- Bardzo miło z pani strony... że się pani dla nas zatrzymała... Bardzo.

- W porządku. - Widać było, że żałowała tego nagłego impulsu i więcej tego nie zrobi. - Dokąd jedziecie?

Ścisnął mi się żołądek, kiedy do mnie dotarło, że nie uzgodniłyśmy żadnej historyjki. Po dwóch dniach samotności nagle znaleźliśmy się z powrotem w prawdziwym świecie. Pająk brnął dalej, zmyślając na poczekaniu.

- Jedziemy do Bristolu, do mojej ciotki. Jest w Bristolu, właśnie.

- To jak skończyliście w Whiteways?

- No, jechaliśmy stopem. Wysadzili nas przy głównej drodze. Szliśmy parę dni na piechotę.

Kiedy tak gadał, zauważyłam ten niedojedzony kawałek tostu. Położyła go koło dźwigni biegów i zapomniała o nim. Ślina napłynęła mi do ust. Nie mogłam od niego oderwać oczu. Boże, nie powstrzymam się! Pochyliłam się, wyciągnęłam rękę i wzięłam grzanekę, a potem wyprostowałam się i wepchnęłam ją do ust, składając, żeby zmieściła się na jeden raz. Chleb był zimny i trochę mokry, ale najlepszy, jaki w życiu jadłam. Słone masło pobudziło wydzielanie śliny, trochę nawet popłynęło mi po podbródku, gdy żułam.

Dla chłopca było tego za wiele.

- Mamo - pisnął. - On zjadł twój tost!

*On?*

- Och - zareagowała - nieważne, Freddy. I tak już się najadłam.

Otarłam brodę rękawem, przełknęłam z niechęcią - wolałabym trzymać ten chleb w ustach do końca życia.

- Przepraszam - powiedziałam. - Okropnie... chciało mi się jeść.

- Nic się nie stało - odparła spokojnie. Dziewczynka zaczęła płakać, cicho popiskując. - Wszystko w porządku, dzieci. Już prawie dojechaliśmy, już niedaleko. - Nie musiała nawet dodawać: „Dzięki Bogu” i tak wiedzieliśmy, co myśli.

Byliśmy już prawie w miasteczku. Trudno mi opisać, jak dobrze było zobaczyć domy, wiedzieć, że tylko kilka minut stąd są sklepy i kawiarnie.

Zatrzymała się na poboczu.

- Szkoła jest w tamtą stronę, więc zostawię was tutaj. Do centrum jest tylko pięć minut na piechotę. I jest tam dworzec.

- Jasne, dzięki, dzięki. Bardzo miło z pani strony.

Wylazłam, obok Freddy'ego, który tak się wcisnął w fotel, że stał się niemal dwuwymiarowy. Wyciągnęliśmy torby z bagażnika i staliśmy na chodniku, kiedy samochód włączył się do ruchu.

- Ale mieliśmy fart - powiedział Pająk.

- Mhm, myślę, że byliśmy ostatnimi autostopowiczami, jakich wzięła w życiu.

- O co ci chodzi?

- Nic, nieważne. Nie wydaje mi się, żeby nas polubiła.

- Tak - roześmiał się. - I chyba myśleli, że jesteś chłopakiem. Powinni sobie zbadać wzrok.

- Pająk, myślisz, że wiedziała, kim jesteśmy?

- Nie, gdyby wiedziała, toby nas nie wzięła, nie?

Samochody nas mijaly, a ja zaczynałam się czuć jeszcze bardziej na widoku, niż kiedy szliśmy po polach. Przez dwa dni byliśmy odcięci od cywilizacji. Co o nas ci wszyscy ludzie słyszeli? Co widzieli w telewizji, czytali w gazetach? Czy w którymś z tych jadących samochodów ktoś właśnie sięga po telefon i dzwoni na policję? Czułam się bardzo niepewnie.

- Pająk, powinniśmy znaleźć sklep, zrobić zakupy i zniknąć. Nie możemy tu za długo się kręcić.

- Tak, wiem.

Wziął torby i ruszył wzdłuż ulicy, przebierając długimi nogami. Musiałam biec, żeby dotrzymać mu kroku. Dotarliśmy do pierwszych paru sklepów, rozglądając się za jakimś małym spożywczym albo takim ze wszystkim, kiedy zobaczyliśmy na ulicy tablicę: *Kawiarnia u Rity - Śniadania przez cały dzień*.

Pająk zatrzymał się. Gapił się na tablicę i oblizywał. Mogłam czytać w jego myślach - wiedziałam, co powie:

- Wiem, że nie powinniśmy się tu kręcić, ale, rany boskie, Jem, jestem taki głodny. Jak myślisz...?

Oboje wiedzieliśmy, że powinniśmy się trzymać planu - iść do pierwszego lepszego sklepu, kupić parę kanapek, wodę, batoniki, takie rzeczy, a potem znaleźć jakąś budkę, garaż czy coś w tym rodzaju i urządzić kolejny piknik - ale... nie było mowy, by któreś z nas było w stanie ominąć to miejsce.

- A niech to - powiedziałam. - Nawet skazaniec do-staje ostatni posiłek, nie?

Na twarzy Pajaka znowu pojawił się ten wielki uśmiech, przysięgłabym, że nawet odrobinę pociekła mu po brodzie ślina.

- Otóż to, dziewczyno - oznajmił, zebrał nasze rzeczy i skierował się do Rity.

## Rozdział 20

**N**igdy nie byłam w Afryce i nie widziałam, jak hiena rzuca się na martwą antylopę, ale musi być w tym podobna do Pajaka pożerającego śniadanie na ciepło. Używał widelca niczym łopatkę, nie robił przerw na oddech, tylko ciągle ładował w siebie jedzenie. Wreszcie popatrzył na mnie. Ja swojego nie tknęłam.

- Hej, co ci jest? Nie mów, że nie jesteś głodna.

W kąciку ust pojawił mu się bąbel żółtka.

- Nie, po prostu wolę patrzeć, niż jeść. Jest cudne.

Naprawdę było. Po całym tym czasie spędzonym na odludziu, tylko na chrupkach, herbatnikach i czekoladzie, śniadanie wyglądało niemal pięknie: para pulchnych kiełbasek lśniących od tłuszczu, idealnie usmażone jajko - czysto białe i żółte, paski bekonu wysmażone w chrupkie fale, jeziorko fasolek, których sos powoli rozlał się po talerzu.

Pajak prychnął, bąbel żółtka zamienił się w strużkę.

- Wariatka. Jedz. - Machnął widelcem w stronę kobiety za bufetem, która pewnie była Ritą i zawołał: - Hej, moglibyśmy dostać jeszcze grzanki?

- Już idą! - odpowiedziała wesoło, najwyraźniej lubiła patrzeć, jak ludziom smakuje.

Odkroiłam koniec jednej kiełbaski. Kiedy poczułam jej smak w ustach, nie zdołałam powstrzymać jęku satysfakcji, potem spokojnie pochłonęłam wszystko, co miałam na talerzu. Rita wyłoniła się zza bufetu, niosąc talerz grzanek. Należała do ludzi, którzy wydają się więksi wszerek niż wzdłuż, jej olbrzymie piersi (ledwie mieszczące się w męskiej kraciastej koszuli) wydymały się nad fartuchem. Spod prostej dżinsowej spódnicy wystawały gołe nogi, na stopach miała puchate kapcie ze sztucznym różowym futerkiem posklejanym w miejscach, na które chlapnął tłuszcz.

- Dolać? - spytała, wskazując kubki z herbatą.

- Dzięki - odparł Pajak, przesuwając swój bliżej brzegu stołu.

Począpała do bufetu i wzięła z niego wielki srebrzysty imbryk. Brązowy płyn parował, spływając do kubków. Poza nami w kawiarni nie było nikogo, a jej się najwyraźniej nie śpieszyło z powrotem za ladę.

- Spaliście na dworze? - spytała.

To nie było oskarżenie, tylko przyjazne pytanie.

- Tak - potwierdziliśmy chórem.

Usiadła przy stole po drugiej stronie przejścia.

- Dzieciaki, a czy nie musicie do kogoś zadzwonić...? Możecie tutaj skorzystać z telefonu, za darmo.

Pajak oparł widelec na brzegu talerza.

- W porządku, mamy komórki.



Nie mogłam nie pomyśleć o Val siedzącej na stołku w kuchni, z popielniczką pełną petów, o jej spojrzeniu, kiedy odjeżdżaliśmy.

- Jeżeli jest ktoś, gdziekolwiek, kto czeka na wiadomość od was, powinniście zadzwonić. Tylko żeby wiedział, że nic wam nie jest. Uwierzcie mi, kochani. Wiem, jak to jest siedzieć przy telefonie i modlić się, żeby zadzwonił. To łamie serce, naprawdę.

Nie patrzyła już na Pajaka ani na mnie, jej niewidzący wzrok utknął na jednym z obrazków na ścianie. Znalazła się gdzieś indziej, w jakimś bolesnym miejscu.

Ja się nie odzywałam, udawałam, że czytam gazetę leżącą na stole. Nie miałam ochoty na wysłuchiwanie cudzej smutnej historii. Pajak był zbyt zajęty wycieraniem talerza grzanką i wpychaniem jej sobie do ust, żeby zapytać, ale ona uznała nasze milczenie za zachętę.

- Widzicie, mnie też to się przydarzyło. Mój Shaunie. Kłóciliśmy się - wszyscy się kłóca, nie? A on wychodził na parę godzin, wracał do domu, gdy się uspokoił... Nigdy nie myślałam, że pójdzie sobie na dobre. - Jej twarz lśniła od wilgoci, od gorąca kuchni albo z wysiłku mówienia głośno o synu. Otarła czoło dołem fartucha. - Ale to właśnie zrobił. Pewnego dnia się pokłóciliśmy, nawet nie pamiętam, o co, i poszedł sobie. Nie przejmowałam się za bardzo, myślałam, że wróci. Przygotowałam mu kolację i wstawiłam do piekarnika, żeby nie wystygła. Rano nadal tam była, wysuszona i przyklejona do talerza. Pasterski placek z warzywami. To mu ugotowałam. Zawsze lubił pasterski placek. Zadzwoniłam na policję. Nie przejęli się za bardzo. Miał siedemnaście lat, a jak się tyle ma, można robić, co się chce. Dzwoniłam do kolegów Shauniego, wszędzie, dokąd mógł pójść. Nic. Po prostu zniknął. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Nawet nie wiem, czy żyje... - jej głos zadrżał, przerwała, siedziała tylko, oddychając głęboko.

Byłam zakłopotana, więc nie podnosiłam wzroku znad gazety. Dopiero po chwili dotarły do mnie słowa nagłówka: *ATAK NA LONDYN. DLACZEGO UCIEKLI?* A pod spodem ziarnisty obraz z kamery bezpieczeństwa przedstawiający kolejkę do kasy. Kamera musiała być montowana pod sufitem, pokazywała ludzi tak, że nie było widać ich twarzy, z wyjątkiem jednej osoby, która patrzyła w górę, prosto w obiektyw. To byłam oczywiście ja. Na tamtej stacji. Na pierwszej stronie gazety.

Pajak odłożył ostatni kawałek grzanki na talerz.

- To okropne - powiedział. - Przykro mi.

Rita pokiwała głową, przyjmując jego współczucie.

- Proszę. - Podał jej brudną papierową serwetkę.

- W porządku, mam gdzieś chustkę. - Pogrzebała w kieszeni fartucha, wydobyła wielką, białą męską chustkę i głośno wytarła nos.

- Coś takiego zmienia człowiekowi życie - szepnęła. - Odechciewa się wychodzić, bo a nuż zadzwoni telefon. Przestaje się porządnie spać. Ciągłe się nasłuchuje, czy nie zazgrzyta klucz w zamku. Czasami przychodzi myśl, że

człowiekowi odbija, kiedy widzi kogoś, kto z tyłu wygląda całkiem tak samo jak zaginiona osoba, albo słyszy taki sam śmiech, a potem ten ktoś się odwraca i okazuje się, że to nie on. - Na czole znowu miała krople potu. uniosła fartuch, żeby otrzeć twarz. - Jeśli macie kogoś, kto przechodzi to samo co ja, zadzwońcie do niego...

Czułam, jak oblewa mnie pot pod pachami i na czole, ale z innego powodu. Jej słowa przeleciały gdzieś nade mną kiedy czytałam tekst pod nagłówkiem: *Ujawniono ujęcia dwojga nastolatków, których widziano we wtorek uciekających spod London Eye kilka minut przed wybuchem bomby. Policja podkreśla, że w obecnej chwili są oni kluczowymi świadkami, którzy mogą mieć niezwykle ważne informacje o ataku terrorystycznym. Zwraca się do nich z pilną prośbą o zgłoszenie się.*

Rita zamilkła. Siedziała przy nas, mokrymi rękami miętosząc fartuch. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Chodzi o to - odezwał się Pająk - że po telefonie można wysledzić człowieka, nie?

- A wy nie chcecie, żeby was znaleźli...

Przeniosła spojrzenie z Pajaka na mnie, nie osądzała nas, a ja pomyślałam, że ten jej Shaunie musiał być kretynem, że zostawił taką mamę.

Zarejestrowałam jej numer. Zostało jej piętnaście, szesnaście lat. Czy jeszcze zobaczy syna, czy to będą kolejne lata przepuszczonych urodzin i samotnych świąt...? Usiłowałam o tym nie myśleć - nie mój problem.

- Wiecie co, jeżeli zostawicie numer, to mogę zadzwonić za was, kiedy już pójdziecie - oznajmiła. - Mogę zadzwonić za parę godzin albo nawet jutro, tylko powiem, że was widziałam i że nic wam nie jest.

Pająk pokiwał głową.

- Tak, to by było super. Zdażymy wyruszyć w drogę.

- Wezmę papier i ołówek. - Rita podniosła się.

Pochyliłam się nad plastikowym blatem stolika.

- Odbiło ci? - syknęłam.

- Co?

- Chcesz jej dać numer babci?

- Przecież powiedziała, może zadzwonić jutro, kiedy nas tu nie będzie. Będzie okay.

Nie powiedziałam nic, tylko popchnęłam po bo blacie gazetę w jego stronę.

- Co...? - zaczął, a potem zobaczył zdjęcie. - O kurwa.

Oboje popatrzyliśmy w kierunku bufetu. Rita stała tyłem do nas, grzebiąc pod stosem papierów w poszukiwaniu ołówka. Wcisnęłam gazetę pod kurtkę, po czym, bez słowa zebraliśmy torby i wstaliśmy najciszej, jak mogliśmy, usiłując nie szurać krzesłami po podłodze. Obejrzałam się, kiedy byliśmy przy drzwiach. Pająk ciągle stał przy stole. W co on się bawi? Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kilka pięciofuntówek z koperty. „Na litość boską - chciałam wrzasnąć - nie mamy na to czasu!”.

Pociągnęłam za klamkę, modląc się, by nad drzwiami nie było dzwonka. Udało się, wyslizgnęłam się na zewnątrz, a Pająk zaraz za mną.

- Nie biegnij, Jem. Idź. Luz.

Odeszliśmy ledwie parę metrów, kiedy usłyszeliśmy przez otwarte drzwi głos Rity.

- Co...? Hej, wracajcie!

Przyspieszyliśmy.

- Nie oglądaj się, Jem. Idź przed siebie.

Nie musiałam się oglądać. W myślach widziałam, jak stoi przez chwilę w drzwiach, patrzy, jak znikamy, a potem odwraca się, zbiera banknoty i trzymając je w spoczonej ręce, opada na krzesło. Oddycha ciężko, myśląc o nas, myśląc o Shauniem... Dopóki do niej nie dotrze, że razem z nami zniknęła gazeta, nie doda dwóch do dwóch i nie sięgnie po telefon.

## Rozdział 21

**N**a głównej ulicy pełno było potencjalnych policyjnych informatorów. Każdy przechodzień miał dwoje oczu i komórkę. Na wiejskim zadupiu zaczęłam myśleć, że wpadamy w paranoję, że przymus uciekania i ukrywania się tkwi tylko w naszych głowach. Moje zdjęcie na pierwszej stronie gazety mówiło co innego. To było naprawdę. Wszyscy chcieli nas dopaść. Kiedy szliśmy, mieliśmy wrażenie, że to już nie potrwa długo. Nawet na ulicach tej sennej dziury były setki ludzi, ludzi, którzy oglądali wiadomości, wchodzili do internetu, czytali gazety.

Jeszcze jedna rzecz mnie męczyła. Starłam się nie patrzeć ludziom w oczy, ale i tak nie mogłam ominąć wszystkich. One znowu się pojawiły: numery. Mówiły mi o obcych, podawały ich wyroki śmierci. Miałam ochotę zacisnąć powieki, wymazać cholerne daty. Nie chciałam przypominać, że wszyscy dookoła mnie umrą. Prawdziwy powód mojego strachu szedł obok, trzymając mnie za rękę. Pająk. Po raz pierwszy w życiu miałam kogoś, kogo chciałam zatrzymać. Data na gazecie - 11 grudnia - była jak cios w twarz. Zostały tylko cztery dni...

- Słuchaj - powiedział przynaglająco - lepiej szybko kupmy jakieś zapasy i znikajmy. Za bardzo rzucamy się w oczy.

Nie żartował. Może i parę osób z tych przechodzących i przejeżdżających było zatopionych we własnych myślach, nie przejmowało się nami, ale pozostali na nas patrzyli. Pewnie faktycznie wyglądaliśmy dziwnie: dwójka obszarpanych dzieciaków, jeden idiotycznie wysoki, drugi przy nim jak karzełek. Moje przeczucie z samochodu było słuszne: większość przez cały rok nie widziała ani jednego czarnego. Tak, na pewno nie dostrzeżliśmy innych czarnych twarzy. To było jak w jednym z tych programów telewizyjnych, tylko odwrotnie - wiecie, jakiś biały idzie do afrykańskiej wioski i wszystkie dzieciaki się na niego rzucają, dotykają jego białej skóry i jasnych włosów. Oczywiście, na nas nikt się nie rzucał. Ludzie spoglądali i odwracali wzrok. Gdy jedna kobieta idąca chodnikiem w naszym kierunku nas zobaczyła, zmusiła dzieciaka, by szedł po jej drugiej stronie, dalej od nas. A ja pomyślałam: „Pieprz się, cokolwiek mamy, to nie jest zaraźliwe, ty nadęta krowo”.

Znaleźliśmy kiosk. Pająk odwinął ze swojego zwitka parę dziesiątek i wystął mnie do środka. Zgarniałam towar najszybciej jak się dało: parę czekoladowych batoników i chrupki, ale tym razem też rozsądniejsze rzeczy - wodę, soki, batoniki musli.

Powietrze we wciśniętym między antykwariat a warzywniak sklepiku było dość zatechłe. Pomieszczenie od góry do dołu zawałono przekąskami i napojami, gazetami i czasopismami, w tym całą masą pornosów, jakby kawałek Londynu spadł do tej dziury. Kiedy wybierałam rzeczy, gość za ladą czytał gazetę. Widać było, że mnie obserwuje.

Położyłam wszystko przy kasie. Za sprzedawcą były papierosy, więc poprosiłam o parę paczek potem zauważyłam coś jeszcze: trzy albo cztery latarki na półce. Kupiłam dwie i zapasowe baterie. Gość zapakował moje zakupy do paru toreb, patrząc na mnie, gdy męczyłam się z forszą. „On wie - pomyślałam - on wie”. Wziął pieniądze.

- Dzięki - burknął szorstkim głosem, jakby po pięć-dziesięciu latach palenia zeszywniały mu struny głosowe. Kiedy się odwróciłam, zawołał jeszcze: - Hej...!

Poczułam, że to koniec. Tylko co taki dziadek może nam zrobić? Chyba nie będzie w stanie mnie zatrzymać... Szłam dalej.

- Hej, ty! - krzyknął głośniej. Odwróciłam się. - Zapomniałaś reszty.

Zawróciłam i w milczeniu wzięłam forszę. Na ulicy dałam Pająkowi jedną torbę, a on wolną dłonią złapał mnie za rękę.

- Chodź - powiedział. - Spadajmy stąd.

Skręciliśmy w alejkę między dwoma sklepami. Była okropnie pokręcona, wiła się między domami i działkami, prowadząc nas do ścieżki nad kanałem. Szliśmy tamtędy przez chwilę. Przed nami pojawił się mur, za nim zahuczał pociąg. Dotarliśmy do tunelu. Przejście było wąskie, ogrodzone wilgotną, zimną ścianą, a od strony kanału poręczą, która nie pozwalała wpaść do wody.

Pająk puścił moją rękę. - Idź pierwsza. Będę tuż za tobą. Trudno było zobaczyć, gdzie się stawia stopy, co chwila wykręcałam sobie kostkę na nierównym podłożu. Jednak dopiero w połowie drogi poniosły mnie nerwy. Na końcu tunelu, tam, dokąd szliśmy, pojawiła się - wielki, ciemny kształt przysłaniający światło. Obejrzałam się. Może za nami też ktoś idzie - tunel to idealne miejsce na pułapkę, zero szans na ucieczkę, nikt nie usłyszy krzyków. Ale nie, za mną, prócz Pajaka, nie było nikogo. Może to nie żadna pułapka, tylko zwykły ktoś nad kanałem...?

W ciemności nie byłam pewna, czy gość widzi, że się zbliżamy, może nawet w ogóle nas nie zauważył. Chociaż nie... inaczej nie posuwałby się w tę stronę środkiem ścieżki, jakby zamierzał po nas przejść. Widziałam jego sylwetkę na tle światła u wylotu tunelu, ale rysy były w cieniu. Kiedy się zbliżał, pomyślałam: „Jest czarny, dlatego nie widać jego twarzy”. Gdy dzieliło nas jakieś sześć metrów, z przerażeniem zobaczyłam, że jego twarz nie jest czarna, ale niebieska. Niebieska i pokryta tatuażami!

Określiłam się w miejscu.

- Uciekaj, Pająk! Uciekaj, uciekaj, uciekaj!

Dostyszał przerażenie w moim głosie, o nic nie pytał, po prostu odwrócił się i pobieглиśmy. Słyszałam Tatuowanego z tyłu, ciężkie kroki na żwirze, ciężki, chrapliwy oddech. Było tu tak wąsko, że torby co chwila waliły o mur i barierkę.

Pająk zwolnił na chwilę i dogoniłam go.

- Jem, wyrzuć torby. Zostaw je.

Upuściłam wszystko, co miałam, a on mnie przepuścił, potem rzucił swoje torby w głąb tunelu, prosto w Tatuowanego. Nawet w biegu usłyszałam, jak facet stęknął i jak depcze reklamówki.

Wybiegliśmy na otwartą przestrzeń, z powrotem po ścieżce, którą szliśmy kilka minut wcześniej. Trochę spowolniliśmy pościg manewrem z torbami, ale niewiele. Chociaż gość był wielki, umiał się ruszać. Nie chciałam się oglądać, ale nie mogłam się powstrzymać. Kiedy spojrzałam przez ramię, pędził w naszą stronę jak pieprzony futbolista.

- Tędy! - Pająk złapał mnie za ramię i pociągnął w lewo. Zbiegliśmy ze stromego zbocza, aż dotarliśmy do innej ścieżki, odchodzącej od tej głównej. Prowadziła do mostku nad torami: pokrytej graffiti konstrukcji z ponurego, czarnego metalu i nitów. - Chodź!

Pognaliśmy po schodach na górę. Kiedy przebiegaliśmy przez mostek, pod nami przejechał pociąg. Musiał to być ekspres, bo był maksymalnie rozpędzony, uszy wypełnił mi huk szczękającego żelaza. Odgłos zagłuszył kroki Tatuowanego, ale kiedy ruszyliśmy po schodach z drugiej strony, czułam, jak konstrukcja wibruje. Pościg był tuż za nami.

Mostek prowadził na ulicę z segmentami jednorodzinnymi po jednej stronie, a torami po drugiej. Domy to ludzie - przecież nas nie zabije przy świadkach, prawda? Zaczęłam wrzeszczeć, nie zwalniając biegu:

- Pomocy! Pomóżcie nam! Wezwijcie policję! Pomocy!

Zero reakcji. Albo domy były puste, albo ludzie, słysząc krzyk, tylko wciskali się głębiej w kanapy i nastawiali głośniejsze telewizory.

Pająk odwrócił się.

- Co ty robisz?! Zamknij się! Nie chcemy policji. Musimy mu tylko uciec. Chodź!

- Pająk, on nas zabije! Potrzebujemy pomocy! (Czy ta zasłona się poruszyła? Ktoś nas wreszcie nas obserwował...?).

- Nie chcę was zabić! - Głos Tatuowanego poniósł się echem po ulicy. - Chcę tylko pogadać, nic więcej!

Obejrzałam się przez ramię. Wielki gość zatrzymał się. Patrzył na nas, stojąc na środku ulicy, pochylony, z rękami na udach. Dyszał ciężko, ledwie oddychał, ale nie odrywał od nas oczu. Oczywiście, zobaczyłam jego numer. Widziałam go już wcześniej, na imprezie u Baza. 11122009. Cztery dni przed Pajakiem. Ta sama data co na gazecie, którą zwinęłam. To dzisiaj.

Teraz krążyła we mnie już nie tylko adrenalina - także energia popłynęła moimi żyłami jak pierwsza dawka najpotężniejszego narkotyku na świecie. Co to znaczy...?

Cokolwiek się teraz stanie, Pająk wyjdzie z tego żywy, a Tatuowany nie. O sobie nic nie wiedziałam. Może tylko Pająk ocaleje...?

Zatrzymaliśmy się. Odwróciliśmy się do Tatuowanego, a potem popatrzyliśmy na siebie, niepewni, co robić.

- Czego chcesz?! - zawołał do niego Pająk.

- Wiesz, czego chcę. Masz coś, co do ciebie nie należy. I mój przyjaciel chce to dostać z powrotem. Kasa. Możemy o tym pogadać, grzecznie i kulturalnie. Nie ma powodu urządzić przedstawienia.

Szedł powoli w naszą stronę, słyszałam, jak huczy mi w uszach, gdy tak się zbliżał.

Potem na prawo od niego ktoś otworzył drzwi. Gość w średnim wieku, trzymający za obrozę psa.

- Co tu się dzieje?! - krzyknął.

Tatuowany zatrzymał się i zwrócił do niego, unosząc obie ręce.

- Nic. Mała rodzinna kłótnia, to wszystko. Syn ma trochę kłopotów. Chcę mu tylko pomóc je rozwiązać. Wie pan, jak to jest, nie? Dzieciaki!

Facet popatrzył na niego, usiłując go rozgryźć.

- Mam zawołać policję?!

Tatuowany uśmiechnął się.

- Ależ skąd. To nic takiego. Dogadamy się.

Gdy tylko zaczęli tę wymianę zdań, Pająk pochylił się i szepnął:

- Do tyłu.

Powoli cofaliśmy się ulicą. Kiedy skończyli rozmawiać, znowu ruszyliśmy biegiem, szybko, naprawdę szybko, jak szaleni.

- Hej! - Tatuowany poleciał za nami, ale tym razem mieliśmy niezłe fory. Pognaliśmy w dół ulicy. Pająk ściągnął kurtkę.

- Co robisz?!

- Tędy! - Zarzucił ubranie na kolczasty płot po lewej, a potem splótł dłonie, żebym mogła postawić na nich stopę, i niemal mnie przerzucił. Wylądowałam niezręcznie, boleśnie wykręcając kolano. Tymczasem Pająk podciągnął się, przykucnął na szczycie ogrodzenia i zeskoczył. Ściągnął z płotu kurtkę i pomógł mi wstać. - Okay...?

Pokiwałam głową, nie chcąc przyznać, jak boli.

- No to chodź - powiedział i ruszył w dół nasypu.

Próbowałam biec za nim, ale to była tortura. Opadłam na kolana. Usiłowałam przemieszczać się na czworakach, przenosząc część ciężaru na ręce.

Pająk obejrzał się.

- Cholera, co ty robisz?! - Był na samym dole zbocza, koło torów.

- Coś sobie zrobiłam w kolano - wyjaśniłam krzywiąc się, kiedy próbowałam stanąć na chorej nodze.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Zawrócił i zaczął się ponownie wspinać. Wtedy usłyszałam za sobą odgłos spadającego na ziemię ciężaru. Tatuowany był za płotem. W panice ruszyłam w kierunku Pajaka. Rzucił się naprzód, ale w tej samej chwili dosłownie uniosłam się w powietrze, pochwycona w pasie potężnym, muskularnym ramieniem. Na gardle poczułam coś zimnego. Sukinsyn wyciągnął nóż.

Pająk zamarł w pół kroku, jak sprinter czekający na sygnał startera.

- Nie, człowieku, nie. Nie ma potrzeby. Schowaj ten nóż. No, możemy pogadać. Możemy o tym pogadać.

- Już nie musimy gadać. Ty mi daj kasę, a ja puszcę twoją panienkę.

Pająk wstał. Tatuowany ścisnął mnie mocniej. Ledwie mogłam oddychać. Szczerze mówiąc, to byłam tak zaskoczona, kiedy mnie złapał, że wisiałam jak szmaciana lalka. Teraz zaczęłam się szarpać, póki nie przycisnął mi ostrza mocniej do szyi.

- Nie podchodź bliżej.

- Nie, nie, wszystko cool.

Pająk cofnął się. Znowu stał na torach.

- Pająk, daj mu kasę - mój głos brzmiał obco.

Patrzył na mnie przez chwilę, jego twarz wyglądała tak, jakby pogrążyła się w agonii.

- Jem, nie mogę. To nasza przyszłość. Twoja i moja. To jest pokój w hotelu i wielkie łóżko. To parę piw w pubie i ryba z frytkami na molo. Jak byśmy mogli to wszystko dostać bez forsy?

Miałam wielką gulę w gardle. Ułożył sobie w głowie, czego dokładnie dla nas chce. Boże, to nawet nie było wiele, nie? Ale nigdy tego nie dostaniemy. Nawet tego. Zaczęłam płakać. To były gorące łyzy frustracji i tęsknoty, łyzy nienawiści do tykającego zegara.

- Przepraszam - odezwał się. - Naprawdę przepraszam. Nie chciałem, żeby to wszystko się stało. Żebyś się przestraszyła. Masz rację, Jem. To tylko kasa. Zdobędziemy inną. Puść ją - powiedział do Tatuowanego - to ci dam pieniądze.

- Taa, jasne, mięczaku. Myślisz, że głupi jestem? Daj mi kasę, to ją puszcę.

- Zrobimy to razem, dobra?

- Nie, ty mi dasz pieniądze - oznajmił spokojnie Tatuowany. - A potem ją puszcę.

Znałam Pajaka, więc wiedziałam, co teraz będzie. Widziałam to, zanim się naprawdę wydarzyło, w zwolnionym tempie, ale Tatuowany nie. Wrzasnął z wściekłości, kiedy Pająk wyciągnął pieniądze z koperty, zdjął gumkę i rzucił funciaki w górę, prosto do nieba.

Uścisk Tatuowanego zelżał. Upuścił nóż, puścił mnie i rzucił się w dół skarpy do torów.

Pobiegłam w stronę Pajaka, spotkaliśmy się w pół drogi. Przyciągnął mnie do siebie, przytulił mocno, wsuwając dłoń w krótkie włosy.

- W porządku. Mam cię. Mam cię, Jem. - Jego głos był ochrypły, jemu też niewiele brakowało do łez. - Spadajmy stąd. Zostawmy go z tym.

W powietrzu unosiło się pełno funciaków. Wciąż opadały dookoła, gdy my włączyliśmy z powrotem na skarpe. Obejrzałam się na Tatuowanego, pochylony zbierali knot po banknocie. Widać było, że jest wściekły, naprawdę wpieniony, mruzczał coś pod nosem i dyszał z głową całą czas spuszczoną.



Pająk obejmował mnie obiema rękami. Kiedy dotarliśmy na górę, pomógł mi znowu przeleźć przez płot. Czekałam na niego, ale on tylko tam stał, z jedną ręką na na barierce.

- Chodź, zwijajmy się stąd - powiedziałam.

Obejrzał się przez ramię. Jęknęłam.

- Nie, proszę, zostaw to. To tylko kasa.

- Tylko stówę, Jem. Pomyśl, co byśmy mogli dostać za stówę.

Sięgnęłam przez barierkę i złapałam go za rękaw.

- Pająk, nie.

Odplątał moje palce i pocałował je.

- Zaraz wracam - powiedział i ruszył z powrotem w dół.

- Pająk, nie! Nie! - wrzasnęłam.

Był już na torach. Tatuowany popatrzył na niego.

- Wróciłeś, żeby jeszcze oberwać, co?

- Chcę tylko trochę. Moją działkę. I tak mi się należy.

- Nic nie dostaniesz, gówniarzu. Wracaj do swojej dziewczyny, i to już, bo przywalę.

Pająk nie ustąpił.

- Nie boję się ciebie.

- Śmieszne, to samo mówiła twoja babcia, kiedy ją odwiedziłem.

- Co takiego?

- Chciałem wiedzieć, gdzie jesteś. Trochę informacji. Twoja babcia nie za bardzo chciała współpracować. Wyszczekana jak ty. Ale kiedy wychodziłem, niewiele już mówiła...

- Skurwysynu! Co jej zrobiłeś? - Pająk rzucił się na Tatuowanego, głową celując w brzuch. Zwalił gościa z nóg, i sturlał się z nim po skarpie na tory. Bili się tam, waląc gdzie popadnie, naprawdę się tłukąc, z tymi obrzydliwymi odgłosami, kiedy ciało uderza w ciało. Wśród ich zwierzęcych stęknień i jęków dał się słyszeć jeszcze inny dźwięk - huk odległego pociągu, i jeszcze syreny, dużo syren, coraz bliżej i bliżej.

- Pająk! - wrzasnęłam. - Spadaj stamtąd! Zostaw go! - Nie wiem, czy mnie usłyszał.

Nagle za dużo rzeczy zaczęło się dziać naraz. Dwie suki i jedna policyjna karetka wypadły z za zakrętu. Gdy się zatrzymały z piskiem, wysypał się z nich tłum gliniarzy. Rzucili się przez płot. Pięćdziesiąt metrów dalej na torach pojawił się pociąg i ślepo gnał przed siebie.

- Pająk, uciekaj!

Mój głos był niemożliwie cichy w porównaniu z chaosem dookoła. Nie słyszałam albo nie słuchałam. Nie mogłam patrzeć. Odwróciłam się i opadłam na ziemię, obejmując kolana, mocno zaciskając powieki.

Wszędzie dookoła wrzeszczeli ludzie. Rozległ się przeraźliwy wizg, kiedy maszynista dał wreszcie po hamulcach. Zgrzyt metalu zdawał się trwać w nieskończoność. Czekałam, aż ucichnie. Potem będę musiała spojrzeć - jeśli

chcę wiedzieć... Próbowałam zmusić się do oddychania - trzy wdechy i wydechy - zanim się odwrócę.

Przez pręty ogrodzenia widziałam pociąg. Zatrzymał się, ostatni wagon był na mojej wysokości. Policji trzymali Tatuowanego za ramiona. Ciągłe walczył, aż trzech mężczyzn usiłowało go powstrzymać. Nie było śladu Pajaka - automatycznie omiotłam spojrzeniem cały pociąg. Policjanci najwyraźniej pomyśleli o tym samym co ja - niektórzy szli wzdłuż ostatnich wagonów, zaglądając pod nie.

Zaschło mi w ustach.

- Proszę, nie - szepnęłam sama do siebie.

Dalej na skarpie zobaczyłam ruch, coś się przemykało od krzaka do krzaka. Pomyślałam, że to zwierzę, ale spojrzałam znowu. To był człowiek na czworakach, to był Pajak.

Przemykał w górę skarpy i w prawo. Kiedy skończyły się krzaki, położył się na brzuchu i czołgał. Wstałam i ruszyłam wzdłuż drogi w tę samą stronę. Kulałam, ale nie czułam bólu. Patrzyłam na Pajaka, chwilę potem on spojrzał w moją stronę. Pokazałam mu podniesione kciuki, na znak, że jest okay. Odpowiedział tym samym. Teraz był już na szczycie, wstał i przeskoczył przez płot.

Ktoś krzyknął w jego stronę:

- Hej! To ten drugi! Stać!

Pajak ruszył biegiem, ja też - w każdym razie na tyle, na ile było mnie stać. Przez chwilę posuwaliśmy się równolegle do siebie, potem on zniknął za drewnianym płotem. Spotkaliśmy się na kładce, paręset metrów dalej. Złapał mnie za rękę i pognaliśmy na oślep, mimo mojego cholernego kolana, gdzie nas nogi poniosły.

## Rozdział 22

**N**ie mieliśmy już co nieść, nie było nic, co by nas spowalniało, w dodatku znowu czuliśmy w sobie rzekę adrenaliny. Pokonaliśmy kilka zakrętów i znaleźliśmy się w parku. Był niezły: mało ludzi, tylko parę starszych pań z pieskami. Szliśmy bocznymi ścieżkami, rozglądając się za jakimś schronieniem. Durny Pająk ciągle posyłał mnie w krzaki na poszukiwanie kryjówki.

- Idź, zajrzyj tam.

- Sam idź!

- Nie bądź taka. Jesteś mniejsza. Idź i zbadaj sprawę.

Żeby wcisnąć się między gałęzie, musiałam stoczyć z nimi prawdziwy pojedynek.

- Sto lat temu tacy jak ty wysyłali takich jak ja na śmierć. Tylko dlatego, że jestem mała! - zawołałam

- Mylisz mnie, skarbie, z takimi jak ta baba, która nas podwozła. Ona zagoniłaby nas oboje, ale nie na śmierć, lecz do sprzątanía domu, czyszczenia butów albo podcierania tyłków. Zwłaszcza mnie. Byłbym świetnym czarnym niewolnikiem.

Racja.

Pierwsza kryjówka była do niczego, na szczęście parę minut później znaleźliśmy inną. Wystarczyło się schylić i przeleźć pod krzakami o grubych, jakby gumowych liściach. Z tyłu był stary mur i wystarczająco dużo miejsca, żebyśmy oboje mogli usiąść. Ziemia była sucha. Nikt nas nie widział. Na jakiś czas spoko.

Usiedliśmy obok siebie, opierając się plecami o mur. Gdy tylko mój tyłek dotknął ziemi, odpłynęła ze mnie cała energia. Byłam bardzo zmęczona. Zamknęłam oczy.

- Zajarasz?

- Nie, dzięki.

Nie chciałam myśleć ani czuć, ani niczego już widzieć. Nie chciałam uciekać ani się chować.

- Wszystko w porządku? - Głos Pajaka docierał do mnie przez gęstą mgłę. Prawie zasnęłam, tylko na chwilę. Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy.

- Jestem zmęczona.

Objął mnie ramieniem, przyciągnął do siebie.

- Słyszałaś, co ten sukinsyn powiedział?

- O twojej babci?

- Tak. Powinienem był go zatłuc, Jem, póki miałem okazję. Tak mnie wkurzył, że poleciałem za nim jak wariat. Nawet o nożu zapomniałem. A przecież mogłem bandziora na miejscu wykończyć.

- A co by to dało, zabić go? Tyle, że miałbyś jeszcze więcej kłopotów.

- Mam to gdzieś. Nie zasługiwał na nic innego. Nie miał prawa...

- Wiem. Ale cieszę się, że odpuściłeś... zresztą on... - miałam powiedzieć: „i tak dzisiaj umrze”, ale powstrzymałam się w ostatniej chwili. Przecież gdyby tatuowany miał umrzeć, już by się to stało. Pająk by go zadźgał albo rozbił mu łeb na torach, albo pociąg by go rozjechał. Byłam przekonana, że widziałam jego numer, pewna, że to dzisiaj.

Nie mogłam tego zrozumieć. Może jednak numery w mojej głowie nie istniały naprawdę...? Jeśli je sobie wymyśliłam, to spoko – mogłam je ignorować, próbować je zmienić, cokolwiek. A to by znaczyło, że mogłam też zatrzymać zegar, który odmierzał czas Pajaka. Z drugiej strony, jeżeli jednak były prawdziwe, to babci Pajaka nic się nie stało – miała jeszcze całe lata przed sobą. Wszystko zaczynało mi się mieszać. Tak czy owak, był tylko jeden sposób na pocieszenie Pajaka.

- Twojej babci chyba nic nie będzie...

- Myślisz? Nawet nie wiem, czy żyje.

Odwróciłam się od niego.

- Pająk, ja wiem, że nic jej się nie stało.

- Znasz jej numer?

- Tak.

- A co, jeśli nie tylko ty widzisz numery? Jeśli ktoś inny widzi całkiem inne? Co, jeśli jej numer się zmienił?

- One się nie zmieniają. - Zawahałam się, znowu sprawdzając jego numer. Nadal tam był, wciąż ten sam. - Nie zmieniają się.

- Czyli data naszej śmierci jest określona od urodzenia. To chcesz powiedzieć?

Teraz zaczynał mnie wkurzać. Ja go chciałam pocieszyć, a on zadawał mi te wszystkie pytania. Pytania, na które nie miałam odpowiedzi.

- Niczego nie chce powiedzieć. - (Jak ukryć irytację w głosie?). - Sam to wszystko mówisz.

- Ale chcę, żebyś ty to powiedziała, bo dla mnie to jest kompletnie bez sensu.

- Co?

- Że wszystko jest ustalone. Jakby nie miało znaczenia, co zrobię, bo koniec i tak nastąpi.

- Może właśnie tak jest. Życie to tylko seria zdarzeń.

Chciałam żeby przestał, ale on nie odpuszczał, był jak pies, który dorwał kość.

- Czyli wszystko jest pewne? Zapisane?

- Nie wiem.

- Ta bomba miała wybuchnąć. Ten sukinsyn miał stłuc moją babcię. To nie jest w porządku, Jem, nie? To nie może być w porządku.

Teraz podnosił głos. Przestał mnie obejmować, zamiast tego zaczął wymachiwać rękami. W ciasnej przestrzeni za krzakami wydawał się większy niż kiedykolwiek.

- Jasne, że nie.

- Gówno prawda!

Kropla śliny padła mi na twarz. Już się rozkręcił.

- To właśnie mówię.

- Co?

- Życie jest bez sensu. Nie ma znaczenia, co zrobimy. Rodzisz się, żyjesz, umierasz i tyle. - Cała moja filozofia. Na chwilę go zamknęło. Siedzieliśmy obok siebie, plecami do muru, splatając ręce na kolanach. Ale gdy ja siedziałam nieruchomo, Pająk wciąż się ruszał: kręcił głową, drżał, jego ramię tręcało moje. A ponieważ wiedziałam, jak spokojny może być, kiedy jest po prostu szczęśliwy, niepokoiłam się, widząc go w stanie takiego podniecenia. Chyba odbijało mu ze zmartwienia. Miałam wrażenie, że to moja wina. Chciałam do niego jakoś dotrzeć, zabrać mu te cholerne nerwy.

- Pająk, słuchaj, może ja się mylę. - Bałam się tego, co miałam powiedzieć. Słowa wyslizgiwały się ze mnie ostrożnie jak wystraszone myszy. Ciągłe dygotał, zamknięty w swoim mrocznym, szalonym świecie. Uklękałam twarzą do niego, położyłam mu ręce na ramionach.

- Pająk. - Nie słyszał mnie. Dotknęłam jego twarzy, po czym objęłam go mocno, spowalniając nerwowe ruchy ciała, lecz ich nie powstrzymując. - To, co powiedziałam, to też nie jest w porządku.

Nareszcie mnie słuchał. Jego twarz znieruchomiła i spojrzał na mnie udręczonymi, smutnymi oczami.

- Dlaczego nie?

- Nie wszystko jest przypadkowe, nie może być. - Wzięłam głęboki oddech. - Bo to przeznaczenie, że cię spotkałam, a ty mnie.

Jego oczy wypełniły się łzami. Bez słowa przestał obejmować swoje kolana, za to objął mnie w pasie, wciskając twarz w moje ramię. Klęcząc przytulałam go do siebie i głaskałam po plecach i po włosach, i płakaliśmy razem. Nie ma słów, które mogłyby oddać to, co czuliśmy. Łzy mówiły za nas: przerażenie, ulga, miłość i żal, wszystko przemieszane. Później, dużo później rozplątaliśmy się z uścisku i znów usiedliśmy. Robiło się ciemno, teraz w naszej liściastej jaskini widziałam już tylko niejasny kształt Pajaka.

- Jem, musimy stąd spadać – oznajmił cicho. - Chyba i tak nie mogliśmy zwrócić na siebie więcej uwagi, niż już to zrobiliśmy, co? Nawet gdybyśmy chcieli...

- Tak, wiem.

Zero energii. Bolące ręką i kolano. Nie chciałam, żeby mnie dopadli, choć to wydawało się najprostsze-zwinąć się w kłębek i w ramionach Pajaka zaczekać na nieuniknione.

- Najlepszy sposób, żeby się stąd wydostać, to zdobyć wóz.

- A potem co?

- Pojechać do Weston. Musimy być już cholernie blisko. Spodoba ci się tam.

Nawet w ciemności widziałam, że się uśmiecha. Chciałam poczuć to razem z nim, naprawdę, ale nie mogłam. W środku miałam tylko zimno, żal i strach.

- Pająk a co zrobimy w tym całym Weston? Wiesz, tam też mają telewizję i gazety, i policję z psami...

Położył mi długi palec na ustach.

- Mówiłem ci. Będziemy jeść lody i rybę z frytkami, i chodzić po molo. - Mówił tak, jakby w to wierzył. A może i wierzył.

Delikatnie ujęłam rękę, która mnie uciszała, i położyłam na swojej otwartej dłoni, drugą delikatnie wodząc po długich, kościstych palcach.

- Co ty robisz?

- Nic. Masz piękne ręce.

- Mięczak z ciebie. - Pochylił się i pocałował mnie czule. - Okay – powiedział, jakby nagle podjął decyzję. - Wiem, że jesteś zmęczona, więc zostań tutaj i bądź gotowa, kiedy po ciebie wrócę. Znajdę dla nas jakiś wóz, nie martw się. To nie potrwa długo.

Zaczął wylazić spod gałęzi.

- Pająk?

- Co?

- Uważaj.

- Jasne. Bądź gotowa, okay? To powinno potrwać tylko parę minut.

W miejscu, w którym zniknął, jeszcze przez chwilę kołysały się gałęzie. Patrzyłam, jak ich ruch powoli ustaje.

Siedziałam w gęstniejącej ciemności i czekałam.

## Rozdział 23

**S**iedziałam tam, nasłuchując w napięciu, gotowa w każdej sekundzie zerwać się i biec. Czekałam na jego kroki, na szelest liści, na szeptane wezwanie. Dochodzące mnie dźwięki były pełne znaczenia – przejeżdżające samochody, czasem gdzieś daleko jakiś okrzyk, parę syren. Co się, u diabła, dzieje...? Gdzie on jest...?

Dwie minuty zmieniały się w dziesięć. Dziesięć w dwadzieścia. Czas mijał, a ja zaczynałam drętwieć, siedząc z podkulonymi nogami i obejmując kolana. Zmusiłam się, by oddychać powoli, niemal jak w transie. Usiłowałam zawiesić wszystko, póki Pająk po mnie nie przyjdzie.

Ile czasu minęło, zanim zrozumiałam, że nie wróci...? Nie wiem, ale stopniowo to do mnie docierało, jak lodowaty deszcz, który spływa z liści i powoli wsiąka w ziemię. Pająkowi coś się stało. Nie wiedziałam tego na pewno, więc nie doznałam szoku, jeszcze nie. Powoli czułam, jak myśl o tym mnie dopadła, rośnie we mnie ciemniejsza niż noc, jak zimno sięga aż do kości. Nie ruszałam się, nie wydałam dźwięku, tylko siedziałam skulona, kołysząc się wolno w przód i tył.

Musiłam zasnąć. W pewnej chwili obudziłam się zwinięta w kłębek na ziemi. W głowie miałam jedną myśl: „Nie ma go”. Byłam mokra i zmarznięta, brudna. Uniosłam ręce i zakryłam nimi nos i usta. Mój własny oddech ogrzewał mi twarz, kiedy powtarzałam w koło:

- O Boże, o Boże.
- Nie miałam pojęcia, co robić, i byłam zbyt przerażona, by płakać.
- Szeptane słowa szumiały mi w uszach, nagle uświadomiłam sobie, że słyszę jeszcze inne dźwięki – ludzi, świst i uderzenia. Ktoś sprawdzał krzaki.
- Mamy jednego. Ta druga musi być gdzieś blisko.
- Nie co dzień udaje się złapać terrorystę, nie?
- Myślisz, że to terrorysta? Taki dzieciak?
- Może. W dzisiejszych czasach różnie może być, dopadają ich wcześniej.
- Nie wyglądał mi na zbyt rozgarniętego, kiedy go zgarniali.
- Nie muszą być rozgarnięci, nie? Nawet lepiej, jeśli nie są. Można im nawciskać różnych rzeczy, te czarne dzieciaki uwierzą w cokolwiek. Nigdy nie wiadomo, o co im chodzi...

Stało się. Pająka dopadli. Czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Z trudem przełknęłam ślinę. Głosy były coraz bliżej. Światła latarek też.

- Sprawdźmy ten park, a potem chaszczę przy szkole na Manor Road.
- Jasne.

Wyprostowałam się i usiłowałam rozpląszczyć na murze. Szelest liści i trzask łamanych gałęzi dobiegały już tylko z kilku metrów. Wstrzymałam oddech – to było głupie, ale człowiek nie myśli rozsądnie, kiedy go zapędzą w kozi róg.

Nagle opryskała mnie woda z liści i coś przebiło się przez krzaki jakieś trzydziści, czterdziści centymetrów od mojej twarzy. Kij – walili w krzaki kijami.

- Pod spodem też sprawdź, przeciągnij kijem po ziemi.

- Okay.

Kij wrócił, zataczając krąg tuż nad resztkami trawy. Najpierw był dość daleko, potem przesunął się w moją stronę. Wciągnęłam brzuch najmocniej jak mogłam. Kij zafurkotał ledwie centymetr ode mnie, na szczęście znów się odsunął. Miałam wrażenie, że wybuchnę. Zaciskając usta, wypuściłam powietrze przez nos. Usiłowałam to kontrolować, ale nie mogłam powstrzymać niewielkiej eksplozji smarków. Dla mnie zabrzmiało to jak bomba atomowa, tak naprawdę to było nic w porównaniu z odgłosem liści trafianych kijem czy gadką tych kretynów.

Nie usłyszeli mnie. Wyczułam, że odchodzą.

Nie mogę powiedzieć, że się odprężyłam, ale oddychało mi się lżej. Myśli jednak wciąż kołatały się nerwowo – byłam sama, naprawdę sama. Pająk i ja, nasza przygoda, to potrwało tylko kilka dni, ale miałam wrażenie, że zawsze byliśmy razem. W te paręnaście chwil wcisnęliśmy więcej, niż większość ludzi przeżywa przez całe życie. A co ważniejsze, nauczyłam się na nim polegać. Muszę też przyznać, że to on był mózgiem, że on podejmował większość decyzji, od chwili gdy daliśmy nogę. Teraz będę musiała kombinować sama.

Osunęłam się wolno, wciąż usiłując nie robić hałasu. Tamtych dwóch z kijami mogło sobie pójść, ale nie miałam pewności, że nie przyjdą kolejni. Wiedziałam, że to miejsce jest bezpieczne, w każdym razie – w miarę bezpiecznie. Mogłam poczekać tyle, ile będzie trzeba. Tylko na co...? Przecież Pająk nie wróci.

Zastanawiałam się, co on by chciał, żebym zrobiła. Ale kiedy go sobie wyobrażałam, walczył, ramiona i nogi w ciągłym ruchu, widziałam, jak go unieruchamiają, przyciskają do ziemi, jak jest cały posiniaczony, skulony w kącie celi. Nie chciałam tak o nim myśleć – chciałam zatrzymać jego obraz, jak maszeruje przez niekończące się pola albo jak jest blisko, owinięty wokół mnie. Pajaka zranionego, schwytanego i zamkniętego nie chciałam sobie wyobrażać. Gdybym tu została, chyba oszalałabym. Muszę iść i nie zatrzymywać się.

Sposobem na dochowanie wiary Pająkowi było kontynuowanie naszej podróży. Mówił o Weston jak o jakiejś ziemi obiecanej. Wierzył w to miejsce, wierzył, że tam czekają nas szczęśliwe czasy. A jeśli on w to wierzył, ja też będę. Pójdę dalej, trzymając się nadziei, że go tam spotkam. Myślę, że będzie wiedział, że to właśnie zrobię, i przyjdzie do mnie. Nie miałam pojęcia jak, ale wiedziałam kiedy – przed piętnastym, przed końcem będziemy jeszcze razem.

Doczekałam chwili, gdy nie słyszałam już nic oprócz ulicznego ruchu – żadnych kroków, żadnych głosów, helikopterów, szczekających psów. Po chwilach słabości i rozpaczycy wracało podniecenie. Czekałam na moment, gdy



wyjde z krzaków, usiłowałam sobie wyobrazić, jak wypęlam do mrocznego parku. Jedna część mnie naprawdę chciała już wyruszyć, druga była przerażona.

Poczołgałam się na czworakach, ostrożnie wyglądając zza liści, usiłując nie myśleć o tych wszystkich psach, które je musiały obsikiwać przez lata. Było za ciemno, żeby zobaczyć coś wyraźnie – huśtawki i zjeżdżalnia na placu zabaw stały się tylko upiornymi kształtami po drugiej stronie trawnika. Teren był czysty, ale wciąż się wahałam. Było mi smutno, że opuszczam naszą kryjówkę, ostatnie miejsce, w którym byliśmy razem. Czy tylko mi się zdawało, czy naprawdę wciąż czułam ten jego stęchły zapach na liściach...??

- Do widzenia, Pająk – szepnęłam. - Do zobaczenia w Weston.

## Rozdział 24

**P**obiegłam ścieżką najszybciej jak mogłam, z powrotem w stronę centrum miasteczka. Wpatrywałam się w ciemność, węsząc niebezpieczeństwo. Mimo to w ogóle nie zauważyłam postaci idących po mokrej trawie, aż było za późno.

- Hej! Dużo ludzi cię szuka, z moim tatą włącznie - rozległ się głos po lewej. Był młody, żeński, z takim akcentem, jaki słyszy się tylko u wieśniaka z jakiejś komedii. Stanęłam jak wryta i obróciłam się w kierunku, z którego dochodził.

-No i...?

Trochę zادیorności, nie okazać strachu. Teraz ich widziałam, trójka dzieciaków wynurzająca się z mroku. Chyba w moim wieku, w dzinsach i bluzach z kapturem.

- No i myślę, że pewnie dostanie niezłe nadgodziny. Może w tym tygodniu wyciągnę od niego parę funtów ekstra.

Pozostałe dwie osóbkі zaśmiały się. To były dziewczyny z kolczykami w nosach i w wargach. Zbliżyły się lustrując, mnie od góry do dołu.

Może kiedyś rzuciłabym się do ucieczki albo przynajmniej zgarbiła i spuściła wzrok, ale teraz byłam silniejsza. Nie cofnęłam się, odwzajemniłam spojrzenia. Oczywiście pokazały się ich numery. Wszystkie miały przed sobą jeszcze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat - kolczyki były objawami buntu młodzieży klas średnich, niczego więcej, na te dziewczyny czekało wygodne życie, może nawet z mężem i dwojgiem i czterema dziesiątymi statystycznego dziecka.

- Nie wyglądasz na terrorystkę - znowu odezwała się ta pierwsza. - Zrobiłaś to?

- Jasne, że nie.

- To dlaczego uciekasz?

- Nie lubię glin. Bez obrazy - dodałam, myśląc o jej tacie.

- Jasne, bez. - Prawie się uśmiechnęła. - Ale uciekliście przed bombą.

- Tak, to się zdarza, same wiecie.

- W zasadzie to nie. Co niby się zdarza?

Nie miałam sił, żeby kłamać.

- To tylko... Ja... Czułam, że stanie się coś złego.

- I stało się.

- Tak.

- Często czujesz takie rzeczy, no, że coś się stanie?

- Tak jakby.

- To znaczy, że wiesz, czy cię sypniemy, czy nie?

Zawahałam się przez chwilę. Nie zamierzałam błagać.

- Myślę, że nie - powiedziałam spokojnie.

- A niby dlaczego?

- Nie wyglądasz na kabla.

To był komplement, miał jej pochlebić. Zadziałało.

- Bo nim nie jestem. - Pauza. - Ale tam nie przetrwasz pięciu minut. Nie w centrum. Za dużo ludzi. A w ogóle to dokąd idziesz?

- Miałam zamiar kierować się na zachód, w stronę Bristolu. - Nie chciałam wspominać o Weston. To była nasza tajemnica, moja i Pajaka.

- Autobusem?

- Na piechotę.

- Na piechotę! Daj spokój! Jesteś głodna?

Ostatnio jadałam tak dziwnie, że nawet nie wiedziałam - jestem czy nie. Kiedy się zastanowiłam, to uświadomiłam sobie, że moim ostatnim posiłkiem było śniadanie, czyli wieki temu.

- Tak, trochę.

- Zaczekaj, mam pomysł. Pójdziemy tylnymi uliczkami do mnie.

Pozostałe dwie spojrzały na przyjaciółkę, tak jakby chciały się upewnić, czy jej aby nie odbiło.

- Chwila moment, Britney, to chyba nie jest taki znowu dobry pomysł, co? - powiedziała jedna z nich.

- Zamknij się. To świetny pomysł, do mojego domu nigdy nie zajrzą.

- ... Ale jeśli zajrzą, będziesz miała straszne kłopoty...

- Nie zajrzą, luzik. - Dziewczyna ucięła wszelkie dyskusje, obracając się i idąc z powrotem przez trawnik. - No chodź! - syknęła.

Ruszyłam za nią, a te dwie za mną. Nie wiedziałam, czy mogę jej ufać, czy nie, ale nie miałam wyboru.

Szłyśmy szybko, w milczeniu. Córka policjanta prowadziła nas alejkami na tyłach domów, między płotami ogrodów i wzdłuż boisk. W końcu się zatrzymała

- Sprawdzę tylko, czy wszystko jest okay. Zaczekaj tutaj. - I zniknęła za rogiem.

Z pozostałymi dwiema dziewczynami nie miałam zbyt o czym rozmawiać. One podchodziły do mnie jak do trędowatej, a ja byłam zbyt zmęczona, żeby się nimi przejmować.

- Jest w porzo - zakomunikowała Britney. - Ojca jeszcze nie ma, a matka przykleiła się do telewizora.

Pozostałe dwie spojrzały po sobie.

- Britney, odbiło ci. Idziemy do domu.

- Zostawiacie mnie? - Pokiwały głowami. - Dobra, jaki sobie chcecie. Tylko słuchajcie, nie mówcie nic nikomu. Poważnie, nikomu.

- Masz to jak w banku.

- No to do jutra.

- Tak, nara.

Poszły dalej ulicą.

- Można im ufać? - spytałam.

- Spoko. Zresztą wiedzą, że je zatłukę, jeśli coś pisną. Nie odważą się. Chodź.

Obeszliśmy dom i weszliśmy tylnymi drzwiami, potem prosto przez kuchnię i na samą górę. Na drzwiach sypialni wisiała mała tabliczka z różami na brzegach i słowami: Pokój Britney pośrodku. Pod spodem były nowsze dodatki - czaszka i piszczel, wielki znak z napisem: Wstęp wzbroniony. Ściany pokoju pomalowane były na ciemny fiolet, wszędzie wisiały plakaty i zdjęcia powycinane z gazet - Kurt Cobain, Foo Fighters, Gallows.

Na łóżku kłębiła się masa poduszek i coś w rodzaju koca, czarne i włochate. To wszystko było całkiem fajne. Pomyślałam o moim ostatnim pokoju u Karen, o moich nielicznych rzeczach rozwalonych w strzępy.

- Możesz siedzieć na łóżku albo na worku, jak wolisz.

Przycupnęłam niepewnie na brzegu łóżka. Britney usiadła obok mnie.

- No więc - powiedziała Britney. - Ja jestem Britney, a ty jesteś... Jemma?

- Jem - poprawiłam.

- Taa.

Teraz, kiedy sprowadziła mnie do swojego pokoju, nie wyglądała już tak twardo. Właściwie to była raczej zdenerwowana, zaczęłam myśleć, że ta fasada, którą pokazywała w parku, nie była niczym więcej niż fasadą właśnie. W środku była tak samo niespokojna jak tamte. Po jakichś dziesięciu latach świetnych siedzenia w milczeniu puściła muzykę, a potem postanowiła zrobić coś do jedzenia i zostawiła mnie samą.

Siedziałam tam i rozglądałam się. To był fajny pokój. Oprócz tych wszystkich plakatów była tu też toaletka, a na niej przybory do makijażu i biżuteria, i zdjęcia w ramach: rodzina i zwierzaki. Była na nich ona i młodszy chłopiec - na jednym miał gęste, kręcone włosy, na drugim był łysy, ale cały czas z tym samym uśmiechem od ucha do ucha. To by oznaczało, że był tu gdzieś jeszcze brat, tak?

Po paru dniach na powietrzu ogrzewanie było nie do zniesienia. Zaczynałam się pocić, byłam też całkiem pewna, że muszę szczególnie pachnieć. Zdjęłam zieloną kurtkę, ale nadal było mi nieprzyjemnie. Ściągnęłam bluzę i rzuciłam na podłogę, na kurtkę. Kiedy tak leżały skotłowane, wyglądały ohydnie. Były brudne. Odkryłam też, że moje dzinsy i buty wcale nie prezentują lepiej. Pokój Britney nie był szczególnie posprzątanym, ale ja czułam się nie na miejscu, jak kupa na dywanie.

Britney wróciła z wielką pizzą na talerzu, butelką i szklankami. Zapach jedzenia sprawił, że w jednej chwili poczułam się głodna i zrobiło mi się niedobrze. Podała mi talerz.

- Tylko ser i pomidory, może być?

- Tak, dzięki.

Wzięłam kawałek, niepewna, czy rzeczywiście będę go w stanie zjeść. Ona zabrała się za swoją porcję, patrząc na mnie i jednocześnie usiłując nie patrzeć. Ugryzłam kawałek z brzegu, przeżułam powoli i przełknęłam. Było w porządku,

pizza dotarła do mojego żołądka i została tam, mogłam więc jeść dalej. Siedziałyśmy tak, odgryzając kolejne kęsy i popijając colę. To byto przedziwne. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam, że nastolatki muszą się zachowywać - siedzieć w czyimś pokoju, jeść pizzę i pić colę. Ale nie śmiałyśmy się, nie rozmawiałyśmy o chłopakach i makijażu. W dodatku obie byłyśmy świadome tej ciszy, i obie usiłowałyśmy wymyślić coś, co można by ewentualnie powiedzieć.

W głębi ducha ciągle czułam obawy, że to pułapka. Więc zapytałam prosto z mostu.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego jesteś dla mnie miła?

Odłożyła swoją pizzę na talerz.

- Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś sławnego. No, nie licząc tej z Eastenders, która parę lat temu zapalała na rynku świąteczne lampki, ale to była niezła jędza.

- Sławnego? - powtórzyłam. - A konkretnie?

- No, może niekoniecznie sławnego. Nie tak naprawdę. Ale całe miasto o tobie mówi. Cały kraj. W Internecie jest pełno różnych dziwnych plotek o tobie, zdjęć, informacji, że ktoś cię widział. Całkiem sporo ludzi twierdzi, że spotkało was po tej stronie Salisbury Plain. Myślałam, że może się tu pokażecie. Jesteście poszukiwani.

- Jestem zwykłą małodatą. Niczego nie zrobiłam.

- Tak, ale oni o tym nie wiedzą. Nawet jeśli niczego nie zrobiłaś, mogłaś coś widzieć, nie? Mogłaś być świadkiem. - Ugryzła jeszcze kawałek pizzy. - Widziałaś coś?

Pomyślałam o tamtym popołudniu. Miałam wrażenie, że od eksplozji minął rok. Zanim ukradliśmy samochody, przeszliśmy kilometry, zanim spaliśmy w lesie, zanim znaleźliśmy tę stodołę...

- Nic ci nie jest? Masz trochę dziwny kolor. Chyba gorąco, jedzenie i zmęczenie w końcu mnie rozłożyły, pókj zaczął się kręcić.

- Trochę mi się kręci w głowie.

Britney zeskoczyła z łóżka i wzięła mój talerz.

- Lepiej się połóż. Będzie ci wygodnie.

Położyłam się, ale było tylko gorzej. Zanim zdążyłam wstać i pobiec do toalety, zwymiotowałam pizzę i colę na jej włochatą, czarną kapę. Była przerażona, zresztą, szczerze mówiąc, ja też. Potraktowała mnie lepiej, niż miałam prawo oczekiwać, a ja jej za to zrujnowałam pokój. Usiadłam prosto.

- Przepraszam, przepraszam - wymamrotałam. Boże, nic dziwnego, że nigdzie mnie nie zapraszają.

- Nie szkodzi, zaraz coś przyniosę. - Britney wybiegła z pokoju, podczas gdy ja wstałam i otworzyłam okno, żeby wywietrzyć smród. Oparłam się o ramę, wdychając chłodne, nocne powietrze. Kiedy Britney pojawiła się z wiaderkiem i gąbką, wzięłam ją od niej, zamoczyłam w wodzie i próbowałam wyczyścić to sztuczne futro. Beznadziejna robota.

- Słuchaj, może ty weź prysznic, a ja to zrobię? Nie przejmuj się hałasem, mama pomyśli, że to ja. - Pokazała mi, gdzie jest łazienka, i włączyła prysznic.

- Zaczekaj chwilę, znajdę ci jakieś czyste ciuchy. Zniknęła i wróciła po chwili ze stosikiem czystych, poskładanych ubrań oraz wielkim, grubym ręcznikiem. - Nie siedź za długo. Program mamy kończy się za dziesięć 10 minut.

Zniknęła znowu, a ja zamknęłam za nią drzwi. Łazienka wypełniała się parą. Otarłam małym ręcznikiem lustro nad umywalką. Ktoś z niego na mnie patrzył, ale nie poznawałam tej osoby. Była niemal łysa, z wielkimi cieniami pod oczami, wyglądała na dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat, z wymiocinami na ubraniu. Odwróciłam się i ściągnęłam brudne rzeczy, potem weszłam pod prysznic.

Poląła się na mnie przyjazna, ciepła woda. Wdychałam parę, uniosłam twarz do strumienia. Na ślepo sięgnęłam po najbliższą butelkę szamponu i wylałam trochę na rękę, wcierając pianę w skórę głowy i całe ciało. Czułam jak spieniona woda zmywa ze mnie brud. Wyszorowałam się pod pachami i między nogami, gdy nagle pomyślałam: „Zmywam go z siebie”, i zrobiło mi się smutno. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nosiłam zapach Pajaka na swojej skórze, wewnątrz siebie, i teraz to wszystko spływało do ścieków.

Zakręciłam prysznic i wyszłam, wciąż ociekając wodą. Owinęłam się czystym ręcznikiem jak sukienką, po czym pochyliłam się i brzegiem wytarłam głowę. Rozległo się delikatne pukanie.

- W porządku? - syknęła Britney. Odsunęłam zasuwkę i uchyliłam drzwi. Nasze twarze znalazły się zaskakująco blisko siebie, aż obie odskoczyłyśmy.

- Za minutkę wyjdę - szepnęłam.

Zamknęłam łazienkę, szybko się wytarłam i włożyłam ubranie. Ciuchy były super, akurat coś, w co sama bym się ubrała. Trochę za duże, ale dawało się wytrzymać. Pozbierałam swoje stare rzeczy, chwyciłam ręcznik i przemknęłam korytarzem do pokoju Britney.

Wyczyściła kapę najlepiej, jak się dało, ale nadal było widać ślad po moich wymiocinach.

- Przepraszam - powiedziałam znowu.

- Nie szkodzi. Lepiej ci?

- Tak.

- Myślałam sobie, że najlepiej by było, gdybyś się tu przespała i poszła, kiedy zrobi się jasno.

Popatrzyłam na nią. Odbiło jej? A może chce mnie tu zatrzymać, aż wróci jej tata?

- Nie, naprawdę powinnam iść.

- Nic nie będziesz widzieć. Możesz pójść rano, będziesz miała parę godzin, zanim wszyscy wstaną.

Miała rację, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, żebym miała spać w domu gliniarza.

- Nikt nie zajrzy do ciebie? - spytałam.

Uśmiechnęła się.

- Nie, nie odważą się. Po pierwsze: mają zabronione. A po drugie: boją się tego, co tu mogą odkryć. Nie żeby kiedykolwiek coś u mnie znaleźli; żadnych kondomów, pigulek, nawet petów nie ma. Tylko ja. Może właśnie tego się boją. Moi rodzice nie rozumieją nastolatka. Widzisz, możesz zostać i nic się nie stanie. To było prawie tak, jakby mnie prosiła. Najwyraźniej nie rozumiała, że to ona ma przewagę. Moje bezpieczeństwo wisiało na włosku. Było jak bańka mydlana, wystarczy dmuchnąć, żeby pękła. Wystarczy, żeby podniosła głos i zawołała matkę, i to byłby mój koniec.

- A twój brat?

- Och, nie.... umarł w zeszłym roku.

Że też nie ugryzłam się w język.

- Przepraszam. Widziałam tylko zdjęcia. Naprawdę przepraszam.

- W porządku. Nie mogłaś wiedzieć, nie?

„No - pomyślałam - ta łysa głowa powinna mi dać do myślenia”.

Zajęła się dzieleniem koców i poduszek.

- Od jak dawna nie spałaś w łóżku? - spytała.

Musiałam się dobrze zastanowić.

- Trzy noce.

Ciepło prysznic i luksus bycia pod dachem rozmiękczyły mnie. Nie miałam siły wychodzić na dwór, na zimno i w ciemność. Nie dzisiaj.

- No to możesz spać tutaj, a ja tu.

Położyła się na worku i zaczęła owijać kocem.

- Nie wygłupiaj się. To twój pokój. Nie mogę.

- Jasne, że możesz. Musisz się wyspać. Porządnie.

- Nie, nie mogę. To nie w porządku. Wolę sobie pójść, niż wykopywać cię z własnego łóżka. Poważnie.

- No dobra.

Wstała i weszła do łóżka, a ja zwinęłam się na worku, od razu żałując swojej decyzji. Był cholernie niewygodny.

Britney zgasiła światło.

- Dobranoc, Britney - powiedziałam.

- Dobranoc, Jem.

Miotaly mną na przemian fale zmęczenia i mdłości. Bałam się, że znowu będę wymiotować. Wspomnienia dzisiejszych wydarzeń rozsadyły mi głowę - kiedy się obudziłam rano, Pająk mnie obejmował. Wydawało mi się, że od tamtego czasu minęły lata. To za dużo, jak na jednego człowieka, nie?

Przez cienkie zasłony wpadały światła uliczne, a ja leżałam w niewygodnej pozycji, z szeroko otwartymi oczami, rozglądając się po pokoju.

Jak by to było, być tą dziewczyną? Mieć mamę i tatę, fajny pokój, przyjaciółki i... zmarłego brata. Może i wszystko wyglądało miłutko, jednak prawda o życiu po-zostawała ta sama. Nie można było uciec przed śmiercią: w

końcu dopadnie nas wszystkich. To przypomniało mi znowu o Pajaku. Gdzie teraz był? Aż do bólu pragnęłam mieć pewność, że nic mu nie jest, marzyłam, żeby być teraz z nim.

Gdzieś w pokoju tykał budzik - miarowy odgłos zegara wypełniał pomieszczenie, każde tyknięcie było jak uderzenie młotkiem w głowę. Zostały trzy dni.



## Rozdział 25

Leżałam w mroku pokoju Britney. Moja nowa znajoma, zwinięta w kłębek na łóżku, miała zamknięte oczy. Choć oddychała równomiernie, nie miałam pewności, czy naprawdę śpi. Byłam wykończona, lecz wciąż nie mogłam zasnąć. Nie chciałam jej zawracać głowy, ale to leżenie było prawie torturą.

Mniej więcej po piętnastu minutach z ulgą usłyszałam jej głos, cichy szept w ciemności.

- Nie śpisz...?

- Nie.

- Ja też nie.

- Jakoś nie mogę zasnąć.

- Słuchaj, chodź tutaj. Swoją poduszkę daj mi w nogi. Połóżymy się na zakładkę. I jak, wygodniej?

Wiedziałam, że gdzie jak gdzie, ale na cholernym worze nie uda mi się odpocząć, więc posłuchałam Britney. Z wdzięcznością wskoczyłam na łóżko, ułożyłam się tak, żeby nie zajmować za dużo miejsca. Parę dni temu nigdy nie położyłabym się w jednym wyrku z kimś obcym, a teraz to było całkiem w porządku. Tak jak porządku było być z kimś blisko, komuś ufać.

- Robiliśmy tak z bratem, kiedy byliśmy mali. Kładliśmy się na zakładkę, a mama nam czytała. A ty, Jem, masz rodzinę?

- Mieszkam z matką zastępczą i jej bliźniakami.

- Jaka ona jest? Ta twoja mama zastępcza?

Słowa wyskoczyły ze mnie od razu, ale refleks.

- Karen...? To wiedźma.

- Tak?

Przez chwilę pomyślałam o niej, o Karen. Jaka właściwie była?

- No, może wiedźma to za ostro. Była dla mnie całkiem dobra, próbowała mi pomóc. Tylko że... to nie taka pomoc, jakiej chciałam. Ona mnie nie rozumiała i tyle...

Britney pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Wiem, jak to jest. Moi rodzice chyba nigdy nie byli młodzi. Z chwilą gdy się urodzili, musieli mieć już po kilkadziesiąt lat.

- Ale są w porządku.

- Tak, są okay. Dużo przeszli. Pewnie powinnam im trochę odpuścić.

- Britney, każ mi się zamknąć, jeśli jestem głupią krową, ale... ale... gdybyś wiedziała, że macie z bratem tylko kilka lat razem, zrobilibyście coś inaczej...?

Westchnęła. Pomyślałam, że znowu przegięłam, ale wtedy ona się odezwała:

- Właściwie to wiedzieliśmy. Przynajmniej rodzice. Mnie nie powiedzieli prawie do końca. Ale chyba nic by się nic zmieniło, nawet gdybyśmy znali konkretną datę. Podczas przerw w leczeniu jeździliśmy na wakacje, jak zwykli

ludzie. - Urwała. Nie wtrącałam się, wiedziałam, że jeszcze coś dopowie. - No i załatwiliśmy to najważniejsze. Jim wiedział, że go Kocham, a ja, że on Kocha mnie. Nie w taki głupi sposób z serduszkami i kwiatkami, tylko po prostu, jak brat i siostra. Zresztą czasami nieźle mnie wkurzał, aż do, do...

- Przepraszam, nie musisz...

- Nie, w porządku, o tym można mówić. Śmierć zupełnie normalna, nie wiem, dlaczego wszyscy mają z nią takie problemy. Przecież i tak musimy się z tym pogodzić. Z kimkolwiek rozmawiasz, większość kogoś straciła, ale nikt o tym nie mówi...

Po ciemku łatwiej było rozmawiać. Nie czułam się taka skrupowana, słowa same płynęły. A może sprawiła to Britney, ona umiała dobrze mówić i dobrze słuchać. Miałam wrażenie, że mogę jej powiedzieć wszystko.

- Moja mama umarła - usłyszałam swój głos. - Gdy miałam siedem lat, tylko że ja wcale nie czuję się tak jak ty. Jestem raczej... no nie wiem... pusta, wściekła... Jakby mnie zostawiła. Jakby sama postanowiła odejść.

- Była chora?

- Nie. Przedawkowała. To był wypadek. Przynajmniej tego jestem całkiem pewna. Tak naprawdę chyba nie chciała umrzeć, ale z drugiej strony za bardzo nie przejmowała się życiem. Najważniejsza była kolejna działka. Zawsze o tym wiedziałam, ale nigdy nikomu nie mówiłam; byłam u niej daleko na liście, nigdy na początku. Wybrała heroinę, nie mnie.

- Nie, Jem, to nie tak. Sama powiedziałaś, że była uzależniona. Nie panowała nad tym. Była chora, tak samo jak Jim.

- I tak jej nienawidzę za to, że odeszła.

- To strasznie długo, tyle lat kogoś nienawidzić. Może powinnaś już dać sobie spokój...?

Wpuściłam jej słowa do środka i poczułam, jak zagnieżdżają się we mnie. Brzmiały tak, jakby naoglądała się za dużo różnych talk show. Życie nie jest takie proste. Nie jest tak łatwo dać sobie spokój, jeśli wściekłość jest jedynym, co cię trzyma w kupie.

Tylko że teraz miałam coś jeszcze. Przed oczyma stanął mi Pająk. Zobaczyć go znów, uratować... - tak, to było coś nowego we mnie.

Rozległ się hałas, trzaśnięcie drzwi na dole. Obie aż podskoczyłyśmy.

- Tata wrócił. Pójdę sprawdzić.

Britney wylazła z łóżka, włożyła szlafrok i poszła do ojca. Zostawiła drzwi lekko uchylone, a ja wzięłam budzik ze stolika nocnego i odwróciłam go tarczą w kierunku światła padającego z korytarza. Druga piętnaście. Ich głosy - miękki Britney i głębszy, niższy jej taty - dobiegały teraz ze schodów. Wyłapałam tylko kilka słów, ale one akurat sprawiły, że wyskoczyłam z łóżka i przyczałam się za drzwiami, z sercem podchodzącym do gardła.

-... oszalał... ośmiu z nas... cholernie silny...

Uchyliłam drzwi ociupinkę szerzej, desperacko usiłując usłyszeć więcej. Słowa policjanta mieszały mi się w myślach ze słowami Pajaka: „Jem, nie pójde spokojnie. Będe z nimi walczyć, Jem. Zobaczysz”.

Pajak, coś ty zrobił...?

-... zmarł w celi... dochodzenie...

O Boże, zrobił to, choć mówiłam mu, że to bez sensu... Tłumaczyłam, że nie warto. Jak to się mogło stać...? Jak wszystko mogło się zdarzyć trzy dni przed czasem...? Miałam ochotę wrzeszczeć - już nie miało znaczenia, że mnie znajdą. Jeśli Pajak odszedł, nie zostało mi już nic. Rozpacz we mnie krzyczała, rozdzierała mi serce. Oszukano nas, odebrano nam te ostatnie parę godzin, szansę pożegnania się - to było nie do wytrzymania.

Głosy były teraz bliżej, tuż pod drzwiami. Nawet nie zauważyłam, kiedy weszli na górę.

- Dobranoc, kochanie. Spróbuj się przespać. Ja idę pod prysznic.

- Okay, dobranoc, tato.

Britney weszła do pokoju. Niosła kubek i aż podskoczyła, kiedy na mnie wpadła. Szybko uniosła palec do ust. Zamknęła drzwi, a ja oparłam się o nie, łzy same płynęły mi po twarzy. Kucnęła obok.

-Co się stało? - szepnęła.

Nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa.

Odszedł. Już po wszystkim.

- Okay, powiesz mi za chwilę, gdy tata pójdzie pod prysznic. Teraz wracaj do łóżka, przyniosłam ci herbatę. Masz. - Postawiła kubek i pomogła mi wstać.

Nie mogłam pić, z trudem łapałam oddech, pograżyłam się w rozpacz. Po chwili usłyszaliśmy prysznic. Britney przysunęła się do mnie, dotknęła moich nóg.

- W porządku, teraz możemy pogadać, tylko cicho. Co się stało?

- On nie żyje, prawda? Słyszałam was, nie żyje - zniekształcałam słowa, bełkotałam, ale ona zrozumiała.

- Kretynko, to ten drugi.

- Co?

- Przecież aresztowali dwóch. Tata mówił, że to wielki facet, cały w tatuażach.

Tatuowany...?

- Podobno oszalał w celi, zaczął wszystko rozwalać. Ośmiu potrzebowali, żeby go utrzymać, i w trakcie tego umarł.

- Umarł?

- Jeszcze nie wiedzą, czy ktoś go uderzył, czy miał zawał, czy coś. Na posterunku jest piekło. Tata był wśród tych, którzy go obezwładnili, i na razie go zawiesili.

Tatuowany, nie Pajak. 11122009.

- Britney?

- Tak?

- Wiesz, kiedy to się stało? O której?
- Tuż przed północą. Zanim tata skończył zmianę.

Znowu wszystko do siebie pasowało. Sekundę temu ziemia drżała mi pod nogami, zasady się zmieniały, ale teraz znowu stałam na pewnym gruncie - okropnym, koszmarnym, ale pewnym. Numery były prawdziwe. Pająk żył, ale zostały mu już tylko trzy dni.

- Wszystko okay?
- Tak, tak jakby.
- Chcesz się przytulić?

Nie odpowiedziałam, ale ona i tak się pochyliła i objęła mnie. Zesztywniałam. Britney musiała to wyczuć, mimo to nie zwolniła uścisku.

- W porządku - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Masz, wypij trochę herbaty. - Znów podała mi kubek. Gorąca, słodka herbata, od dawna nie piłam czegoś tak dobrego. Wypiłam ją duszkiem, po czym położyłyśmy się na przeciwległych końcach łóżka - dwa kłębki ze splecionymi nogami. Herbata jakoś mnie uspokoiła. Głowa nabita wrażeniami, ale zero myślenia. Byłam naprawdę wykończona. Czułam, jak ogarnia mnie senność.

- Britney? - powiedziałam cicho do ciemności.
- Mm...?
- Dziękuję.
- Spoko.
- Mówię poważnie.
- Zamknij się i śpij.

Uśmiechnęłam się na te słowa, to było tak, jakbym słuchała siebie samej. I zapadłam w sen bez snów, odcięta na parę godzin od rzeczywistości, daleko od tik-tak, tykania zegara.

## Rozdział 26

**R**anek. Sięgnęłam po budzik i przysunęłam go do twarzy. Prawie wpół do ósmej. Jeszcze było ciemno, ale już niedługo. Wierciłam się w łóżku, usiłując dojść, jak się czuję.

- Nie śpisz? – szepnęła Britney.

- Nie.

No tak, jestem dość obolała. Udało mi się złapać parę godzin porządnego snu, ale czułam się zmęczona i trochę mi było niedobrze.

- Musimy być bardzo, bardzo cicho.

- Okay.

Obie byłyśmy w ubraniach, więc wstałyśmy w ciemności i wyszłyśmy na schody.

- Ja pójdę pierwsza, żeby nie wystraszyć Raya.

Raya?

Otworzyła drzwi do kuchni i słyszałam, jak szepce. Czyli to jednak pułapka. Powinam wyczuć, że jest zbyt pięknie. Ludzie zawsze człowieka zawiodą. Spojrzałam w głąb korytarza. Mogłaby bez trudu czmychnąć przez frontowe drzwi.

- W porządku, możesz wejść.

Britney wołała mnie z kuchni.

Zerknęłam jeszcze raz na frontowe drzwi, ale coś kazało mi jej zaufać. Ruszyłam w stronę prostokąta światła na końcu przedpokoju. Trzymała za obrozę wielkiego psa, wielkiego, kudłatego wilczura. Ja się nie znam na zwierzętach. Oczywiście nigdy nie miałam własnego psa, nic o nich nie wiem. Niektórzy ludzie tak nad nimi skaczą i mówią do nich, to aż dziwne, nie? Nie kumają, że to naprawdę coś innego, że to nie ludzie.

- Zamknij za sobą drzwi – syknęła Britney. – To jest Ray, policyjny pies taty.

Rany boskie! Byłam zamknięta w domu policjanta, w pomieszczeniu trzy metry na dwa i pół, z cholernym policyjnym psem.

- On też cię wczoraj szukał. Prawda, Ray-ray? A teraz ją znalazłeś, tak? Dobry piesek! Przywitaj się z nim – poleciła mi. – Będzie grzeczny.

- Cześć – powiedziałam.

Usiłowałam go nie zdenerwować, nawet nie patrzyłam mu w oczy.

Britney stłumiła chichot.

- Nie, nie tak, pogłaszcz go, po grzbiecie, nie po łbie. No dalej, żeby wiedział, że jesteś przyjacielem.

- Ugryzie mnie?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Przysunęłam się bliżej psa, czekając, aż rzuci się na mnie i chwyci mnie za ramię potężnymi szczękami. Powoli pochyliłam się i położyłam dłoń na futrze u nasady karku, zmuszając się, aby jej

nie cofnąć. Czulałam twarde psie ciało, ciepłe i pełne życia, i samo futro – było fantastyczne, czyste i miękkie. Jakbym dotykała lwa.

Ostrożnie przesunęłam rękę.

- Cześć, Ray, fajny z ciebie pies.

Moje słowa były równie sztywne, jak ruchy. Powąchał moją nogę, a potem gwałtownie potarł wielkim, silnym pyskiem o moje dżinsy, niemal mnie nie przewracając.

- Co on robi?

- Lubi cię. Zostawia na tobie swój zapach. Pozwól mu.

Nie zamierzałam protestować, więc tylko stałam, pozwalając Rayowi oznaczyć nowego członka stada. A jednak psy nie są aż tak mądre. Policyjny wilczur nie miał pojęcia, że zaprzyjaźnia się z wrogiem.

Tymczasem Britney robiła coś w kącie, odwrócona plecami. Po chwili z dumą uniosła plecak, czarny z ponaszywanymi różnymi rzeczami i znaczkami.

- Włożyłam do środka kilka rzeczy. Twoje ciuchy, trochę jedzenia i wodę. Mam jeszcze koc, ale się nie zmieści. Przywiążę go sznurkiem.

Pogrzebała w szufladzie, znalazła kłębek sznurka i zaczęła owijać nim zawinięty koc. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- To twój plecak?

- Tak, do szkoły.

- Nie będzie ci potrzebny?

- Załatwię sobie nowy, powiem, że pękł pasek. Spoko.

Na górze rozległo się stuknięcie drzwi od łazienki. Popatrzyłyśmy na siebie. Chciałam spadać, od razu. Britney podniosła rękę, żeby mnie zatrzymać. Rozległ się szum spuszczonej wody, a potem męski głos.

- Kto tam jest na dole? Britney, to ty?

Serce znowu miałam w okolicach gardła. Britney otworzyła drzwi kuchenne i zawołała:

- W porządku, tato. Pies piszczał. Wyprowadzę go.

- Okay. Dzięki, kochanie.

Wróciła, skończyła przywiązywać koc do plecaka, potem wzięła psa na smycz i ruszyła do kuchennego wyjścia, przywołując mnie gestem. Ostrożnie zamknęłam za nami drzwi. Podmuch zimnego powietrza na twarzy zaskoczył mnie. Pod dachem czułam się obco, stłamszona, ale teraz, kiedy wracałam do życia na zewnątrz, dopadła mnie cała niemiła rzeczywistość.

Britney poprowadziła nas tylnymi uliczkami. Trzymała psa, a ja niosłam na plecach plecak. Szłyśmy w milczeniu. Dróżki były tak wąskie, że trzeba było iść gęsiego – pies, Britney i ja. Po paru zakrętach doszliśmy do bramki między dwoma płotami. Britney odpięła Rayowi smycz, a on przeskoczył bramkę, jakby to nie była żadna sztuka. Przelazliśmy za nim. Bez smyczy, na otwartym polu pies wydawał mi się bardziej nieprzewidywalny. Czekałam, aż wróci mu rozum i rzuci się na mnie, jak powinien.

- To jest w porządku?

- Co?

- Że tak biega sam.

- Tak, nic mu nie będzie. Wróci, jeśli go zawołam.

- Ale czy to jest bezpieczne?

Tym razem załapała, o co mi chodzi.

- Jasne. Teraz jesteś jego przyjacielem, nic ci nie zrobi. Porozgląda się trochę za zajacami, machnie kupę. Ścieżką dojdziemy tam do rogu.

Spodziewałam się, że Britney zawróci, gdy dotrzemy do pól, ale ona szła ze mną dalej, podczas gdy Ray to zostawał w tyle, to znowu nas doganiał. Niewiele mówiliśmy (właściwie to powiedziałyśmy sobie wszystko nocą), ale to było w porządku, tak wędrować razem.

- Dokąd pójdziesz? – spytała po chwili.

- Nie mogę ci powiedzieć. Tak będzie bezpieczniej. I nie chodzi o to, że ci nie ufam...

- Nie, spoko, rozumiem.

- To miejsce, o którym mówiliśmy, Pająk i ja. Chociaż na razie go zamknęli, ja tam pójde. Sama tam dotrę, i myślę, wierzę, że się tam spotkamy. Jakoś mu się uda.

- Mam nadzieję, Jem. Będę za was trzymać kciuki. – Pokonałyśmy jeszcze kawałek, a potem powiedziała: - Za tą bramką będzie mostek, którym możesz przejść przez kanał. Potem idź w lewo, dotrzesz do ścieżki prowadzącej aż do Bath. Jakies osiemnaście kilometrów. Lepiej zabiorę Raya z powrotem, niedługo będą wstawać.

A więc to już, tu się zegnamy.

- Dzięki – powiedziałam poważnie.

- W porządku. – Odwróciła głowę, patrząc w stronę kanału. – Powodzenia, Jem. Zawsze będę cię pamiętać. To było naprawdę super.

Chciałam uścisnąć jej dłoń, ale nie wiedziałam, jak to zrobić, żeby nie było głupio. Ona chyba czuła to samo, więc stałyśmy tak ze zwisającymi luźno rękami, patrząc w ziemię, aż zrobiło się totalnie głupio i bez sensu.

Kiwnęłam jej głową, próbując spojrzeć w oczy.

- Lepiej już pójde – stwierdziłam. – Ja też cię będę pamiętać, Britney. Zawsze.

I ruszyłam ścieżką w stronę bramki.

Przełazę na drugą stronę, obejrzałam się. Nie ruszyła się, patrzyła tylko za mną. Pomachałam jej, a ona mnie. To było dobre, móc się z kimś porządnie pożegnać, nie tak po prostu niezauważalnie odejść. Przez moment trzymała rękę w górze, potem zawołała psa i odwróciła się. Zeskoczyłam z bramki, poprawiłam plecak i przeszłam przez mostek.

## Rozdział 27

**S**cieżka do Bath wszystko uprościła. Prowadziła prosto, więc nie musiałam podejmować żadnych decyzji, tylko szłam przed siebie. Odkąd zgarnęli Pajaka, wiedziałam, że mnie też dopadną, że to tylko kwestia czasu. Szczerze mówiąc, byłam całkiem spokojna. Najgorsze już się stało – straciłam go i zostałam sama, bez pieniędzy, nie do końca wiadomo gdzie.

Ale przeżyłam pierwsze dwanaście godzin. Nawet więcej, niż tylko przeżyłam, bo jeszcze znalazłam przyjaciółkę. Czy to nie było super?

Szłam cały dzień. Minęłam kilka łodzi, małe grupki domków. Na równiutkiej ścieżce pojawiali się biegacze i rowerzyści. Ignorowałam ich i już, spuszczałam głowę, wlepiając oczy w buty, unikając kontaktu wzrokowego.

Zabawne, chyba po raz pierwszy w życiu szłam przez cały dzień bez chowania się i odpoczywania. Jednak wszystkie emocje oraz brak porządnego jedzenia wkrótce dawały o sobie znać. Byłam w kiepskim stanie, ale szłam dalej jak zombie, zbyt zmęczona i otepiała, by myśleć. Trzymałam się ścieżki, szłam i szłam. Z plecakiem było to o wiele łatwiejsze. Jezu, z Pajakiem naprawdę zrobiliśmy z ciebie kretynów – łapaliśmy co popadło i wrzucaliśmy to do plastikowych toreb. Para idiotów. Oczy zaczęły mnie piec na samą myśl o nim. Gdzie on był? Co z nim teraz robili? Jedyne rozwiązanie, żeby jakoś sobie poradzić, to iść dalej, krok za krokiem, wciąż i wciąż, na zachód.

Zorientowałam się, że zbliżam się do miasta, gdy na ścieżce zaczęło ronić się tłoczno: pojawiły się całe rodziny, dzieciaki na rowerkach albo z psami, starsze pary przechadzające się pod rękę w zimowym słońcu. Nawet z oczami wbitymi w ziemię, wyczuwałam ich niepokój, to jak matki próbują chronić dzieci. Jeden maluch wlaź mi pod nogi. Stał, gapiąc się i trzymając mojej nogawki. Niemal poczułam, jak włosy stają mi dęba. Maluch patrzył mi prosto w twarz wielkimi, brązowymi ufnymi oczami. Na buzi miał ślady po smarkach. 04032053. Umrze po czterdziestce, dzieciak, który jeszcze nawet nie ma pojęcia, co to jest śmierć.

Odsunęłam się, strząsając jego lepki uścisk, i ruszyłam dalej, podczas gdy rodzice upominali go łagodnie, tonem: „Czyż on nie jest słodki...?”. Jeszcze długo wydawało mi się, że czuję wilgotne ciało małej dłoni.

Znowu zaczynałam się niepokoić. Ludzie w większych gromadach byli niebezpieczni. Z jedną czy dwiema osobami miałam szansę sobie poradzić, ale tłum to co innego. Próbowałam przyspieszyć kroku, ale brakowało mi sił. Cały dzień myślałam, że muszę iść, dotrzeć do celu, gdziekolwiek się znajduje. Teraz byłam wykończona i znowu przestraszona. Słońce zaczynało chować się za wzgórzami.

W miarę jak zapadał mrok, pejzaż dookoła mnie zaczynał się zmieniać. Jasne budynki po obu stronach ścieżki wspierały się na zboczach. Uliczne lampy zapalały się, nadając kamieniom pomarańczowy odcień, podkreślając kształt



palców miasta wyciągających się ku polom. Wkrótce budynków było coraz więcej. Zbliżałam się do Bath. Dzisiaj pragnęłam, by światło nie zniknęło. Nie chciałam być sama w ciemności.

Kiedyś niczego się nie bałam – jakbym uznała, że nim skończyłam siedem lat, życie rzuciło już we mnie wszystkim, co miało najgorszego. Jednak w ciągu ostatnich paru miesięcy to się zmieniło, a zwłaszcza przez ostatnie dni. Teraz chciałam tylko znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, by położyć się na noc, zwinąć w kłębek i zasnąć. Chciałam się wyłączyć, odciąć na chwilę świat.

Wstrząsnął mną głęboki dreszcz. Czy to dlatego mama dawała sobie w żyłę? Żeby uciec na parę godzin? Tego wszystkiego było dla niej za dużo... Samotne wychowywanie dziecka. Życie w chlewie. Kolejny wyścig po złote kalesony. Nigdy przedtem jej nie rozumiałam. Dlaczego to robiła. Ale teraz zaczynałam dostrzegać, jak atrakcyjne może być zapomnienie – tylko nie chciałam go szukać w taki sam sposób jak ona...

W tej okolicy było coś dziwnego. W naszych stronach kanały to brudne ścieki, biegną za fabrykami i magazynami. Tu było inaczej. Dojścia do wody odgrodzone były pomalowanymi na biało metalowymi furtkami, za nimi ciągnęły się wymyślne mostki z kamiennymi rzeźbami.

Wkrótce ścieżka oddaliła się od kanału i połączyła z drogą. Byłam na wzgórzu – dziwne, jeżeli przez cały dzień szło się po płaskim. Droga falowała na prawo i lewo, podczas gdy woda płynęła prościutko w dół. Przeszłam na drugą stronę kamiennego mostka i spojrzałam w dół. Niewiele było widać, ale dostrzegłam zarysy przywiązanych łodzi. Pomyślałam, że może tam znajdę miejsce, żeby się kimnąć, a może jednak lepszy byłby park albo czyjś ogród. Ruszyłam dalej, skręciłam w prawo w jakąś spokojniejszą przecnicę. Wyglądała jak w filmie, cała brukowana, a wzdłuż niej stały stare wysokie domy.

O tej porze ludzie pozapalali już światła, ale jeszcze nie pozaciągali zasłon. Co drugie czy trzecie frontowe okno było jak ekran telewizora, jasne w narastającym mroku, przyciągało wzrok. Ludzie siedzieli przy komputerach albo oglądali telewizję, niektórzy coś czytali. Oglądając te zdjęcia cudzych istnień, poczułam samotność. Były ciepłe, bezpieczne, płynęły z nich kuchenne zapachy, niedługo nadejdzie pora kolacji, za posiłek przyjdą ludzie, którzy mieli swoje miejsca. Zmusiłam się, by iść dalej – nie ma sensu myśleć o tym, co należy do innych, musiałam znaleźć sobie jakieś miejsce do spania.

Po drugiej stronie drogi rząd domów się urywał. Płot otaczał pole. Zaczęłam szukać jakiegoś przejścia, nie miałam ochoty znowu szarpać się z drutem kolczastym. Byłam taka zmęczona, prawie nieprzytomna. Zerwał się wiatr, zimno przedostawało się przez ubranie. Musiałam znaleźć jakieś schronienie albo do rana zamarzną na kość.

Przeszłam przez ulicę i ruszyłam wzdłuż płotu. Parę metrów dalej był przejazd, przez który właściwie się przeczołgałam, po całodziennym marszu nogi niemal odmawiały mi posłuszeństwa. Kiedy znalazłam się po drugiej stronie, od

razu w coś wdepnęłam. Wielka, śliska kałuża, śmierdząca jak nie wiem. Super, znowu krowy, ale tym razem nie za ogrodzeniem.

Trawiaste zbocze prowadziło w ciemność. Przez jakiś czas posuwałam się wzdłuż płotu – tam było równiej i dzięki latarniom trochę widniej – póki nie dotarłam do rogu pola i nie miałam innego wyboru niż iść jeszcze dalej od drogi, w ciemność. Niebo jakby zniknęło, zasłoniło je wzgórze oraz kępa drzew. Rosły po drugiej stronie płotu, ale znalazłam bramkę, przedostałam się przez nią i wlokłam pod górę, chociaż krzaki szarpały mi dżinsy. Znalazłam w miarę równy kawałek gruntu pod drzewami, w zasadzie niewielkie zagłębienie. Sprawdziłam na tyle, na ile mogłam, czy nie ma tu krowich placków, po czym padłam.

Zwinęłam się jak małe dziecko pod kocem od Britney, owijając się nim i zakrywając twarz. W zasadzie wcale nie chronił mnie przed wiatrem. Jak zwykle wydawało mi się, że nigdy nie zasnę: moja głowa pełna była Pajaka, zawsze Pajaka. Czy teraz spał? Czy leżał gdzieś, nie śpiąc jak ja, oddychając równomiernie? Ile oddechów mu zostało? Ale kiedy wreszcie przestałam dygotać i ciepło mojego ciała zaczęło rozgrzewać przestrzeń wewnątrz koca, odpłynęłam, otaczająca mnie ciemność dostała mi się do głowy i wyłączyła wszelkie myśli.

## Rozdział 28

**K**toś mnie gonił, był tak blisko, że słyszałam jego oddech, czułam go na karku. Biegłam szybciej niż kiedykolwiek w życiu. Płuca mi pękały, biegłam, biegłam, ale doganiał mnie, nie było już dokąd uciekać. To za wiele, jak dla jednej osoby, nie mogłam sobie z tym poradzić. Siłą wyciągnęłam się na powierzchnię snu, uświadomiłam sobie otoczenie, otwierając lekko oczy, żeby zobaczyć szare światło świtu.

Tak, to był sen. Ale dźwięki wciąż dochodziły, ktoś był blisko, tak blisko, że słyszałam jego równy oddech. Pająk? Przez moment myślałam, że znowu jest obok mnie. O boże. Odwróciłam się powoli. Tuż nade mną zobaczyłam ciemny kształt, jakieś zwierzę węszyło dookoła. Krowa? Myślałam, że stado było na tym drugim polu. Ale to nie była krowa, tylko pies. Wielki, czarny pies z nosem w moim plecaku.

Zamarłam. Ray może i okazał się owcą w wilczej skórze, okay, nie znaczy to jednak, że nagle zaufałam psom. Ten był wielki i chudy, ale na piersi i tylnych łapach prężyły mu się mięśnie.

Za odgłosem psiego węszenia pojawił się kolejny dźwięk, głos kobiety:

- Sparky! Chodź tutaj! Do nogi!

Zobaczyłam, jak drgnęło mu ucho. Słyszał swą panią, ale resztki chleba, które Britney włożyła mi do plecaka, były ciekawsze. Właścicielka głosu wyłoniła się zza rogu: kalosze, puchata kurtka i szalik. Kiedy nas zobaczyła, ruszyła biegiem.

- O cholera! Sparky, do nogi! – Popatrzył na nią, po czym znowu pochylił łeb. Kończył mu się czas, miał ostatnią szansę, żeby zjeść jeszcze kawałek. Kobieta złapała go za obrozę i zdecydowanie odciągnęła. – Przepraszam, bardzo przepraszam. To przez jedzenie. Jest niemożliwy. Boże, zjadł wszystko. Przepraszam.

Jej głos był pełen niepokoju, wykształcony. Zapanowała niewygodna cisza. Nadal leżałam na ziemi, zaspana. Kobieta z psem górowali nade mną. Czekala, żebym coś odpowiedziała, martwiła się o moją reakcję. Usiadłam i odsunęłam się od nich, szorując tyłkiem po ziemi.

- Przepraszam. Obudził cię, prawda? I przestraszył. Sparky nie gryzie. Chodziło mu tylko o jedzenie. Mieszkam tu niedaleko, zapraszam na śniadanie i herbatę.

Nie wyglądała, jakby naprawdę mnie zapraszała. Pewnie po prostu usiłowała powiedzieć coś miłego, żeby załagodzić sytuację.

- Dziękuję – zdołałam wykrztusić. – Nic się nie stało.

- Przecież wyjadł ci chyba całe jedzenie. Mogłabym coś przynieść...?

- Nie, naprawdę. Nic mi nie będzie.

- Chyba nie mam przy sobie żadnych pieniędzy. – Sięgnęła do kieszeni. – O, to by ci starczyło na śniadanie. – Wyciągnęła w moją stronę garść monet.

Miałam już tego dość. Chciałam, żeby zabrała swojego cholernego kundla, swoją burzującą uprzejmość i litość i spadała stąd.

- Nie chcę żadnych pieprzonych pieniędzy, nic mi nie jest!

To załatwiło sprawę. Wyraźnie się wzdrygnęła, mocniej zacisnęła rękę na obroży.

- W porządku. Przepraszam.

Wycofała się, a potem pochyliła, żeby zapiąć psu elegancką smycz.

Zatoczyli szerokie półkole na zboczu poniżej mnie i przeszli bramką na sąsiednie pole, gdzie zatrzymali się na chwilę. Kobieta spuściła psa, pogrzebała w kieszeni i znowu spojrzała na mnie. Pies ruszył gwałtownie, wyciągając łapy i gnając przez pole. Ruch był w całym jego ciele, jakby zmienił się w małego czarnego konia wyścigowego. Poszła za nim ścieżką, a ja wstałam i patrzyłam w ich stronę. Sparky obiegnął ją trzy razy, zwolnił, dalej szedł już za nią, parując lekko w porannym świetle. Obserwując ich, poczułam się jeszcze bardziej samotnie, a nie myślałam, żeby to było możliwe.

Moje spojrzenie przeniosło się z ich zmniejszających się postaci na krajobrazie za nimi. Wczorajszy wiatr zupełnie ucichł. Niebo zrobiło się czyste, jasnobłękitne, widać było jeszcze ostatnie gwiazdy. Tuż nad ziemią rozciągała się mgła z najbielszej, najbardziej puchatej waty. Z niej wylaniały się domy i wieżyczki o barwie miodu, jak wyspy na falującym morzu. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Gdzieś pod tą mgłą ludzie spali i budzili się, puszczały baki, drapali się, sikali z rana, ale stąd wszystko wyglądało jak Disneyland.

Najpierw bałam się tego miasta. Ale teraz poczułam dziwny przyływ pewności siebie. Przecież w takim miejscu nie może wydarzyć się nic złego... Zwinęłam koc i przywiązałam go do plecaka. Palce zeszywniały mi z zimna. Wszystko, nawet to, co miałam na sobie, było przesiąknięte rosą.

Ruszyłam przez pole w stronę bramki, zostawiając swoje ślady obok śladów kobiety i psa. Kiedy dotarłam do furtki, zobaczyłam na słupku stosik monet. Jedną je zostawiła. Schowałam forszę do kieszeni. Branie od niej pieniędzy wydawało się dość paskudne. To było co innego, niż kiedy Britney dała mi różne rzeczy – jak jałmużna, a ja nie miałam ochoty być obiektem niczyjej działalności dobroczynnej.

Przeszłam przez kolejną bramkę i ulicę. Zero ludzi. Skręciłam w alejkę między dwoma tarasami, kierując się w stronę centrum. Dalej przez mostek kolejowy. I nagle znalazłam się z powrotem w dwudziestym pierwszym wieku, i to tuż obok szosy z pędzącymi samochodami i ciężarówkami. Ich światła mnie dezorientowały, hałas dzwonił w uszach. Jeszcze się do końca nie obudziłam. Spojrzałam na strumień aut i ruszyłam naprzód.

Po mojej prawej ryknął klakson, powodując, że znów skoczyła mi adrenalina, serce załomotało mocniej, a nogi zaczęły poruszać się szybciej. Skąd się to wzięło? Muszę uważać. Biegłam przez jakąś minutę, po czym zwolniłam

do marszu, przechodząc przez kolejny most nad gęstą, burą rzeką. Na drugim brzegu były hotele i bary, i jeszcze sklepy, nie te prawdziwe, ale specjalne, dla turystów. Wyciskarki pieniędzy. Wszystkie miały świąteczne lampki i dekoracje w oknach – świecące, błyszczące śmieci. Żaden nie był otwarty.

Spojrzałam na zegarek. Dopiero za dziesięć ósma. W samym centrum kręciło się już parę osób – czyściciele okien, śmieciarze, ludzie otwierający sklepy albo idący z pośpiechem, z podbródkami wciśniętymi w szaliki, niektórzy z pierwszym dziś papierosem. Nawet nikt na mnie nie spojrzał. O tej porze człowiek nie ma ochoty nikim się przejmować. Jeśli ktoś jest na dworze tak wcześnie, to ma coś do roboty albo po prostu musi gdzieś być i nie chce sobie zawracać głowy niczym innym.

Kolano ciągle mnie pobolewało, ale nie chciałam się nigdzie zatrzymać, szłam przez miasto.

Na jakiś schodach siedziała grupka włóczęgów pijąca kawę na śniadanie.

- W porządku, skarbie?! – zawołał jeden z nich, unosząc puszkę w moją stronę.

„Myśli, że jestem taka jak on – przyszło mi do głowy – miłe powitanie braci bezdomnych. I ma rację, jestem”.

- W porządku – odpowiedziałam, automatycznie wbijając wzrok w chodnik, aby ominąć jego spojrzenie. Przyśpieszyłam, obchodząc puszki leżące u dołu schodów.

Szłam główną ulicą pod sznurami świątecznych lampek. Na samym jej końcu znalazłam jedyny otwarty lokal – McDonalda. Miałam dość pieniędzy na kubek herbaty i śniadaniowego McMuffina. Zawsze lubiłam zapach McDonaldu, ale tym razem, kiedy czekała, aż sprzedawca przyniesie moje zamówienie, zrobiło mi się od tej woni niedobrze. Zabrałam jedzenie na dwór i wdzięczna za świeże powietrze znów ruszyłam ulicą.

Wkrótce dotarłam do bramy w kształcie łuku, prowadzącej na kwadratowy plac z ławkami i drzewem po środku. Zatrzymałam się tuż pod wielkim kościołem z wieżą. Miejsce równie dobre, jak każde inne. Usiadłam na ławce, postawiłam obok kubek i rozwinęłam kanapkę. Żółtko pękło i spływało po bułce. Byłam głodna, ale tego jeść nie dałam rady. Położyłam jedzenie na ławce i zdjęłam plastikową pokrywę z kubka z herbatą. Upiłam łyk, gorąco w ustach uświadomiło mi, jaka byłam przemarznięta.

Spojrzałam na ogromny budynek po lewej. Napis głosił: *Opactwo Bath*. Pośrodku były wielkie drewniane drzwi, a nad nimi gigantyczne, zwieńczone łukowato okno. Po obu stronach wejścia wyrzeźbione zostały w kamieniu poziome linie, a na nich postacie, wyglądające jakby szły po drabinie. Niektórym brakowało jakichś części ciała i wyglądały jak rozmazany rysunek, natomiast te, które ocalały, miały skrzydła. Anioły...? Zdecydowanie usiłowały dostać się na górę, chociaż nie, niektóre zwrócone były w odwrotną stronę i wyglądały, jakby zaraz miały spaść. Idioci, dlaczego po prostu nie polecą...?

Piłam herbatę i studiowałam te dziwne rzeźby. Napój mnie rozgrzewał, zaczynałam znowu czuć się jak człowiek. Wzięłam bułkę, teraz już zimną (płynne jajko też zastygło). Ugryzłam kawałek, ale kiedy żułam, żołądek mi podskoczył. Mowy nie ma. Wypłułam wszystko w zatłuszczony papier.

Teraz dookoła było więcej przechodniów. Zdaje się, że szli gdzieś obok opactwa – przez bramę widziałam małe drewniane chatki, coś jak targ. Wyczuwałam spojrzenia z ukosa niepokój, zaczynałam znowu się czuć odsłonięta. Lepiej się zbierać, znaleźć jakieś ustronne miejsce, póki nie wymyślę, co dalej. Wstałam i zarzuciłam plecak. Już miałam odejść, ale nie, jeszcze wzięłam pusty kubek i obrzydliwą bułkę. Wrzuciłam śmieci do kosza parę metrów dalej.

- Dziękuję – powiedział gość w długim płaszczu i szaliku, przechodząc obok – za zachowanie czystości przy opactwie.

Uniósł rękę w geście pozdrowienia i pomaszerował do mały drzwi obok głównych. Przy pasie wisiał mu pęk kluczy. Odwróciłam się i ruszyłam stronę alejki biegnącej po lewej stronie placu.

Na jej końcu był ktoś w mundurze.

Okręciłam się na pięcie i ruszyłam z powrotem do bramy.

W moją stronę maszerowało dwóch facetów w garniturach – mogli to być zwykli urzędnicy w drodze do pracy, ale patrzyli prosto na mnie.

Cholera, czyli to koniec. Ktoś z tych ludzi, którzy zdawali się nie zwracać na mnie uwagi, jednak zarejestrował moją obecność. Może nawet widziało mnie wielu. Albo ta baba z psem na polu. Wścibska wiedźma.

Chciałam zawołać: „Nie!”, usłyszeć, jak krzyk toczy się echem po placu. Zerknęłam przez ramię, czy za mną też ktoś jest. Gość z kluczami już był w budynku i właśnie zamykał za sobą drzwi. Pobiełam w jego stronę.

- Proszę zaczekać! – Spojrzał na mnie zaskoczony, jednak przytrzymał drzwi. – Proszę mi pomóc. Boję się. Może mnie pan wpuścić?

Głos mi się załamywał. Jasnoniebieskie oczy klucznika wpatrzyły się w moje, a potem spojrzały gdzieś dalej. Zawahał się przez niemożliwie długą sekundę, w końcu złapał mnie i wciągnął do kościoła. Potknęłam się w ciemności, a on obiema rękami zatrzasnął drzwi i zasunął zasuwę. Z drugiej strony rozległy się nerwowe kroki, a po sekundzie walenie.

- Otwierać! Policja! – rozległy się krzyki.

Kiedy moje oczy przywykły do mroku, zobaczyłam, jak mój wybawca odwraca się i opiera o drzwi. Uniósł ręce do ust.

- Co ja zrobiłem? – jęknął, patrząc prosto na mnie. – Dobry Boże, co ja zrobiłem...?

## Rozdział 29

Znów popatrzył na mnie.

- Nic ci nie jest?

Pokiwałam głową.

- To naprawdę policja? – Chodziło mu o tych zbójów dobijających się do kościoła.

Znowu pokiwałam głową.

- Powiniennem ich wpuścić.

Zamknęłam oczy – wyda mnie.

- Wyglądasz na wykończoną... Potrzebujesz trochę czasu? Żeby się pozbierać?

Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale tak, potrzebowałam więcej czasu.

- Tak.

- Idź tymi drzwiami, a potem usiądź i poczekaj na mnie. Powiem policji, co się dzieje.

Nie byłam pewna.

- Wszystko w porządku. Idź.

Pociągnęłam za wielką metalową klamkę i otworzyłam wewnętrzne drzwi. Przekroczyłam je, spodziewając się dalszego mroku, ale sam kościół był zalany światłem. Był też niesamowicie wysoki – kamienne kolumny ciągnęły się w górę, w górę, aż do sufitu uformowanego z olbrzymich misternych wachlarzy. Niższe okna zrobiono z kolorowego szkła, a górne z przezroczystego – widziałam przez nie mocno błękitne niebo. Zdjęłam plecak i usiadłam w drewnianej ławce. Oparcie uwierało mnie w plecy. Usłyszałam, jak w przedsionku odsuwają się zasuw. Pewnie zaraz tu wpadną. Nie chciałam tego widzieć. Zamknęłam oczy i czekałam. Rozległy się głosy, ale nie mogłam dosłyszeć słów. Drzwi zatrzasnęły się znowu, zasuw zasunęła się. Potem kroki i skrzypnięcie wewnętrznych drzwi.

- Zaczekają. Nie są zadowoleni, ale zaczekają. Powiedziałem, że poprosiłam o azyl w Domu Pana i że nie mogą tu wejść. Niewinne kłamstwo – powiedział z zażenowaniem. – W jak najlepszych zamiarach.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego, nic nie rozumiejąc. Chwilę potrwało, zanim zajarzył, że nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

- Tego właśnie chcesz, prawda? Azylu. Bezpiecznego schronienia – wyjaśnił.

Był młodszy, niż myślałam. Może dobiegał trzydziestki. Chudy, z falującymi, brązowymi włosami z przedziałkiem z boku, z jabłkiem Adama podskakującym nerwowo i z jasnymi oczami.

- Tak – wymamrotałam. – Bezpiecznego miejsca.

Zmarszczył brwi.

- A czy mógłbym zapytać, dlaczego goni cię policja? To znaczy, nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz.

- Myślałam, że zrobiłam coś złego, ale nie zrobiłam.

- Coś poważnego?

- Myślałam, że wysadziłam w powietrze London Eye.

Zmarszczył brwi mocniej.

- Ach. Rozumiem. – Przełknął. Jabłko Adama zupełnie mu zwariowało. – To ty jesteś tą dziewczyną z Londynu, której wszyscy szukają. To poważna sprawa. Naprawdę powinnaś z nimi porozmawiać – powiedział łagodnie. – Wyjaśnić to.

- Tak, ale gliny i tak mnie nie posłuchają. Chcą tylko kogoś zrobić, żeby mieć winnego i zamknąć sprawę. Widział ich pan, myślałam, że to zrobiłam, ale tak nie było. Ja nigdy... - Mój głos podnosił się coraz bardziej, odbijając się echem.

- Na pewno chcą z tobą porozmawiać, ale nie jako z podejrzaną, tylko ze świadkiem.

- Chcą mnie zrobić i zabrali mojego przyjaciela, i...

- Okay, okay. Posłuchaj, proboszcz – mój szef – dodał szybko – niedługo przyjdzie na jutrznię. Porozmawiam z nim. Muszę przygotować kościół.

Mogłabyś tu poczekać, a ja się za to zabiorę? Albo możesz iść za mną. Mnie to nie przeszkadza.

Oparcie ławki wciąż uwierało. Nie chciałam siedzieć dłużej, niż to było konieczne, więc wstałam i chodziłam za nim, gdy się krzątał, otwierał drzwi, zapalał światła i świece.

- A właśnie, nazywam się Simon. – Wykonał półobrót i podał mi rękę. Podałam mu swoją, potrząsnęliśmy dłońmi niezręcznie. Jego była ciepła, delikatna i zaskakująco miękka, jak na tak chudego faceta. – A ty...?

- No, Jem. Jestem Jem.

- Jem. Miło cię poznać.

Zabawnie to zabrzmiało – pewnie tak go wychowali, grunt to maniery. Nie wiedziałam, co należy odpowiedzieć, więc nie powiedziałam nic.

- Masz bardzo zimne ręce. Spałaś na dworze?

- Tak.

Dotarliśmy do przedniej części kościoła, do miejsca oddzielonego od reszty drewnianym parawanem.

- Usiądź tu, w kaplicy, pod ławami jest nawiew ciepłego powietrza.

Rozgrzejesz się. Ja dokończę robotę i zaraz wrócę.

Usiadłam, na miejscu, które mi wskazał, na takim wyściełanym postumencie pod ścianą. Na końcu kaplicy był stół, a na nim złoty krzyż. Na środku zaś mała czarna kolumnienka ze świecą. Brzegiem biegł jakiś napis. Wstałam, żeby zobaczyć: *Dona nobis pacem*. Nie miałam pojęcia, o co chodzi. Po co pisać coś w języku, który rozumieją tylko same mądrale...? To jakby powiedzieli całej reszcie, że może spadać, nie? Przeczytałam słowa, analizując ich dziwność.

Podskoczyłam, kiedy do mnie dotarło, że ktoś stoi w wejściu do kaplicy.



- To tylko ja – powiedział Simon. – Nie chciałem przeszkadzać. Módl się dalej.

- Ja się nie modlę – odparłam. – Ja tylko... czytam.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. To piękne słowa, pełne siły. – Nie zdążyłam zapytać, co właściwie znaczą, gdy rozległ się hałas otwieranych drzwi. Rzuciłam Simonowi zaniepokojone spojrzenie. – Nie martw się, to na pewno proboszcz.

Zniknął z powrotem w kościele. Wstałam i podeszłam do drewnianego parawanu, wyjrzałam przez prześwit między rzeźbami. Przez boczne drzwi wszedł jakiś gość, nieduży, ale zbudowany dość solidnie, łysiejący i w okularach – wyglądał bardziej na jakiegoś dyrektora banku niż na księdza. Rozglądał się na prawo i lewo, przeszukując wzrokiem wnętrze.

Simon podbiegł do niego, a wtedy on ryknął:

- Simonie, na litość boską, co tu się dzieje?! Przed opactwem są uzbrojeni policjanci! Jesteśmy otoczeni!

Simon uniósł ręce, jakby się bronił przed siłą jego słów.

- To tylko dziecko, księżę proboszczu. Przyszła do nas po pomoc, po azyl.

- Simonie, przeszukali mnie. Przeszukali! Zanim mnie wpuścili do mojego własnego kościoła.

- Tak... rozumiem....

- I przestań robić te swoje miny, to poważna sprawa. To się musi natychmiast skończyć. Musimy im oddać tę dziewczynę. Gdzie ona jest?

Wcisnęłam się głębiej w kątek kaplicy.

- Jest w kaplicy, ale... - Natychmiast rozległ się odgłos kroków zmierzających w moją stronę. - ...ale nie możemy jej tak po prostu wyrzucić. To dziecko.

- Simonie, to może być także terrorystka! A w moim kościele, mogę robić co mi się podoba. W końcu ja tu jestem proboszczem.

Byli już bardzo blisko.

- To kościół Boga.

Kroki ustały. Echo zamarło gdzieś pod sklepieniem sufitem i zapanowała cisza.

- Słucham?

Znałam ten ton. „To koniec – pomyślałam. Simon ma teraz poważne kłopoty, ja też”.

- To znaczy, chciałem powiedzieć, że to jest Dom Boży. Oczywiście, my się nim opiekujemy, ale przecież nie należy do nikogo z nas. To znaczy, my jesteście strażnikami, ale... - jego błąkanie ucichło.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Z pewnością... z pewnością, powinniśmy poszukać w naszych sercach odpowiedzi na pytanie, jak postąpiłby Jezus.

„Co on chrzani? – pomyślałam. – Już po mnie”. Ale guzik znałam się na ludziach, bo okazało się, że Simon znalazł idealny tekst, powiedział to jedyne, co mogło mnie uratować.

- Jak postąpiłby Jezus...? – powtórzył proboszcz powoli. – Jak by postąpił...? Simonie, gdzie ona jest?

Teraz jego ton był łagodniejszy.

- Tu jestem. – Wyszłam z za parawanu.

Spojrzał mi w oczy, a ja zobaczyłam jego przyszłość: jeszcze ponad czterdzieści lat, komfort starości, szacunku, bycia kimś.

Nie wiem, co on zobaczył we mnie. Jego twarz nie zdradzała nic, ale po chwili zaproponował:

- Chodźmy więc, pomódlmy się razem.

Zbliżył się do ołtarza w kaplicy i ukląkł.

- Przepraszam, ja... - zaczęłam, ale Simon uniósł palec do warg i pokręcił głową, po czym też ukląkł, ciągnąc mnie za sobą.

Proboszcz zaczął modlitwę, wypowiadał słowa, których nie rozumiałam, jakby rozmawiał z kimś, pytał o coś, ale oczywiście nikogo tam nie było, tylko nas troje. Potem zamilkł. Nie wiedziałam, co mam robić. Trzymałam złożone dłonie, czując się jak idiotka. Nie miałam pewności, czy powinnam mieć oczy otwarte czy zamknięte, więc ukradkiem podejrzałam, co robią Simon i proboszcz. Klęczeli jak dwa anioły na kartce świątecznej, skupieni, zatopieni we własnym świecie. Kolana zaczynały mnie boleć, zwłaszcza to, które wykręciłam, przełaząc przez płot. Poruszyłam się, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję, po czym usiadłam porządnie, zastanawiając się, kiedy poznam swój los.

Po paru godzinach, a może minutach milczącej modlitwy, obaj otworzyli oczy i wstali. Ja też się poderwałam. Proboszcz podszedł do mnie i ujął moje ręce.

- Dziecko, jesteś mile widziana w Domu Bożym. Szukałaś u nas azylu i znajdziesz go na jakiś czas. – Simon promieniał. – To dla nikogo nie będzie łatwe. Ale przede wszystkim musisz mi teraz szczerze odpowiedzieć: czy masz przy sobie jakąś broń albo coś w tym rodzaju?

Pokręciłam głową.

- Nie.

- Żadnych kastetów, pistoletów, noży? Środków wybuchowych? – drażył, patrząc na mój plecak na ziemi.

- Nie.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, byśmy ja albo Simon tam zajrzeli?

Miałam. Mimo, że były to rzeczy Britney, teraz należały DO MNIE. Z drugiej strony tu nie mogłam sobie pozwolić na kłótnie. Otworzyłam plecak i wysypałam wszystko, całą zawartość, na wykładaną kaflami podłogę: jedzenie, butelki wody, moje papierosy, czyste majtki.

- Tutaj nie wolno palić. Z pewnością to rozumiesz.

Wzruszyłam ramionami.

- A kieszenie...?

Z kieszeni kurtki i dżinsów wyciągnęłam stare chusteczki, zapalniczkę i ostatnie monety. Dołożyłam je do stosu na podłodze. Miałam piętnaście lat i to był cały mój dobytek.

- Obawiam się, że powinniśmy cię przeszukać.

Rzuciłam proboszczowi ostrzegawcze spojrzenie. „Mam cię – pomyślałam. – Obrzydliwy staruch znalazł powód, żeby wsadzać paluchy tam, gdzie nie trzeba”. Byłam gotowa się bronić, choć ci księża nie wyglądali na wielkie zagrożenie.

- Simonie – powiedział proboszcz – czy możesz?

Młody wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego.

- Przepraszam.

Delikatnie przejechał po plecach, pod ramionami i w dół ciała. Przykucnął i sprawdził nogi, odwracając twarz od krocza, ale i tak czerwieniąc się po uszy. Kiedy skończył, na czole miał krople potu – pewnie ze stresu. Mogłam spokojnie założyć, że rzadko mu się zdarzało znaleźć tak blisko kobiety.

- Wszystko w porządku – oznajmił, prostując się. – Jest czysta.

- To dobrze. Pozbieraj swoje rzeczy, a ty, Simonie, zaprowadź naszego gościa...

- Jem – wtrącił szybko Simon.

- Zaprowadź Jem do zakrystii. Ja tymczasem porozmawiam z policją i wytłumaczę im, żeby zrezygnowali z tego obłączenia. Musimy otwierać kościół, wierni przyjdą na jutrznię.

Ruszył w stronę głównego wejścia, śpiesząc się, by skierować porządek dnia na stare tory. Tymczasem Simon zaprowadził mnie do pokoju na uboczu, gdzie były stół i krzesła, i jeszcze wieszak z mnóstwem płaszczy i innych ubrań.

- Połóż swoje rzeczy tutaj. – Po przeszukaniu wyraźnie miał kłopoty z patrzeniem mi w oczy. – Wiesz co, nastawię wodę. Niestety, nie mamy mleka, ale i tak mogę zrobić ci kawę lub herbatę. Pójdę tylko po wodę.

Zniknął w łazience, ale drzwi zostawił otwarte. Kurek był odkręcony długo, gdy mydlił ręce, słyszałam chlupotanie, potem rozpoznałam odgłos napełnianego czajnika. Po spaniu na dworze moje ciuchy nie grzeszyły czystością, ale miałam wrażenie, że Simon zmywał nie tylko błoto i trawę.

Kiedy wrócił, znów szczerze się uśmiechał.

- Już mi lepiej. Herbaty czy kawy...?

## Rozdział 30

**B**ędę z nimi rozmawiać pod jednym warunkiem: muszą puścić Pająka, mojego kumpla. Muszę go zobaczyć. On niczego nie zrobił. Jeśli go puszczą, będę mówić. Możecie im to powtórzyć.

Proboszcz głośno, jak zabytkowy parowóz, wypuścił powietrze z płuc.

- Czy naprawdę musimy to w kółko przerabiać...? Młoda damo, masz poważne kłopoty. Jeśli nie zrobiłaś niczego złego, nie masz nic do ukrycia, powinnaś porozmawiać z policją. Nic ci się nie stanie, jeśli powiesz prawdę.

Prychnęłam.

- Tak, jasne.

Rozdał nozdrza.

- Nie podoba mi się takie podejście. Wydarzyły się straszne rzeczy. Zginęli niewinni ludzie. Musisz powiedzieć prawdę. Trzeba znaleźć sprawców. To nie jest nic zabawnego.

- Ja się nie śmieję – odpowiedziałam. – Ale rozmawiać z glinami nie będę. Nie ufam im. Dlaczego niby? Przecież trzymają mojego przyjaciela.

- Jest podejrzany – odpowiedział proboszcz, powoli wymawiając każde słowa, jakby mówił do małego dziecka albo cudzoziemca. – Trzymają go, ale jeśli nie zrobił nic złego i wyzna prawdę, to go wypuszczą. Może... - głos księdza złagodniał – może czasami nie znamy ludzi tak dobrze, jak nam się wydaje. Może twój... twój przyjaciel nie powiedział ci wszystkiego. Może zostałaś wpłątana w coś, o czym nie wiesz...

- Nie! – krzyknęłam, aż mój głos poniósł się echem. – To nie tak. Wykręcacie wszystko, usiłujecie zrobić z Pająka kogoś, kim nie jest. A to nie on coś wie o London Eye, tylko ja!

Teraz proboszcz i Simon wpatrywali się we mnie ze skupieniem.

- Mów dalej.

- Niczego nie zrobiłam. Po prostu wiedziałam, że coś tego dnia się stanie, że dużo ludzi zginie.

- Skąd wiedziałaś...?

Czekają, aż im powiem, że to ja podłożyłam bombę.

- Widzę dzień, datę, kiedy ktoś umrze.

Popatrzyli na siebie szybko.

- Teraz też mogłabym wam powiedzieć, kiedy nadejdzie wasz koniec, ale nie zrobię tego. Nigdy ludziom nie mówię, to nie w porządku. Ale gdy zobaczyłam, że turyście wtedy w Londynie mają ten sam dzień, wystraszyłam się. Nie chciałam przy tym być, więc uciekliśmy.

- Chcesz powiedzieć, że widzisz datę...?

- Jeśli spojrzę komuś w oczy, widzę numer. On jest w mojej głowie, a jednocześnie mam go przed oczami. Ten numer to data.

- Skąd wiesz, co te numery znaczą?

- Widziałam dość umierających ludzi. Wiem. A poza tym, chyba miałam rację, no, z London Eye. Miałam rację, że uciekłam.

Popatrzyli po sobie.

- Dlaczego nie poszłaś na policję, nie powiedziałaś im tego, co wiesz?

- A jak myślicie...? To takie proste, tak? Powiedz prawdę i wszystko będzie dobrze. Może i tutaj tak jest, ale tam, skąd ja pochodzę, nie. Widzą czarnego dzieciaka z odrobiną kasy, to uważają, że mają dilerę. Spotykają parę samotnych dzieciaków, widzą dwójkę bandziorów. Muszą kogoś zgarnąć za przestępstwo, to kogoś zgarniają, jednego ze standardowych podejrzanych, kogokolwiek, kto im pasuje, nieważne. Prawda i kłamstwo, wszystko się miesza. Nikt by mi nie uwierzył.

- To, co mówisz, na pewno jest... niecodzienne – proboszcz starannie dobierał słowa – ale jeśli w to wierzysz, powinnaś powiedzieć policji. Mogą zrobić jakieś testy, które cię oczyszczą, sprawdzić, czy na twoim ubraniu nie ma śladów środków wybuchowych albo coś innego...

- A to znaczy, że mogą mnie też zrobić.

Wściekł się.

- Nie! – krzyknął, wałąc pięścią w drzwi. – W tym kraju tak się nie dzieje! Są procedury, weryfikacje, kontrola. Musisz ufać systemowi. To dzięki niemu mamy tu cywilizację!

Zamknęłam oczy. Co można powiedzieć ludziom, którzy albo sami są częścią systemu, albo są na tyle naiwni, żeby wierzyć w całe te oficjalne bzdury. Zresztą nie mogłam się z nimi kłócić. Nie odnajdywałam słów, które zmusiłyby ich do słuchania, do szanowania mnie. Nie znałam ich języka.

Wpuścili policjantów. Oczywiście ci jak zwykle sprowadzili kogoś z socjalki. Nadzieję, że Simon i proboszcz mogą mnie obronić, pogrzebałam już podczas wykładu o naszym cywilizowanym społeczeństwie, ale i tak zabolęło jak zdrada.

Nie odpowiadałam na pytania śledczych. Jedyne, co mówiłam w kółko, aż myślałam, że doprowadzę ich do szału, to: „Będę mówić, jeśli sprowadzicie mojego przyjaciela. Będę mówić, gdy zobaczę Pajaka”.

Próbowali wszystkie; dobry glina, zły glina; miły glina, zirytowany glina; współczujący glina, grożący glina. Nic mnie nie ruszało, pozwalałam, by spływały po mnie ich gadki, a oni byli coraz bardziej sfrustrowani. Wezwali nawet psychologa, ale z nim też nie rozmawiałam. Miałam całkowitą pewność, że jeśli mu zacznę opowiadać o numerach, wyląduję na jakimś oddziale zamkniętym, pod kluczem i naszprycowana prochami.

Z zewnątrz dobiegł mnie jakiś ruch. Drzwi się otworzyły i weszła kolejna kobieta: Karen. Szczerze mówiąc, potrwało parę sekund, zanim przypomniałam sobie, skąd ją znam. Odkąd wyszłam z jej domu, tyle się stało, jakbym przeżyła zupełnie inne życie.

- Jem! – zawołała i z otwartymi ramionami na pół przeszła, na pół przebiegła przez pokój. Przytuliła mnie i nagle znalazłam się z powrotem w jej kuchni na Sherwood Road. Znowu byłam dawną Jem, sprzed tych wszystkich wydarzeń.

Trzymała mnie długo. Z jej uścisku płynęło sporo uczucia – to mnie zaskoczyło i niemal odrzuciło, ale nie odsunęłam się. Czyżby naprawdę za mną tęskniła? Raczej powinna się cieszyć, że ma parę dni spokoju.

W końcu puściła mnie i trochę się odsunęła.

- Jem, co z tobą? Nic ci nie jest? Tak się martwiłam. Gdybyś mi tylko powiedziała...

Na jej twarzy widać było ból i niepokój.

- Nic mi nie jest – odparłam, ale zdradziło mnie drżenie głosu.

- Wyglądasz na zmęczoną, jesteś okropnie blada. – Pogłaskała mnie pulchną dłonią po policzku. – Już dobrze, Jem. Możesz wrócić ze mną do domu. Pewnie policja będzie chciała znowu z tobą porozmawiać, pewnie jutro, ale ja zostanę przy tobie. Dzisiaj możesz wrócić do domu...

Dom. Myśl o Sherwood Road, o dzielnicy, bliźniakach, wszystko znowu w normie.

- Nigdzie nie idę, nie bez Pajaka.

- Jem, musisz odpuścić. Strasznie dużo przeszłaś, wiem. Teraz daj mi się trochę sobą zająć. Proszę, wyluzuj na chwilę.

- Zostaję tutaj.

Zmarszczyła brwi.

- Jem, tego chyba nie możesz zrobić. Tu się nie mieszka.

- Mogę tu zostać i zostanę. Zostanę, dopóki nie przyprowadzą Pajaka. Nie zabierzesz mnie. Nie możecie mnie zmusić.

Położyła mi rękę na ramieniu.

- Jeśli nie chcesz, nikt cię nigdzie nie zabierze. Ja cię tylko proszę – proszę, Jem – żebyś wróciła do domu...

Strząsnęłam jej dłoń.

- Nie idę, Karen. Zostaję tutaj. – Jej twarz natychmiast się postarzała. Westchnęła i pokręciła głową.

- Nie jesteś taka twarda, Jem. Pewnego dnia to zrozumiesz, a ja będę wtedy przy tobie...

Wzięła swoją torebkę i wyszła. Nie słyszałam, o czym rozmawiała z policją, ale miałam to gdzieś. Jeśli chcą, mogą sobie o mnie gadać. Simon pewnie o tym nie wiedział, ale dał mi coś cennego i potężnego, jedyną broń, którą mogłam władać, jedno słowo: *azyl*.

Wrócili – Karen, Imogen z socjalki, Simon i proboszcz.

- Nie możemy zostawić cię tu samej – powiedział proboszcz zmęczonym głosem.

- Dlaczego nie?

- Bo masz piętnaście lat. To nie wypada.

- Od paru dni radzę sobie sama.

- Jem, bądź rozsądna – wtrąciła Karen.

- Nigdzie się nie ruszam. Mogę spać tutaj. Jest bezpieczniej niż na ulicy.

Popatrzyli na siebie.

- Powinnam wracać – powiedziała Karen. – Sąsiadka ma oko na dzieci, ale... spróbuję sprawdzić, czy mogłabym dziś przespać się tu z Jem.

Popatrzyła na Simona, potem na proboszcza, który kiwnął głową.

- Gdyby pani mogła zostać, Karen, zorganizowalibyśmy dla was posłania.

Karen wykonała parę telefonów i było jeszcze trochę gadania bez sensu.

Wszystko robili po dorosłemu – mówili, jakby mnie tam w ogóle nie było. Proboszcz zaczął nawet nadawać o tym, że mogę zdewastować kościół, ale wtedy stanowczo wtrąciła się Karen:

- Będę tutaj. Ręczę za nią. Zresztą, Jem w głębi serca nie ma skłonności do przemocy. Miała kłopoty w szkole, ale moim zdaniem została sprowokowana. Tu niczego nie zniszczy.

Siedziałam nieruchomo, skubiąc skórę przy paznokciu kciuka. Podniosłam wzrok, Karen pochwyciła moje spojrzenie. Wiedziałam, że obie myślimy o tym moim pokoju u niej i o rzeczach rozbitych w drobny mak tej nocy, zanim odeszłam.

Pojawiła się żona proboszcza Anne z paroma kołdrami i poduszkami i wspólnie z Karen zrobiła na podłodze dwa posłania. Przyniosła nam też trochę jedzenia: paczuszki, które położyła na stole.

Potem proboszcz, Simon i Anne przeszli do pożegnań. Simon opowiadał Karen, co i jak działa, wyłączyłam się na chwilę. Kiedy znowu zaczęłam słuchać, zniżył głos, ale i tak wyłapałam poszczególne słowa.

- Gdyby miała pani kłopoty – mówił – i gdyby było to konieczne, w zakrystii są zapasowe klucze. W szufladzie biurka. Klucz do bocznych drzwi jest oklejony żółtą taśmą.

- Okay – powiedziała Karen. – Dziękuję.

Wyszli cicho przez boczne drzwi. Za nimi dostrzegłam kawałek zewnętrznego światła. Zebrał się tam niezły tłumek i stado policjantów. Kiedy drzwi się otworzyły, błysnęły flesze, jak w dyskotecie. Boże, co tam się dzieje? Ludzie krzyczeli, istny cyrk. Ekipa z opactwa wydawała się wstrząśnięta, cofnęłam się, schodząc z widoku.

Ostatni wyszedł Simon, w jego rękę brzęczał pęk kluczy. Zamykając drzwi, zawahał się, przez pięciocentymetrową szparę powiedział:

- Dobranoc paniom. Miłych snów.

Uśmiechnął się nerwowo i domknął drzwi, a po chwili rozległ się szcęk wielkiego, metalowego klucza w zamku, dziwnie płynny.

Po drugiej stronie okien niebo płonęło, jakby ktoś rozpałił ognisko, oświetlając wnętrze opactwa. Oparłam się o drzwi, nasłuchiwałam hałasu na dworze.

- No dobra – oznajmiła Karen. – Zobaczmy, co nam zostawiła Anne. To całkiem niezła zabawa, jak kemping, nie? Byłaś kiedyś na kempingu, Jem?

## Rozdział 31

**R**ozpakowałyśmy paczki z jedzeniem. Anne przyniosła nam kanapki, domowe ciasto, chrupki. Karen zrobiła herbatę i usiadłyśmy po dwóch stronach stołu.

Czekałam na dociekliwe pytania, na to, że będzie chciała usłyszeć wyjaśnienia, ale ona spokojnie paplała o bliźniakach i całym tym medialnym zamieszaniu – najwyraźniej reporterzy przez cały czas okupowali jej drzwi. Myślałam, że zapyta o numery, przecież krążyły już o tym plotki, ale, oczywiście, ona zadała pytanie typowe dla mamusiek:

- No, to co jest między tobą a Terrym, no, Pająkiem...? Chyba jesteście więcej niż przyjaciółmi, nie...?

Nie chciałam o nim mówić, nie z nią, ale dotarło też do mnie, że lepiej ją mieć po swojej stronie. Może pomoże mi go zobaczyć...? Tylko dlatego nie powiedziałam jej, że to nie jej biznes, choć miałam na to cholerną ochotę.

- Tylko przyjaciele – wymamrotałam. – Dobrzy przyjaciele...

Po moich policzkach rozlało się niepokojące ciepło. Boże, to okropne, kiedy własne ciało człowieka zdradza. Zobaczyła, jak się rumienię, i uśmiechnęła się.

- Ale lubisz go – powiedziała porozumiewawczo.

Mało nie trafił mnie szlag. Tak, lubiłam Pajaka. Myślałam o nim w każdej minucie. Jego nieobecność sprawiała mi ból. Kochałam go. Tylko że tego nie mogłam powiedzieć na głos – nikomu oprócz niego.

- Tak, naprawdę go lubię – stwierdziłam, usiłując uspokoić głos, siłą woli zmusić rozpaloną skórę twarzy by ochłodziła i wróciła do normy. – I naprawdę muszę go znowu zobaczyć. To ważne, Karen. Muszę go zobaczyć.

Uśmiechnęła się do mnie ze zrozumieniem.

- Wiem, jak to jest. Wiesz, sama kiedyś byłam młoda. – Rany, ile typowych tekstów starych przyków ona jeszcze wyciągnie...?! – Jem, zobaczysz go. Policja go trzyma, ale nikt nie wierzy, że któreś z was podłożyło bombę. Chcą z wami porozmawiać jak ze świadkami. No, kradzieże samochodów i to, co tam jeszcze robiliście przez ostatnie dni, też trzeba jakoś wytłumaczyć. Ciągle też nie wiemy, co będzie w sprawie tego noża w szkole... - Westchnęła. – Jem, nie chcę ci wmawiać, że nie masz kłopotów, ale możemy sobie z nimi poradzić. Najważniejsze, abyś współpracowała z policją, a wtedy na pewno pozwolą się wam zobaczyć.

- Ale kiedy?! – wykrztusiłam. – My nie mamy czasu!

- Moja droga, musisz się nauczyć cierpliwości. Wiem, że to trudne...

- Nie mamy czasu, słyszysz! Albo przed piętnastym, albo nigdy!

- Nie bądź niemądra. Macie po piętnaście lat. Jeszcze zdążycie się sobą nacieszyć.

- Nie, nie zdążymy. Ty nie rozumiesz.

- To mi wytłumacz.



Skoro nie miałam wyboru, wyłożyłam jej wszystko. Opowiedziałam o numerach tak, jak wyznałam Pająkowi moją tajemnicę, tamtego dnia, kiedy London Eye wyleciało w powietrze.

Przez cały czas wyglądała dość niepewnie, majstrowała przy folii, w którą było zawinięte jedzenie, a kiedy skończyłam, roześmiała się tak jakoś nerwowo.

- Jem, daj spokój. Chyba w to nie wierzysz?

- Nie chodzi o to, czy wierzę, czy nie. Tak jest i już.

Prychnęła i popatrzyła na swoje palce, niespokojnie gniotące folię.

- To nie jest prawda, Jem. W prawdziwym życiu tak się nie dzieje.

- Karen, w moim życiu to się dzieje od piętnastu lat!

- Jem, czasami wszystko się miesza. Wiem, jak miałaś ciężko. Przeszłaś tyle nieszczęść i zmian. Wiedziałam o tym, kiedy zgodziłam się cię przyjąć.

Czasami, kiedy jest za trudno, usiłujemy znaleźć własny sens, sposób, by po swojemu sobie poradzić...

Ciągle niczego nie rozumiała.

- Ja tego nie wymyśliłam! Myślisz, że chcę tak żyć?!

- Dobrze, już dobrze. Uspokój się. Wiem, że nie wymyśliłaś tego specjalnie. Tylko mówię, że czasami rozum człowieka oszukuje.

- Chcesz powiedzieć, że mam iść do psychiatry?

- Nie, potrzebujesz tylko porządnego domu. Z tobą nie dzieje się nic złego, nic, czego by nie wyleczyła odrobina stabilności czy... miłości. I ja ci to usiłuję dać...

Spojrzała na mnie nerwowo. Przywykła, że takie rzeczy ciskałam jej z powrotem w twarz.

Chociaż miałam ochotę wrzeszczeć z rozczarowanie, rozumiałam, o co jej chodzi. Gdyby ktoś inny opowiedział mi moją historię, myślałabym, że robi sobie jaja albo że to jakaś schiza czy coś. Nie uwierzyłabym. Świat Karen składał się z rytuałów i zasad. Jej stopy w rozmiarze siedem twardo stąpały po ziemi. Oczywiście, że to dla niej nie miało żadnego sensu. Patrzyła na mnie, czekając na zupełnie normalnego kopniaka. I racja, przed paroma tygodniami odepchnęłabym ją, ale dziś zadałam sobie pytanie: „Po co?”.

- Wiem o tym, Karen – powiedziałam. – Wiem.

Zacisnęła blade wargi w pełnym napięcia uśmiechu wdzięczności i uznania dla wysiłku, jaki włożyłam w wypowiedzenie tych słów.

- Jeszcze herbaty, skarbie?

Kiwnęłam głową.

- Tak. Rozprostuję nogi, zanim się woda zagotuje.

Wstałam i wyszłam do kościoła, ponownie porażona jego rozmiarem, przestrzenią nad głową. Na podłodze były kamienie z wyrytymi napisami. Stałam na jednym z nich, na nagrobku kogoś zmarłego dwieście trzydzieści lat temu. Ściany też były tego pełne. Słowa przetrwały setki lat – opisy ludzi, których nikt już nie pamiętał. Otaczały mnie kości i duchy.

Rozglądałam się, zatrzymywałam tu i tam, żeby przeczytać kamienne napisy. Powinnam dostać od tego gęziej skórki, ale nie. Podobało mi się – ta otwartość w podawaniu numerów ludzi. Kamienie zawierały fakty: data urodzenia, data śmierci. Numery były w porządku – to słowa niepokoiły: *Zasnął. Spoczął w Panu. Powołany przez Stwórcę. Odszedł do lepszego świata*. Zatrzymałam się przed tym ostatnim. Czy to pobożne życzenie, wiara czy przekonanie...? Gdybym ja projektowała ten nagrobek, wytarłabym trzy ostatnie słowa. Zostawiłabym tylko: *Odszedł*. To było pewne. Czy ktokolwiek na sto procent wie coś więcej...?

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest teraz moja mama albo to, co z niej zostało. Co się stało z jej ciałem po tym, jak zabrali mnie samochodem? Pochowali ją gdzieś, skremowali...? Był jakiś pogrzeb? Ktokolwiek przyszedł...? A może ćpani, bezdomni i dziwki po prostu lądują w rowie...? Nagle naprawdę zapragnęłam, by miała grób. Chciałam, by jej skopane, sprapane życie miało przyzwoity koniec.

Poczułam dreszcz. A Pająk, jak on skończy...? Wydawało mi się niemożliwe, że za niewiele ponad dobę będzie potrzebował nagrobka. Jak ktoś tak żywy, tak pełen energii może po prostu zniknąć?! Poczułam przypływ paniki. Nieważne, co myśli Karen, ja wiem, że życie Pająk to już tylko kwestia godzin, minut. Tyle razy widziałam jego numer. Nie zmienił się. Był prawdziwy. Pająk umrze w więzieniu albo w areszcie. Pewnie pobity. O ile nie zabierze go jakaś choroba. Może nawet już jest chory, dopadło go coś banalnego, nikt nie wie, że to będzie śmiertelne. Nie mogłam czekać, aż ktoś do mnie przyjdzie i powie mi, że jest za późno. Muszę zmusić policjantów, żeby puścili Pajaka.

- Herbata gotowa – głos Karen odbił się echem w olbrzymim pustym kościele.

Wróciłam do zakrystii, zdecydowana znaleźć sposób, żeby go zobaczyć. Całe życie byłam jak korek na morskiej fali, rzucona z domu do domu, nie miałam nic do powiedzenia w sprawie swojego losu. Teraz musiałam przejąć kontrolę.

Wypiłyśmy herbatę i szykowałyśmy się do snu. Karen znów paplała, usiłując mnie rozerwać. Byłam już tak padnięta, że niemal zasypiałam. Pozwoliłam jej przykryć się kocem i słuchała, jak sapiąc, sama też się kładzie.

- Całkiem wygodnie, nie? – zapytała sztucznie pogodnym tonem, używanym do szukania jasnych stron życia.

- No... nie. Ale i tak lepiej niż pod krzakami.

- Spałaś pod krzakami?!

- Mhm.

- No, no. Zdrzemnij się, a jutro więcej pogadamy o twoim powrocie do domu i wyspaniu się w prawdziwym łóżku. – Jej kołdra szeleściła, kiedy się pod nią wierciła. – Wiesz, Jem, masz rację, wątpię, bym zdołała tu przespać więcej niż jedną noc, podłoga jest taka twarda...

Ale po niecałych pięciu minutach chrapała cicho. Kompletnie nieprzytomna.

Może i ja zasnąłabym, ale czułam się tak, jakby oddech Karen wypełniał całe pomieszczenie. To było na maksa wkurzające. Do tego zazdrościłam jej – jak ta paniusia potrafi tak po prostu zasnąć?! Głowę miałam nabitą wydarzeniami ostatnich dni, myśli wybiegały w przyszłość. Minęło jakieś pół godziny, a już wiedziałam, że będę musiała wstać albo zamordować ją na miejscu. Morderstwo nawet mnie wydało się lekką przesadą, dlatego powoli odgarnęłam kołdrę i podniosłam się.

Przypomniałam sobie, co Simon szeptał Karen przed wyjściem. Podeszłam na palcach do biurka, cichutko wysunęłam szufladę. Rzeczywiście, były w niej klucze, cały wielki pęk. Kiedy chciałam je wziąć, zaszczękały, rozległ się metaliczny, przenikliwy dźwięk. Wyciągnęłam ze spodni bluzę i owinęłam klucze jej brzegiem. Potem wyszłam z zakrystii do ciemnej jaskini kościoła.

## Rozdział 32

**W** kościele nie było zupełnie ciemno. Przez witrażowe okna przedostawało się światło ulicznych lamp. Kiedy oczy przyzwyczyły się do mroku, zaczęłam rozpoznawać kształty: ławki, posągi, kolumny, wszystko w odcieniu szarości. Wiedziałam, że drzwi na końcu i z boku prowadzą na zewnątrz, ale nie chciałam opuszczać kościoła – byłam całkiem pewna, że póki tu jestem, mam lepszą pozycję do negocjacji. Chciałam pozwiedzać.

Wybrałam niewielkie drzwi obok ołtarza i zaczęłam szukać właściwego klucza. Trzeci z kolei zadziałał. Drzwi prowadziły do małego pokoiku pełnego śmieci, w każdym razie tak to wyglądało. Resztki kamienia i drewna. Poza tym było tu ciemniej niż w nawie głównej, ale udało mi się dostrzec kolejne drzwi na końcu składziku. Odnalazłam klucz. W środku było jeszcze mroczniej, w ostatnich światła raczej domyśliłam się, że są tu kamienne schody, wijące się wokół centralnej kolumny. Na moment się zawahałam. Czy to mądre, iść po ciemku na górę? Weszłam na pierwszy stopień i oparłam ręce o zimną ścianę. Wymacałam coś kanciastego, przełącznik. Przycisnęłam i schody wyłoniły się z mroku – teraz miałam pewność, że wiły się w górę, niknąc gdzieś w ciemności.

- Ruszaj – powiedziałam na głos, usiłując dodać sobie odwagi.

Słowa odbiły się echem od kamieni. Gadanie do siebie nawet w normalnej sytuacji nie wróży dobrze, nie? W kościele to brzmi całkiem porąbanie.

Zaczęłam wspinać się na schody. Nogi trochę mi się trzęsły, kolano nadal nie działało najlepiej, ale szłam spokojnie, krok za krokiem. Widziałam tylko na parę kroków naprzód. Wkrótce straciłam z oczu podłogę. Zaczęłam mieć wrażenie, że mogę tak iść do samego końca świata.

Wszystko było tu zimne – kamienie pod stopami, ściany, nawet powietrze było chłodniejsze. Właśnie zaczynałam się zastanawiać, czy nie powinnam wrócić po tenisówki i kurtkę (albo po prostu wrócić!), kiedy dotarłam na szczyt. Schody po prostu się skończyły, przede mną była ściana, ale znowu wypatrzyłam drzwi. Klucze. Otworzyłam zamek i poczułam podmuch zimnego powietrza. Przeszłam przez drzwi i uśmiechnęłam się, nie mogąc się powstrzymać: byłam na dachu.

Nie mam lęku wysokości – na szczęście – ale kiedy wyszłam na dach kościoła, zrobiło mi się niedobrze i zawirowało mi w głowie. Po wspinaczce dyszałam jak zziębnięty pies. Usiadłam i zwiesiłam głowę. Od wdychania ostrego powietrza bolały mnie płuca. Próbowaliśmy oddychać przez nos, żeby trochę ogrzać powietrze i nawet to odrobinę pomogło. Powolutku wracałam do normy. Po obu stronach dachu była mała kamienna balustrada. Jak wszystko inne tutaj, została wyrzeźbiona we wzory z dużymi prześwitami. Nawet gdy siedziałam, z poziomu podłogi widziałam przez nie dachy wokół. Wstałam, przytrzymując się kamieni.

Boże, jaki stąd był piękny widok! Zupełnie inne miasto. Zero brudu na ulicach, tylko dachy i kominy, wieże, place i łuki. W pomarańczowym świetle latarni jasny kamień wydawał się ciepły, budynki niemal lśniły. Na dworze był mróz, widać było sznury światełek, przecinające wąskie uliczki. Na placu obok opactwa wciąż gromadził się niezły tłumek – niektórzy siedzieli na ławkach lub na ziemi, inni stali pod drzewem, kręciło się też sporo policjantów. Zaskakujące, jacy głupi mogą być turyści – żeby w taką noc siedzieć na dworze.

Na dachu wznosiła się potężna wieża. Nie rozglądając się na boki, przesuwałam się w jej kierunku, aż dotarłam o wejścia. Klucze znowu mnie nie zawiodły. Po chwili byłam w środku. Macałam ściany w poszukiwaniu przełącznika. Trafiłam na kolejne schody, które prowadziły do większej liczby pomieszczeń. Jedno z nich pełne było grubych sznurów zwisających z sufitu, przywiązanych do uchwyty na ścianie. Nie załapałam, do czego służą, dopóki nie zobaczyłam nad głową fotografii z podpisem: *Dzwonnicy opactwa. 1954.* To były sznury dzwonów! Aż mnie palce świerzyły, żeby je odwiązać i porządnie pociągnąć za któryś!

Z pomieszczenia dzwonniczego także prowadziło kilkoro drzwi. Wybrałam takie ze schodami. W dół i w górę, mijałam kolejne pomieszczenia. Jedno z nich całkowicie różniło się od pozostałych. Prowadził przez nie drewniany mostek, zawieszony nad kamienną podłogą, która opadała po obu stronach, tworząc dziwne fale. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to wygląda jak negatyw sufitu widzianego z dołu. Pod stopami miałam wachlarze sklepienia! Włosy stanęły mi dęba – miałam wrażenie, jakbym znalazła się w świecie po drugiej stronie lustra!

Na końcu mostka czekały na mnie kolejne drzwi. Te prowadziły do malutkiej Sali, ale była to ślepa uliczka. Na przeciwległej ścianie zobaczyłam wielkie białe koło, podświetlone miękkim światłem od ulicy. Na jego brzegach zrobiono znaki – godziny – widziałam też dwa patyki – wskazówki. Miałam przed sobą kościelny zegar! Wzdłuż dwóch ścian wyrzeźbione zostały kamienne siedziska. Usiadłam na jednym, twarzą do zegara – bawiłam się świetnie, w końcu w życiu nie byłam w tak dziwnym miejscu. Czułam się tak, jakbym siedziała na środku księżycy. Potem jeden z trybów zegara stuknął, poruszył się, przesuając minutową wskazówkę. Minęła kolejna minuta – poczułam bolesny uścisk w sercu i Pająk znowu pojawił się w moich myślach.

Na całym świecie zegary wyznaczały każdą kolejną sekundę, minutę i godzinę. Dalej i dalej. Tysiące, miliony zegarów. Gdybym miała pod ręką cegłę, rzuciłabym nią w okrągłą tarczę, tak żeby szkło roztrysnęło się w noc. Rozbiłabym wszystkie zegary na świecie. Tylko co by to dało...? *Nie strzelaj do postańca* - tak się mówi, nie?

Kiedy tak siedziałam, dotarło do mnie, że mam pretensje sama nie wiem do kogo. Szukałam winnego, tymczasem każdy wie, że w środku tego wszystkiego ktoś już był. Ja. Ja jedna widziałam numery. Widziałam coś, czego nie widział

nikt inny. Moje oczy, mój umysł, ja. Czy numery były prawdziwe, czy też zmyślane, były mną, a ja nimi. Czy beze mnie w ogóle by istniały?

Tryby znowu drgnęły i minutowa wskazówka przesunęła się do przodu. Nagle poczułam, że muszę się stąd wydostać. Udusiłabym się, gdybym została choć chwilę dłużej. Zerwałam się i ruszyłam biegiem przez mostek, a potem znów schodami, na oślep, na sam dach wieży.

Na schodach było zimno, ale lodowaty powiew świeżego powietrza znów był dla mnie szokiem. Stałam na płaskim dachu, pośrodku wznosił się jakiś maszt, a wokół biegła kamienna balustrada. Widok stąd był jeszcze lepszy – nawet okoliczne wzgórza rozświetlone były przez pomarańczowe światła miasta. Wypatrzyłam basen na jednym z dachów, podświetlana turkusowa woda. A niemal tuż pode mną inny basen, kwadratowy i zielony, z posągami dookoła i parą unoszącą się nad powierzchnią. Wydawało się, że można skoczyć z wieży prosto do wody. Skoczyć i wszystko wymazać – wspomnienia, ból, winę. Wystarczyłoby wleźć na tę balustradę i... hop!

Daleko z dołu doleciał mnie głos:

- Tam jest!

Na placu przed opactwem oświetlone twarze były teraz zwrócone ku górze. Z tak daleka wszystkie wyglądały jednakowo, tłum laleczek. Dotarło do mnie, że ci ludzie to nie żadni turyści, że są tu, by zobaczyć mnie!

Ktoś wrzasnął, jego przerażenie dotarło do mnie na ułamek sekundy po tym, jak opuściło tych z dołu, zarażając mnie, nagle wywołując u mnie strach. Wydawało mi się, że ziemia wiruje, ludzie zlali się w przypadkowy wzór, który falował i przesunął mi się przed oczami.

Nogi się pode mną ugięły, opadłam na kamienie. Kogo ja chcę oszukać? Nie mogłabym stąd skoczyć – opuściły mnie siły i wola. Łydki mi się trzęsły, nie byłam w stanie zejść po schodach. Zjechałam więc na tyłku, z jednego stopnia na drugi. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało – nie zamknęłam drzwi za sobą, po prostu zjechałam, poczołgałam się na sam dół kościoła, a potem przez zimną podłogę do zakrystii.

Zwinęłam się na swoim posłaniu obok Karen i mocno zamknęłam oczy, ale numery nadal tkwiły mi w głowie: mamy, Karen, starego włóczęgi, ofiar ataku terrorystycznego. I Pajaka.

## Rozdział 35

**Z** tego dnia zapamiętałam, że strażnicy, albo może sama policja, trzymali pozostałych z daleka. Jacyś ludzie przynosili mi jedzenie i usiłowali ze mną rozmawiać. Pozwoliłam im zdjąć sobie tenisówki i przykryć się kocem. Przez całe popołudnie leżałam zwinięta w kłębek, zamknięta w kręgu milczenia, aż w końcu, długo po zmroku, zostawili mnie wreszcie. Wszyscy, oprócz Anne, która na ochotnika została ze mną na noc.

Chwilę po tym, jak dzwony opactwa wybiły ósmą, usłyszałam, jak się kręci po zakrystii. Obróciłam się na improwizowanym posłaniu.

- Przyniosłam zupę w butelce. Chcesz trochę?

Zrobiło mi się lekko niedobrze, byłam całkiem zdezorientowana. Usiadłam powoli.

- Nie wiem.

- Należę trochę, może nabierzesz ochoty.

Usiadła za stołem z miską przed sobą. Powoli wstałam i dołączyłam do niej. Nie byłam w zasadzie głodna, ale spróbowałam trochę zupy. Była pyszna, domowa. Zjadłam całą.

- Miło widzieć, jak jesz – oznajmiła. – Nosisz zbyt wielki ciężar, prawda? To musi być dla ciebie okropne.

Pokiwałam głową.

- Wolałabym, żeby to nie istniało. Chciałabym nie widzieć numerów.

- Rozumiem. Ale... może powinnaś uznać to za dar...

Prychnęłam.

- Że niby ktoś podarował mi tę umiejętność? Musiałam zrobić coś naprawdę okropnego, żeby na to zasłużyć.

- Bóg mógł cię wyróżnić. Może dla ciebie nie jest to wspaniałe, ale dla nas wszystkich...

Teraz już nic nie rozumiałam.

- Nie chwytam.

- Jesteś świadkiem, Jem. Dajesz świadectwo temu, że wszyscy jesteśmy śmiertelni. Że nasze dni są policzone, że czasu jest tak mało...

- Ale i tak wszyscy o tym wiedzą.

- Jasne, ale wolimy zapomnieć. Za trudno sobie z tym poradzić.

Zrozumiałam to wczoraj dzięki tobie. Wolimy zapomnieć.

- Ale ja... Nie mogę nigdzie iść, na nikogo spojrzeć, niczego zrobić, ciągle to widzę, ciągle pamiętam. To mnie dobija. Już nie mogę sobie z tym poradzić.

- Jem, Bóg cię kocha. Da ci siłę.

Tego było za wiele. Może i wyluzowałam przez ostatnie dni, ale stara Jem nie schowała się aż tak głęboko.

- Że co?! Jeśli Bóg mnie tak kocha, dlaczego pozwolił mojej mamie przedawkować, dlaczego oddał mnie tylu ludziom, którym na mnie nie zależało, dlaczego sprawił, że skręciłam kostkę albo wsadziłam rękę w ptasie gówno, albo że wyskoczył mi durny pryszcz na brodzie...?!

- Dał ci dar życia.

Na to nie znalazłam odpowiedzi.

Udało mi się powstrzymać od wygarnięcia Anne, że tak naprawdę ten wspaniały dar dostałam od mamy i któregoś z jej klientów, którzy płacili dwadzieścia funtów, by mogła zaspokoić nałóg. Byłam wynikiem szybkiego numerku w brudnym mieszkanku, zwykłej handlowej transakcji. Anne nie to chciała usłyszeć, a ja nie była w stanie jej denerwować. Dlatego tylko fuknęłam i zamknęłam się.

Zjadłyśmy jeszcze po misce zupy i położyłyśmy się. Ciągle wracałam myślami do kobiety w chustce i starca z kościoła, do samej Anne. Gdybym miała szansę dowiedzieć się, kiedy umrę, czy chciałabym znać datę? Odpowiedź musiała brzmieć: nie, prawda? Po co komu taka wiedza? Zresztą życie ze świadomością śmierci nie może być normalne. A gdyby znajomość tej daty doprowadziła kogoś do szaleństwa, do samobójstwa przed wyznaczonym terminem? Czy to jest możliwe? Czy można oszukać numery, postanowić odejść wcześniej? Może Pająk miał rację i one mogły się zmienić?

Myśli kłębiły mi się w głowie. Nagle zdałam sobie sprawę, że prawdziwe jest tylko jedno: nigdy nie wolno mówić człowiekowi, jaki jest jego numer. Cały czas to instynktownie wiedziałam, a teraz, kiedy moja tajemnica wyszła na jaw, wydało mi się to jeszcze ważniejsze. „Na pewno – pomyślałam, odpływając. – I tak niewielu naprawdę chciałoby to wiedzieć”.

Następnego ranka w kolejce stało pięćdziesiąt osób.

Simon przyszedł mi o tym powiedzieć, gdy jadłyśmy z Anne śniadanie. W każdym razie Anne jadła – mnie udało się tylko wypić trochę herbaty.

- Jem, przyszło mnóstwo ludzi.

Właśnie tego nie chciałam usłyszeć. Byłam zmęczona, kompletnie padnięta, a poza tym czekałam na wieści o jednym tylko gościu – dzisiaj musieli przyprowadzić mi Pajaka.

- Czego ode mnie chcą? Jestem dzieckiem.

Wzruszył ramionami.

- Możemy ich do ciebie nie dopuścić. Ktoś może z nimi porozmawiać, poradzić im...

Anne zgodziła się z Simonem.

- To prawda. Jesteśmy przyzwyczajeni do ludzi przechodzących kryzys. Posprzątam tu i przyjdę wam pomóc.

Gdy krzątała się w zakrystii, wyglądała tak zwyczajnie: golf, sztruksowa spódnica i wysokie buty, krótkie włosy z okropną trwałą. Ale nie była zwyczajna. Była gotowa siedzieć cały dzień i wysłuchiwać o strachu obcych



ludzi, chociaż walczyła z własnym. Nawet ja nie mogłam tego zignorować. Szacunek. Ja bym nie dała rady.

- Zróbcie cokolwiek. Nie mogę się z nimi widzieć. Nie chcę. Nie mam im nic do powiedzenia.

- W porządku. Załatwimy to. – Simon zniknął, aby coś zdziałać. Anne wciąż krzątała się, zmywała naczynia.

- Wiesz – powiedziała – musisz pomyśleć o tym, co będzie później. Dokąd pragniesz iść. To nie jest idealne miejsce na dłuższy pobyt.

- Ja wiem, czego chcę. Chcę spędzić trochę czasu z moim przyjacielem. A potem... a potem...

Prawda była taka, że w ogóle przestałam myśleć o życiu po piętnastym. O życiu po dzisiejszym dniu.

- Karen niedługo tu będzie. Chyba wszyscy są co do tego zgodni, że powinnaś wrócić z nią do domu. Jeśli będą chcieli postawić ci zarzuty, pomoże ci we wszystkich prawnych sprawach. Ona cię zna, Jem. I naprawdę jej zależy.

- Nie wracam do Karen.

- Jem, masz piętnaście lat. To za mało, żebyś poradziła sobie sama. Jeszcze nie.

- Możemy to na razie zostawić? Proszę. Nie chcę nawet myśleć, co będę robić, dopóki nie zobaczę Pajaka.

Nagle dotarło do mnie, że od prysznicu u Britney ani razu nie myłam się porządnie. Dla Pajaka chciałam wyglądać ładnie. W małej szatni rozebrałam się i umyłam – o ile się dało samym mydłem i wodą z umywalki. Przynajmniej byłam czysta, nawet jeżeli miałam na sobie tylko za duże ciuchy Britney. Woda rozbudziła mnie – minęło wreszcie to niemile, podobne do kaca uczucie. Już nie mogłam się doczekać, kiedy go zobaczę – nigdy w życiu na nic tak nie czekałam.

Kiedy wróciłam do zakrystii, pojawiła się Karen. Byłam bosa i miałam ręcznik na głowie, a ona tak serdecznie mnie przytuliła.

- Jem, jak się czujesz? Wyglądasz trochę lepiej niż ostatnio.

Odsunęła mnie od siebie, ale nie zdjęła rąk z moich ramion.

- Tam są ludzie, którzy desperacko chcą się z tobą zobaczyć. Oni powariowali, ale moim zdaniem powinnaś się dobrze zastanowić, nim cokolwiek zrobisz, bo...

Nie zdążyła dokończyć. W tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do zakrystii wpadł mocno wylansowany gość w średnim wieku. Maszerował prosto do mnie.

- Cześć, Jem, miło cię poznać. Vic Lovell. – Przemierzył pokój z wyciągniętą ręką, niemal odepchnął Karen. Chwycił moją dłoń i potrząsnął nią energicznie. Natychmiast cały pokój był go pełen – jego obecności, jego energii. I nie przyszedł do mnie po pomoc. Chciał zupełnie czegoś innego. Zaczął gadać, jeszcze zanim zdjął płaszcz.

- A teraz, Jem, pragnę porozmawiać o twojej przyszłości, która zapowiada się znakomicie. Już dostałem dla ciebie parę fantastycznych propozycji i jeżeli starannie to rozegramy, możesz być ustawiona na resztę życia. Dosłownie. Mamy wywiady w prasie, radiu i telewizji. Jestem pewien, że możemy się dogadać z jakimś poważnym czasopiśmie. To plan na parę najbliższych miesięcy. Potem zorganizujemy książkę, paru wydawców już dziś bardzo chce cię poznać. Nie martw się, nie oczekuję, że usiądziesz i sama coś napiszesz, są ludzie, którzy mogą nam w tym pomóc – ty musisz tylko z nimi porozmawiać, a oni załatwią resztę. Ale najważniejsze jest to, że musimy koniecznie podpisać umowę, żebym mógł się wszystkim w twoim imieniu zająć. Bez starannego zarządzania będziesz narażona na nadmierną ekspozycję albo możesz przegapić kluczową ofertę, ale, jak mówiłem, jeżeli wszystko zostanie zrobione profesjonalnie, jesteś ustawiona na całe życie!

W końcu przestał. Rzucił mi szeroki uśmiech i zachęcająco pokiwał głową.

- Co...? – spytałam.

- Jak myślisz? Będziemy partnerami?

Ciągle oszołomiona jego słownym atakiem, wzruszyłam tylko ramionami.

- Nie wiem.

A on znowu zaczął:

- Wiem, to sporo jak na początek, nie? Może nie końca rozumiesz, o co mi chodzi. Jem, ze mną możesz być bogata. Mówimy tu o setkach tysięcy. Jesteś młoda, masz do opowiedzenia niesamowitą historię, cały świat o tobie mówi. To jest właśnie to, je.. To jest twoja chwila. Możesz mieć, co tylko chcesz – ciuchy, przyjęcia, samochody, wakacje. Co ci się tylko zamarzy. W tej chwili cały świat chce cię słuchać. Jesteś kimś.

- A czego pan chce?

Obejrzałam jego jasnobrażowy płaszcz, wielki złoty sygnet na palcu i roleta na pół schowanego pod białym wykrochmalonym mankietem koszuli.

- Chcę ci pomóc!

- A co pan miałby z tego...?

- Procent, oczywiście. – Wpatrzył się we mnie szarymi, twardymi jak stal oczami. Nie mogłam nie zobaczyć, że mimo burzliwego życia i średniego wieku nadal czeka go kolejne trzydzieści lat handlowania, rozgrywania i zarządzania. – Nie jestem organizacją dobroczynną. To by była robota dla nas obojga, Jem.

- Nie. Odpieprz się.

- Co takiego?

- Odpieprz się! Nie chcę niczego. Nie chcę *twojej* pomocy. – Wyrzuciłam to z siebie jak przekleństwo. – Nie chcę pieniędzy. Nie chcę sławy. Nie chcę być żadną jebaną celebrytką!

Popatrzył na mnie, jakby mi odbiło.

- Nie masz pojęcia, co mówisz. Nie możesz odrzucać takiej szansy. To szaleństwo.

- Wiem, co robię. I wiem, czego chcę. Chcę, żebyś stąd poszedł.

Podniósł rękę.

- Nie podejmujemy decyzji pochopnie. Jesteś w dużym stresie, wiem o tym. Porozmawiaj z mamą. Zastanów się. Potrzebujesz chwili dla siebie. Będę tuż obok.

Karen obserwowała całą scenę skulona w kącie. Pomyślałam o jej domku w Londynie, z odłączoną ze ścian tapetą w wilgotnej kuchni. Całe życie brakowało jej pieniędzy. Co by to dla niej znaczyło, gdybym się zgodziła? Wiedziałam, że zostało jej tylko parę lat. Może ten facet mógłby sprawić, że to byłyby najlepsze lata jej życia...

- Jak myślisz, Karen?

Pokręciła głową.

- Wiesz, co o tym myślę. To już zaszło za daleko. Jeśli zaczniesz udzielać wywiadów i pisać książki, będziesz jeszcze gorzej.

- Ale mogłabym ci kupić różne rzeczy. Większy dom z ogrodem dla chłopców...

Jej twarz złagodniała.

- To by im się podobało, prawda? – szepnęła. – Ale ty mi nie musisz nic kupować, Jem. Jest nam dobrze tam, gdzie jesteśmy. Jego świat to fantazja, nie rzeczywistość. Znam cię, Jem – nie tego naprawdę chcesz, co?

Może i naprawdę mnie znała. Uśmiechnęłam się do niej.

- Nie, to wszystko gównieście.

Karen otworzyła usta, żeby zaprotestować w sprawie wyrażania się, ale zamknęła je i podeszła, żeby mnie przytulić.

- Nie chcę nic z tego – oznajmiłam. – Chcę, żeby to wszystko zniknęło. Nigdy nie powinnam była o tym nikomu mówić.

- W porządku. Wszystko będzie dobrze.

Nadal próbowała mnie trzymać, ale jakoś się uwolniłam.

- Karen, ty wiesz, że nie będzie... Takie historie same nabierają rozpędu. Prowadzą nie wiadomo dokąd. Mojej też nie da się już zatrzymać.

- Ja myślę, że ty możesz to zatrzymać.

- Jak?

Popatrzyła prosto na mnie, śmiało.

- Po prostu im powiedz. Powiesz, że to wszystko zmyśliłaś. Że to nieprawda.

## Rozdział 36

Ostatnio musiałam stanąć przed grupą ludzi w szkole i opowiadać o najlepszym dniu swojego życia. Kiedy...? Miesiąc temu...? Nie mogłam sobie przypomnieć. Wtedy to przed całą klasą powiedziałam prawdę, moją prawdę. To się nie skończyło najlepiej. Teraz zamierzałam stanąć przed tłumem obcych ludzi – chorych i umierających, dziennikarzy, oszołomów jak ten Vic i Bóg jeden wie, przed kim jeszcze – i nazwać się kłamcą. Miałam zaprzeczyć prawdzie, która prześladowała mnie przez całe piętnastoletnie życie.

- Okej, zrobmy to.

Karen uścisnęła mnie.

- Grzeczna dziewczynka – pochwaliła.

Ona chyba naprawdę myślała, że przyznaję się do kłamstwa. Nigdy mi nie uwierzyła i była zadowolona, że chcę wyznać prawdę.

Wyszliśmy z zakrystii do kościoła. Teraz było tu już ponad pięćdziesiąt osób. Wyglądało to tak, jakby kręciły się ich setki, wszyscy jak najbliżej drzwi zakrystii. Gdy tylko się pojawiłam, podniósł się szum, ludzie zaczęli się przesuwać w moją stronę. Karen przeprowadziła mnie między nimi w stronę głównego wejścia, gdzie stali Anne z proboszczem Stephenem.

- Jem chce coś powiedzieć – oznajmiła im Karen. – Skąd będzie najlepiej?

- Cóż... - zaczął Stephen, podczas gdy ten agresywny gość od mediów precyzyjnie się i przerwał mu:

- Zdecydowanie nie zalecam publicznej wypowiedzi. Taką historię trzeba przekazywać mediom bardzo starannie. O wiele lepiej będzie udzielić kilku szczegółowo wynegocjowanych pojedynczych wywiadów. Lepiej wracajmy do zakrystii.

Położył mi rękę na ramieniu. Próbowałam ją strząsnąć, ale miał chwyt jak kleszcze.

- Puszczaj mnie! – wrzasnęłam. – Nie należę do ciebie i nie będę z tobą rozmawiać.

Wyglądał na autentycznie zszokowanego, jakby nie rozumiał, co mówię.

- Nie słuchałaś mnie...?

- Ja słuchałam. Ale ty nie. W ogóle nie dopuściłeś mnie do głosu. Nie jestem zainteresowana. A teraz zabieraj tę łapę, bo cię ugryzę.

Zabrał rękę, ale nie cofnął się. Zamiast tego pochylił się nade mną, blisko.

- Nie mogę uwierzyć, że marnujesz taką okazję. Jesteś albo bardzo naiwna, albo głupia.

Mówił cicho, ale Karen i inni i tak go usłyszeli.

- Ani jedno, ani drugie – oznajmiła twardo Karen. – Jem robi to, co uzna za stosowne. Właśnie podjęła decyzję. A teraz proszę ją zostawić w spokoju.

Vic wreszcie się odsunął, ale nie wyszedł z kościoła, został w tyle za tłumem, obserwując sytuację.

- Masz coś do powiedzenia, tak? – zapytał Stephen.

- Tak. Myślę, że to moment... moment, żebym przestała marnować czas wszystkich.

Anne zerknęła z niepokojem na Karen, ale Stephen skinął głową. Wyglądał, jakby mu ulżyło.

- To dobrze. Cieszę się. Ten cyrk trwa już dostatecznie długo. Możesz mówić stąd.

W tej części kościoła zwykle siedział chór. Staliśmy na niewielkim stopniu, jedna z moim wzrostem i tak ledwie zrównałam się z większością zebranych.

Popatrzyłam na ambonę.

- A stamtąd? Tam jest mikrofon.

Poczerwieniał jeszcze bardziej niż zwykle.

- To byłoby całkiem niestosowne... - zaczął, ale zaraz się rozmyślił. – No dobrze, jeśli potem wszystko się skończy...

Poprowadził mnie schodkami w górę i nagle stałam w ciemnej, drewnianej ambonie opactwa Beth. Proboszcz włączył mikrofon i przedstawił mnie, jego głos grzmiał nad rzędami ławek.

- Panie i panowie, proszę usiąść. Nasz młody... gość... tutaj, w Domu Bożym, chciałby wam powiedzieć parę słów. Posłuchajmy w skupieniu...

Wyciągnął ramię, zapraszając mnie gestem, żebym zrobiła swoje, po czym zszedł po schodkach. Tłum ucichł.

I wtedy zrobiłam błąd, podniosłam wzrok.

Zobaczyłam morze twarzy – morze numerów. Niczego nie przygotowałam, żadnych mądrych słów, żadnej mowy, żadnego początku, rozwinięcia czy zakończenia. I miałam im do powiedzenia tylko jedno: kłamstwo.

Parę razy odetchnęłam głęboko.

- Dzień dobry – powiedziałam. – Jestem Jem. Ale to już wiecie i pewnie dlatego tu jesteście. – Żadnej reakcji. Przełknęłam z trudem ślinę i ciągnęłam dalej. – Tylko że ja... tak naprawdę... nie powinno was tu być... Jestem zwykłym dzieciakiem, takim samym jakim byłam miesiąc temu, rok temu, pięć lat temu, kiedy nikt mnie nie chciał znać. Zmieniło się tylko to, że powiedziałam, że wiem, kiedy ludzie umrą. I pewnie przyszliście tutaj, bo myślicie, że wam to wyjawię. Ale muszę wam powiedzieć... Muszę wam powiedzieć... że to wszystko kłamstwo. Wymyśliłam całą tę historię.

Zbiorowy jęk.

- Chciałam zwrócić na siebie uwagę i tyle. – Rany, ale zadziałało. – Przepraszam. Wszystko zmyśliłam. Daliście się oszukać. Teraz możecie iść do domu, tu nie ma nic do oglądania.

Odwróciłam się, żeby zejść po schodkach. Ludzie zaczęli coś wykrzykiwać – nie to chcieli usłyszeć. Były okrzyki gniewu, lecz także, ponad wszystkim innym, wrzask autentycznej udręki – straszne. Odwróciłam się i

popatrzyłam na tłum. Wrzeszczała kobieta w chustce na głowie, która wczoraj mnie dotykała. Choć to nie było fair, że oczekiwała ode mnie odpowiedzi, nie mogłam powstrzymać uczucia żalu, że ją zawiodłam. Wróciłam do mikrofonu.

- Czego ode mnie oczekiwaliście...? – Patrzyłam na nią, mówiłam wprost do niej, ale cały tłum znowu ucichł. – Jeżeli chcecie poznać tajemnicę, proszę bardzo! – Urwałam, oblizując wargi. – Umieracie.

Przycisnęła ręce do ust, szeroko otwierając oczy w szoku. Po kościele rozeszły się jęki zaskoczenia.

- I ten facet obok też. I ten z tyłu. I ja. Wszyscy umieramy. Wszyscy w tym kościele i wszyscy na zewnątrz. Nie potrzebujecie, żebym wam to ogłosiła. Ale jest coś jeszcze.

Z tyłu kościoła otworzyły się drzwi. Weszła grupka mężczyzn – mundurowanych policjantów.

- Wszyscy też żyjecie. W tej chwili, dzisiaj, żyjecie. Dano wam kolejny dzień. Nam wszystkim.

Mężczyźni z końca nawy głównej ruszyli do przodu. Między nimi szedł ktoś dużo wyższy od pozostałych, właściwie idiotycznie wysoki, poruszający głową zgodnie z jakimś własnym rytmem. Niemożliwe. Czy to jednak prawda? Moje serce przestało być, przysięgam, ale usta mówiły dalej.

- Wiem, że życie każdego z nas skończy się pewnego dnia, ale nie powinniśmy pozwolić, by to nas przytłoczyło. Nie powinniśmy pozwolić, by nam to przeszkodziło żyć! – Pająk zatrzymał się mniej więcej w połowie kościoła. Stał, patrząc na mnie, z tym szerokim, głupawym uśmiechem na twarzy. Teraz mówiłam do niego, dla mnie nie było już nikogo innego, tylko on. – Zwłaszcza, jeżeli znaleźliście kogoś, kto was kocha. To jest najważniejsze. Jeśli macie takiego kogoś, docęńcie każdą cholerną sekundę, jaką z nim spędzacie...

Wtedy wyrzucił ramiona do góry i wrzasnął głośno. Inni zaczęli klaskać.

Cofnęłam się od mikrofonu i potykając się, zbiegłam ze schodków. Nie obchodziło mnie, kto patrzy, ile jest w nas wycelowanych obiektów. Pobiegnęłam do niego przez klaszczący, krzyczący, rozentuzjasmowany tłum, ślizgając się po wypolerowanych płytkach podłogi. Pająk się nie poruszył, on też klaskał, a potem szeroko rozpostarł ramiona. Rzuciłam się do niego, a on mnie złapał, przytulił i okręcił mną jak piórkiem. Objęłam go nogami, wczepiając się w niego jak kleszcz.

- Człowieku, co się dzieje? – roześmiał się w moje włosy. – Zostawiłem cię tylko na parę dni i zaraz wygłaszasz kazania! Chodź tu – pochylił głowę – nigdy jeszcze nie całowałem księdza. – I pocałował mnie, tak czule, przy wszystkich. – Tęskniłem za tobą – szepnął.

- Ja za tobą też – odpowiedziałam, a nad nami, wysoko na dzwonnicy, tryby i przekładnie przesunęły się i wielkie dzwony opactwa zaczęły wybijać godzinę.

## Rozdział 37

**W**szystko z tobą w porządku?

Wpatrywałam się w jego oczy, poszukując oznak choroby. Nic, tylko numer, zawsze obecny, niezmienny.

- Jestem tylko trochę zmęczony. W tych celach nie da się spać. – Wielkimi dłońmi przetarł sobie twarz. – Non stop myślałem o tobie. Gdzie jesteś. Nie miałem pojęcia, że zamelinowałaś się w kościele.

- Wariactwo, nie? Ja też o tobie myślałam cały czas. Mało nie dostałam świra, gdy sobie wyobrażałam, że siedzisz w jakiejś celi. Ale to koniec, wypuścili cię. Podstawią nam samochód?

Zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz? Jaki samochód?

- To był jeden z moich warunków, że muszą przywieźć cię, samochód i trochę kasy, wtedy będę mówić. Żebyśmy mogli jechać dalej. Dostać się do Weston. Stąd to niecałe pięćdziesiąt kilometrów.

- Nie, Jem, to by było za piękne. Oni ze mną nie skończyli, zdaje się, że szykują oskarżenie. Przywieźli mnie tu na parę godzin, to jest ta wasza umowa, a potem wracam do pudła. Pewnie ty też...

- Ale zgodzili się, podpisali ją! Wszystko oficjalnie!

- A co zrobisz? Pozwiesz ich do sądu? – Pokręcił głową. – Nie możesz ufać nikomu, Jem, powinnaś o tym wiedzieć. Nie licząc, oczywiście, mnie.

- Sukinsyny, okłamali mnie! I co my teraz zrobimy...?! Jak się stąd wydostaniemy?

Westchnął.

- Tego się raczej nie da zrobić, Jem. To koniec. Mamy parę godzin, musimy z nich skorzystać. Tak jak mówiłaś tam na górze.

- Ale to nie jest w porządku. Teraz nam się nigdy nie uda. Nigdy nie dotrzemy do Weston. Chciałam się z tobą przejść brzegiem morza, zjeść rybę z frytkami, jak obiecywałaś... - Musiałam urwać, bo krztusiłam się słowami.

Objął mnie długim ramieniem.

- Nie przejmuj się. To nie musi być dzisiaj. Zrobimy to kiedy indziej. Prawda jest taka, że tym razem mnie posadzą, cię pewnie też, ale ja mogę poczekać. Poczekać na cię, jeżeli ty...

- Oczywiście, że na cię poczekać! Czekałam piętnaście lat, żeby cię znaleźć. Mogę poczekać kolejne piętnaście, jeśli będzie trzeba, ale...

Jak mogłabym to powiedzieć? *Ale czas się skończył. Po „dziś” nie ma już nic.*

- Ale co?

- Tylko... tylko... nie wiem. Wydaj mi się, że to nie wyjdzie.

- Jasne, że wyjdzie. Czasami wszystko okazuje się takie proste. Ja kocham ciebie, a ty mnie. To wszystko, czego nam trzeba. Cokolwiek się stanie, poradzimy sobie.

Dlaczego nie może być właśnie tak? On kocha mnie, a ja jego, tylko ten cholerny numer tkwiący w mojej głowie wciąż mi uświadamiał, że Pająk dzisiaj umrze. A numery nigdy się nie myliły. Gdy tak stałam oparta o niego, wdychając jego gęsty zapach, nagle poczułam przypływ czegoś okropnego. Z Pajakiem nie działo się nic złego. Nie leżał pobity w celi. Nie był chory. Tatuowanego już nie było, nikt nas nie gonił z nożem ani pistoletem.

Jedyne, co mu zagraża, to ja. Ja to sprawiła – przyciągnęłam go do siebie. 15122009! Zobaczyłam numer i wiedziałam, że to się zdarzy. Dopóki istniałam ja, istniał numer. Ja byłam numerem, a numer mną. Nie wiem, czy ktokolwiek inny na całym świecie je widział albo czy numery, które widział ktoś inny, były takie same jak te, które ja widziałam, ale kiedy już jakiś się pojawił, koniec. Nie zmieniały się, nie znikwały. Anne miała rację: byłam świadkiem, ale może nie tylko tak ogólnie. Byłam świadkiem końca konkretnych osób w konkretne dni.

Był tylko jeden sposób, żeby temu zaradzić. Łatwy i jedyne – żeby skasować numer, trzeba usunąć człowieka, który go widzi.

Wstałam powoli i rozejrzałam się. Nie mogłam się spodziewać, że kościelne klucze znów będą w szufladzie w zakrystii, ale wiedziałam, że Simon zawsze miał jakieś przy sobie. Właśnie rozmawiał z Anne w jednej z bocznych naw, wielki pęk błyszczał mu u pasa. Podbiegłam i rzuciłam się na klucze. Odczepiłam mu je, zanim w ogóle zorientował się, co robię. Odepchnęłam go i popędziłam do drzwi na wieżę. Tyle tych kluczy, ale znalazłam właściwy już przy drugiej próbie. Nie obejrzałam się ani razu, otworzyłam tylko zamek, wślizgnęłam się do środka, po czym zamknęłam drzwi. Na zewnątrz zostały wszystkie podniesione głosy, nawet ten, który tak chciałam słyszeć. Zwłaszcza ten, który tak chciałam słyszeć. Ale i tak brzmiał w mojej głowie, kiedy wspinałam się na spiralne schody.

- Jem, co do cholery...?! Jem!

Kiedy weszłam na dach, zalał mnie siekący deszcz. Zamknęłam drzwi na szczycie schodów i ruszyłam w stronę wieży. W ciągu paru sekund moje ubranie przemokło, spodnie kleiły się do nóg.

Kiedy już dotarłam na wieżę, widziałam, co muszę zrobić. Znalazłam pomieszczenie ze sznurami dzwonów, potem przeszłam przez nie i dalej po schodach na samą górę. Już nie przejmowałam się zamykaniem przejść – tamte trzy czy cztery wystarczająco spowolnią pościg. Zanim do mnie dotrą, będzie o wiele za późno. Oddychałam szybko i ciężko, aż mnie klatka piersiowa bolała. Nogi drżały mi po tej wspinaczce, wiatr mną tarł, niemal przewracał. Położyłam obie ręce na kamiennej balustradzie, żeby zachować równowagę.

Daleko z dołu słyszałam krzyki. Nie pozwoliłam sobie na spojrzenie na ludzi. Patrzyłam na dachy i odległe wzgórza. Czekałam, aż uspokoi mi się oddech, ale nie na tyle długo, by adrenalina opuściła moje żyły. Z oczami



utkwionymi w horyzont podskoczyłam trochę i wyęzając wszystkie siły, podciągnęłam się na kamienny murek. Kucnęłam na nim na chwilę, łapiąc równowagę, a potem powoli, z rozpostartymi ramionami, wstałam. W basenie na dachu było paru pływaków, którzy najwyraźniej nie przejmowali się ulewą. Teraz wiedziałam na pewno, że ja nigdy nie będę należeć do tych ludzi. Nigdy nie będę nikim innym niż tym, kim byłam w tej chwili – dziewczyną, która przez piętnaście lat sprowadzała śmierć i zniszczenie na swoje otoczenie. Dziewczyną na tyle głupią, że zaczęła wierzyć w miłość, która teraz wiedziała, że jest tylko jeden sposób, by uratować chłopaka, który ją kochał.

Może jednak widziałam mój własny numer. Cały ten czas odbijał się w oczach Pajaka. 15122009.

Dzień, w którym pożegnam się ze wszystkim.

## Rozdział 38

**O**druchowo podkurczałam palce nóg, jakby to miało pomóc mi w utrzymaniu się na mokrym kamieniu. Próbowałam się wyprostować, żeby okazać jakąś godność w obliczu końca, ale wiatr i deszcz drwiły ze mnie. Wiedziały, że jestem niczym. Wiejąc w twarz i zlewając wodę, przypominały, gdzie jest moje miejsce. Samo utrzymanie się tutaj wymagało zdumiewająco dużo siły – pogoda za wszelką cenę starała się zepchnąć mnie z powrotem na płaski dach. Mogłam pochylić się naprzód i nie spadłabym, tylko że to się mogło zmienić w każdej chwili. Gdy wiatr ustawał, zaczynałam machać rękami, chwiejąc się na brzegu balustrady. Palce nóg zaciskały się jeszcze mocniej.

Pewnie moim błędem było zastanawianie się. Dlaczego po prostu nie wylazłam tam i nie skoczyłam – to byłby najlepszy sposób. Ale nie, musiałam tam sobie postać, rozważając różne sprawy. Czy gdybym od razu skoczyła, wiatr naprawdę zwałby mnie na dach? A jeśli nie, to jak długo trwałby upadek? Czy czułabym uderzenie o ziemię? I czy uderzyłabym o ziemię czy raczej o dach? Czy to się naprawdę miało stać? Czy to było moje życie, piętnaście lat i ani dnia więcej? Czy miałam przyszłość, czekającą gdzieś tam na mnie, którą właśnie chciałam oszukać?

Usiłowałam się skupić, porzucić wszystkie te przypadkowe myśli na rzecz tej jedynej ważnej – jeżeli skończę ze sobą teraz, jeżeli znajdę odwagę, mogę wielu ludziom oszczędzić nieszczęścia. A przede wszystkim była szansa na to, że uratuję Pajaka. Jeśli nikt już nie będzie widział jego numer, może i sam numer przestanie istnieć.

Musiałam to załatwić i należało to zrobić w dobrym stylu – jak skok do basenu. Stałam na placach, rozpostarłam ramiona. Postanowiłam policzyć, by numery doprowadziły mnie do końca.

- Raz... dwa...

- Jem!

Obejrzałam się przez ramię. Boże, był tu, wypadł przed drzwiami na schody, niesforna płatanina rąk i nóg.

- Jem! Proszę, proszę, nie! – aż ochrypl z przerażenia.

- Nie podchodź, Pajak. Nie podchodź do mnie. Muszę to zrobić.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem... Proszę, nie rób tego. Boże... proszę, nie.

Przysuwał się powoli w moją stronę.

- Nie podchodź!

Moje słowa zabrzmiały jak piskliwy jęk niesiony wiatrem. Zatrzymał się, unosząc ręce.

- Jem, nie będzie tak źle. W więzieniu. Poradzimy sobie. A potem możemy zacząć od nowa. Całkiem od nowa. Jem, proszę, poradzimy sobie...

- Nie o to chodzi. Nie umiem tego wytłumaczyć. Przepraszam cię bardzo. Muszę to zrobić.

Teraz chwiałam się na krawędzi.

- Jem, nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego chcesz mnie zostawić. Dlaczego?! – Znowu przesuwał się do przodu. Nawet w tym wietrze i deszczu czułam jego zapach – zalał mnie jak fala, przypominając o naszym pierwszym spotkaniu pod mostem, o nocy w stodole. – Dlaczego chcesz mnie zostawić, Jem? Nie rozumiem.

Przynajmniej tyle byłam mu winna, nie? Wyjaśnienie.

- Pająk, ja muszę zatrzymać numery. Tylko ja jedna je widzę. Są wewnątrz mnie. Nie mogę się ich pozbyć. – Ściszyłam głos, mówiąc teraz bardziej do siebie niż do niego. – Muszę to zrobić. To jedyny sposób.

Ale on tego nie zrozumiał. Utkwił na etapie kwiatków i serduszek.

- Jem, to się nie musi tak kończyć. Teraz możemy być razem.

Jego słowa brzmiały tak uwodzicielsko. On jedyny na całym świecie wiedział, co mi powiedzieć, co naprawdę chciałam usłyszeć.

Rozpłakałam się.

- Też tego chcesz, prawda, Jem? Wiem, że tak. Nie możesz mi powiedzieć, że to wszystko nic dla ciebie nie znaczyło, prawda? Proszę, nie mów mi tego...

Teraz on też płakał.

Nie znoszę, kiedy faceci płaczą. To nie jest w porządku, jasne? Ich twarze nie są do tego przystosowane, tak jakby się rozpadały, aż boli patrzeć.

Był już tak blisko, tak blisko mnie. Gdyby wyciągnął jedną z tych swoich łap, mógłby mnie złapać. Nie chciałam tego – musiałam doprowadzić rzecz do końca. To było najważniejsze, co miałam do załatwienia.

*Trzy... dwa... a jednak, a jednak poczuć go jeszcze raz, poczuć, jak mnie obejmuje, tylko jeden, ostatni raz – ta słodka myśl mnie zatrzymała.*

- Zaczekaj, proszę, zaczekaj chwilę...

- Pająk, ja muszę to zrobić. Nic nie rozumiesz.

Krople deszczu na mojej twarzy mieszały się ze łzami, smarki leciały mi z nosa.

- Nie rozumiem, człowieku, nic nie rozumiem. Mieliśmy coś. Ciągłe możemy to mieć. Ty i ja, Jem.

- Nie, to się nie zdarza. Życie długie i szczęśliwe to kłamstwo, Pająk. Takim jak my to się nie zdarza.

Osunął się na podłogę, kucnął, szarpiąc kręcone włosy. Szlochał, coś przy tym gadając. Nie słyszałam go. Powinnam była skoczyć wtedy, kiedy nie patrzył, to był odpowiedni moment, ale musiałam wiedzieć, co powiedział. Nie chciałam zostawiać żadnych niedokończonych spraw.

- Co takiego? Pająk, co mówisz?

Popatrzył na mnie.

- Człowieku, bez ciebie sobie nie poradzę. Nic mi nie zostanie. – Wstał i wyciągnął rękę. – Jem, daj mi rękę. Pomóż mi.

„To sztuczka – pomyślałam. – Chce mnie oszukać”. Nie powiedziałam nic i nic nie zrobiłam.

- Dlaczego mi nie pomożesz? – spytał. – Idę z tobą.

Jednym szybkim ruchem znalazł się na murku obok mnie. Usiłował złapać równowagę na wietrze.

- Rany, niesamowite. – Znowu pojawił się ten jego szeroki uśmiech, nie mógł się powstrzymać. – Człowieku, popatrz. Widać na kilometry. Raaaaany! Jego okrzyk poniósł wiatr.

- Walnięty jesteś, zawsze wiedziałam – stwierdziłam.

Złapał mnie za rękę.

- Spokojnie, człowieku, spokojnie. Jeśli naprawdę chcesz to zrobić, idę z tobą. Razem. Kocham cię, Jem. Nie chcę nikogo i niczego więcej.

Wiecie, jak to jest, słyszeć takie słowa? Słyszeć, jak ktoś, kogo się kocha, mówi, że on cię kocha najmocniej na świecie? Jeżeli nie, to obyście się kiedyś dowiedzieli.

- Było mi z tobą super, Jem. Te ostatnie tygodnie, w życiu nie było mi lepiej. Nie odchodź beze mnie. Kocham cię.

Był gotów odejść. Mogliśmy skoczyć oboje. Jego numer stałby się prawdą, a mój dołączyłby do jego.

I wtedy nagle pomyślałam: „Pieprzyć numery, pieprzyć wszystko. Ilu ludzi znajduje kogoś, kto jest im przeznaczony? Jeżeli zostaniemy w kościele, w bezpiecznym miejscu, może uda nam się oszukać numery. A może Karen ma rację, może to wszystko jest tylko w mojej głowie – może numery nic nie znaczą? Jeśli je będę ignorować, może w końcu znikną. Pająk i ja moglibyśmy mieć to swoje *żyli długo i szczęśliwie*”.

- Pająk, ja też cię kocham. Z tobą poradzę sobie ze wszystkim. Wracajmy do środka, zanim zamrzniemy.

Uśmiechnął się do mnie, puścił moją rękę i zacisnął pięść. Dotknęliśmy się kostkami dłoni.

- Bezpiecznie – powiedział.

- Tak, bezpiecznie.

Ugięłam kolana, położyłam dłonie na kamieniach i powoli zsunęłam się na dach. Kiedy podniosłam wzrok, Pająk tańczył na szczycie murku, spokojnie jak nigdy, ciesząc się tym przeżyciem, tak jak tańczył na pokładach kolejowych, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy nad kanałem.

- Złaż stamtąd, palancie, bo skręcisz sobie ten cholerny kark!

Obrócił się w moją stronę, z szerokim przygłupim uśmiechem, gotów zeskoczyć. Popatrzyliśmy sobie w oczy – moje ciepło i miłość odbijały się w nim. Wszystko będzie dobrze.

I wtedy jego stopa poślizgnęła się na mokrym kamieniu i stracił równowagę.

Przez ułamek sekundy chwiał się na krawędzi, cały czas wpatrując się w mnie, szaleńczo wymachując ramionami... a potem zniknął, poleciał do tyłu z zaskoczeniem na twarzy.

To było błyskawiczne, nierealne. Nie krzyczałam, chociaż ktoś daleko w dole zaczął. Patrzyłam tylko, jak obracał się w powietrzu, trzepocząc ramionami, desperacko usiłując złapać się czegoś.

Nie spadł na ziemię. Dach nawy głównej zatrzymał jego upadek. I złamał mu kręgosłup. Leżał tam, patrząc w górę, z rozrzuconymi rękami i nogami, bez życia. Ostatni raz spojrzałam mu w oczy. Nadal były szeroko otwarte, zaskoczone, ale już mnie nie widziały.

Już tam nikogo nie było.

Jego numer zniknął.

## Rozdział 39

**P**rzez całą drogę lało, przestało dopiero, kiedy parkowałyśmy samochód. Przeszłyśmy wzdłuż moła, a dookoła nas wiatr wzburzał fale na morzu. Chmury pędziły po niebie jak na przyspieszonym filmie.

Karen ciągle mnie pytała:

- Wszystko w porządku?

- Tak, w porządku.

Trudno sobie wyobrazić, że mogłabym być mniej w porządku, ale wiecie, o co chodzi. Chciałam tylko, żeby dała mi spokój. W połowie drogi Val wzięła mnie pod rękę. Ona nie musiała zadawać głupich pytań – wiedziała, przez co przechodzę. Z pożegnaniem Pajaka poczekała, aż wyjdę ze szpitala. Kremację urządzili beze mnie – w końcu nie mogli tego wiecznie odkładać – ale zatrzymała puszkę z prochami, póki wszyscy nie uznali, że jestem dość silna, by to wytrzymać.

Odwiedzała mnie w szpitalu. Za pierwszym razem w ogóle nie mogłam mówić – do niej ani do nikogo innego. Wciąż usiłowałam to wszystko przetrwać. W oczy też nie mogłam jej spojrzeć. Prosiła, żebym o niego dbała, powierzyła mi go. A ja ją zawiodłam. Zabrałam go z jej domu, wiedząc, że nie wróci. Ale ona nie była na mnie zła, Bóg jeden wie, dlaczego. Była wściekła na niego.

- Co ten głupek wyprawiał? Musiał się popisywać, tak? Gdybym tylko mogła go dopaść, skreśliłabym mu kark... - Jej leżące na kolanach dłonie drżały, obracając niezapalonego papierosa. – Czy tu jest gdzieś palarnia, Jem? To mnie dobija...

Przyszła znowu, chociaż za pierwszym razem nie odzywałam się. Nie odstraszyło jej także towarzystwo, w którym wtedy tkwiłam – milczący, wrzeszczący, otumanieni i smutni ludzie. Za drugim razem udało mi się wypowiedzieć słowo. Całymi dniami formowałam je w myślach, usiłując sobie przypomnieć, jak się zaczyna, jak z ust ma wyjść dźwięk. Val mówiła coś, ale nic nie słyszałam, tak się skupiałam na tym, co musiałam powiedzieć. Ucichła, kiedy zobaczyła, jak się nachylam, jak moja szczeka się porusza, jak usiłuję zmusić zdrętwiałe usta do pracy.

- Ppp... ppp...

- Co takiego, Jem?

Ona też się pochyliła, dmuchając zatęchłym, przesyconym dymem oddechem prosto w moją twarz.

- Ppppszz... pppp... aszzam.

- Skarbie, to nie twoja wina. To nie była niczyja wina. No pewnie tylko jego własna. Skąd miałaś wiedzieć? Przecież zawsze wyprawiał same głupoty.

Chciałam jej powiedzieć, że wiedziałam. Wszystko stało się dokładnie tak, jak myślałam, tak szybko, że nie dało się nic zrobić, a jednocześnie tak powoli, jakby każda minuta prowadziła nieuchronnie do następnej. Mieliśmy tyle możliwości, żeby zrobić coś innego, zmienić ścieżkę, po której szliśmy. Tysiące razy odgrywałam wszystko w myślach. Powinnam była o niego zadbać. Powinnam była... powinnam... powinnam...

- Widziałam go, wiesz, na posterunku – powiedziała mi. – Byłam przy tym, gdy go przesłuchiwali. Nie chcieli, żebym mu towarzyszyła, mnie zresztą też przesłuchiwali, ale uparłam się. Czułam się za niego odpowiedzialna. Byłam wszystkim, co miał. Nie licząc ciebie. – Palcem wskazującym drapała brzeg pożółkłego paznokcia na kciuku. Skóra była czerwona, mało brakowało, a zdarłaby ją zupełnie. – Powiedział, że jechaliście do Weston. To mnie zaskoczyło, naprawdę. Nie wiedziałam, że to pamięta. Widzisz, zabrałam go tam, kiedy był jeszcze mały. Takie wakacje. Cieszę się, że to pamiętał...

Urwała i siedziałyśmy tak, podczas gdy na fotelu w rogu jakiś pacjent kołysał się w przód i w tył, w przód i w tył.

- Myślałam o tym, Jem. Kiedy będzie ci lepiej, mogłybyśmy go tam zabrać, do Weston. Pożegnać się porządnie. Ale dopiero, jak staniesz na nogi. Nie ma pośpiechu, skarbie.

Nie zauważyłam, by choć odrobinę robiło mi się lepiej. Dni, które niczym się nie różnią: płaskie, puste, przygniecione olbrzymim ciężarem. Jednak po paru tygodniach wszyscy zaczęli mówić, jak są zadowoleni z moich postępów. Teraz, jeśli miałam ochotę, umiałam już złożyć kilka słów, a podczas posiłków zjadałam nawet parę kęsów. Ciągle budziłam się w nocy, dręczona koszmarami, zbyt przerażona, żeby krzyczeć. Leżałam tylko godzinami, nie mogąc znowu zamknąć oczu. W ciągu dnia pielęgniarki zachęcały mnie do rysowania, do wyzwolenia uczuć. To było okay, siedzenie przy stole z papierem i mazakami – mogłam to robić godzinami.

Karen też przychodziła regularnie. To jej trzeba przyznać, nieważne, ile bym ją kopała, zawsze wracała po jeszcze. Pewnego dnia powiedziała:

- Jem, lekarze mówią, że jesteś gotowa na zmianę. Wracaj do domu, kochanie. Ze mną. Ja się tobą zajmę.

Mój dawny pokój trzymała pusty.

- Urządę go dla ciebie. Możemy zacząć od nowa. Jaki kolor byś chciała?

I tak wróciłam na Sherwood Road, do ścian pomalowanych na odcień creme caramel, ciepły i miodowy, kolor kamieni w Bath. Siedziałam w swoim pokoju, słuchałam muzyki i gapiłam się na ściany, aż pewnego dnia, kiedy usłyszałam, jak Karen zabiera bliźniaki do szkoły, zaczęłam rysować. Pierwszy rysunek był nad łóżkiem, anioł, żeby mnie pilnował, żebym była bezpieczna. Potem pracowałam dalej, aż zarysowałam wszystko, ściany i sufit – skrzydlate stworzenia, wążące na górę i spadające. Niektórym brakowało twarzy albo ręki czy nogi. Jedna postać miała idiotycznie długie kończyny i fryzurę afro – to jego, Pajaka, narysowałam na samej górze, jak rozkłada skrzydła i leci przez

sufit. Narysowałam też łysą postać tuż nad podłogą, taką przerażoną i skuloną, otulającą się skrzydłami.

Kiedy Karen przyniosła mi kolację i zobaczyła moje pokręcone rysunki, upuściła tacę. Spaghetti bolognese ochlapało ściany. Złapałam ręcznik. Jak szalona zaczęłam ścierać sos i kluski.

- Zobacz, co narobiłaś, niszczysz moje obrazy, głupia suko!

Potem znów wylądowałam w szpitalu, a kiedy wróciłam do domu, wszystko było zamalowane – tym razem na przymglony błękit, pewnie bardziej uspokajający. Tylko że ciągle było widać niektóre anioły przez farbę, i to mnie pocieszało. Nie miałam tylu koszmarów, kiedy wiedziałam, że tam są.

Musiało minąć dobre pięć czy sześć miesięcy, zanim znalazłyśmy się na końcu mola w Weston.

Stałyśmy tam chwilę niepewnie, a potem Val powiedział:

- No dobra. – I odkręciła pokrywkę. – Jem, chcesz to zrobić?

- Nie wiem, czy powinnam...

- Po prostu wszystko wysyp. Wsuń rękę jak najdalej nad wodę i wysyp.

Czułam piekące łyzy. Długo je powstrzymywałam, ale teraz przyszły, jak małe nożyki.

- Nie mogę. Nie zrobię tego. Val, lepiej ty.

Mocno zacisnęła wargi, usiłując wziąć się garść, i zrobiła krok naprzód.

- Chwileczkę – powiedziała. – W którą stronę wieje wiatr? Nie chcemy, żeby on... no, nie chcemy, żeby wylądował na nas.

Karen polizała palec i uniosła go.

- Wieje stamtąd. Na tę stronę będzie dobrze.

- Okay. – Val wzięła głęboki oddech. Przycisnęła się do barierki i wysunęła urnę najdalej, jak mogła.

- Żegnaj, Terry, skarbie. Żegnaj, mój chłopcze.

Przy ostatnich słowach głos jej się załamał i załkała. Kiedy przechyliła urnę, wysypał się z niej szary popiół. Większość wpadła do wody, ale nagły podmuch wiatru uniósł nieco i rzucił prosto na nas. Na włosy i ubranie.

- Cholera jasna, wpadło mi do oka! Widzisz to, Karen?

Val odskoczyła od poręczy (mało nie upuściła pustej urny), trąc lewe oko.

- Chodź tu, Val. Zaraz spojrzę.

Podczas gdy Val mrugała i jęczała, a Karen oglądała jej twarz i wycierała chusteczką, ja obserwowałam, jak warstwa popiołu powoli od nas odpływa. To wszystko, co z niego zostało.

Popatrzyłam na swój płaszcz, wydymający się nad brzuchem, przesunęłam ręką po materiale. Wewnątrz znowu poczułam ten trzepot. Nie miałam pewności, ale byłam przekonana, że to chłopiec. Nieustannie się wiercił, niespokojny. Zupełnie jak ojciec.

Kiedy wygładzałam płaszcz, na brzegu moich palców zebrała się cienka linia szarego popiołu. Zatrzymałam proszek w dłoni.

Pająk.



Jak mogłyśmy to zrobić? Tak po prostu go wyrzucić? Potrzebowałam go przy sobie, blisko.

- Wracaj! – wrzasnęłam w morze. – Wracaj, nie zostawiaj mnie!

Karen i Val obejrzały się i natychmiast były przy mnie.

- W porządku, kochanie – powiedziała Karen. – Wyrzuć to z siebie.

- Karen, nic nie rozumiesz, ja nie byłam gotowa! Nie jestem jeszcze gotowa się pożegnać!

Val objęła mnie ramieniem.

- Nigdy nie będziesz. Na to nie ma odpowiedniej pory.

Teraz rozryczałam się na dobre, one też.

Objęłyśmy się ramionami, taki smutny trójkąt, z płaszcami rozwianymi an wietrze. Trzymałam Val w talii, ale pięść miałam zamkniętą. Ostatnie pozostałe cząsteczki Pajaka chowałam bezpiecznie w dłoni.

Bezpiecznie.

## Pięć lat później

**N**ie włóczę się już po tych miejscach, w których dzieciaki wagarują. Można powiedzieć, że poszłam dalej. Teraz znajdziecie mnie na placach zabaw, na plaży, pod centrum dzielnicowym albo pod szkołą. W sumie to normalne, nie? Dzieciaki takie jak ja zmieniają się w rodziców takich jak ja. A nasze dzieci stają się nastolatkami, a potem też rodzicami. I tak dalej.

Nie jestem już taka inna. Ten krótki czas z Pajakiem zmienił mnie nie tylko w tym, co oczywiste – dorastanie, zakochanie, seks i tak dalej. Ten czas dał mi też coś, czego bardzo mi brakowało, czego nie miałam przez piętnaście lat: prawdziwych przyjaciół, kogoś z kim można się pośmiać, komu można zaufać, przed kim można się trochę otworzyć. Zmienił też mój pogląd na życie – byłam tak zdołowana numerami, że nie umiałam naprawdę żyć, teraz to widzę. Numery paraliżowały moje życie. Ale Pajak i inni ludzie – Britney, Karen, Anne, Val – zmienili to we mnie, sprawili, że zrozumiałam, ile danego mi czasu niepotrzebnie straciłam.

Chciałabym móc powiedzieć, że zrobiłam ze swoim życiem coś wielkiego – zostałam neurochirurgiem, nauczycielem czy kimś takim – ale i tak byście nie uwierzyli, nie? Gdy patrzę w przeszłość, myślę, że jak dotąd zrobiłam dwie dobre rzeczy.

Na początek zostałam z Karen i opiekowałam się nią po udarze. Wiedziałam, że zostały jej tylko trzy lata, więc gdy odeszła, nie była to niespodzianka.

Właśnie próbowałam zdobyć jakieś mieszkanie dla siebie – byłam w tej sprawie w socjalce, kiedy zatelefonowali ze szpitala, że Karen straciła przytomność na ulicy. To był potężny wylew, miała częściowo sparaliżowaną jedną stronę ciała. Straciła też mowę – zachowała świadomość, ale mogła mówić tylko z ogromnym trudem. Zgodzono się, bym to ja się nią zajęła. Straciła bliźniaki – opieka społeczna znalazła im inny dom – a to złamało jej serce. Ale każdy zakładał, że ja z nią zostanę i będę się opiekować.

Było ciężko, naprawdę ciężko, starać się opiekować Adamem i do tego ubierać Karen, karmić ją, prowadzić do toalety. Jakbym miała dwoje dzieci. Nie powiem, ile razy byłam bliska odejścia. Nawet spakowałam torby. Ale w końcu nie mogłam się na to zdobyć. Wiedziałam, że niewiele jej zostało. Poza tym, ona była ze mną podczas ciąży i później, gdy przywiozłam Adama do domu. Tyle mi pomogła, pokazała, jak sobie z nim radzić, pozwalała odpocząć, kiedy miałam dosyć. Uznałam, że jestem jej to winna.

Pod koniec miałyśmy kilka bardzo złych dni.

Problem w tym, że choć nie mogłam już widzieć numerów, pamiętałam je. Zniknęły, gdy byłam w ciąży – raz za razem trafiałam na oddział psychiatryczny. Naszprycowana lekami, otumaniona, nie zauważyłam, że już ich nie widzę. Zniknęły. Było mi smutno – stracić coś, co tak długo było częścią

mnie. Ale poczułam też ulgę. Odeszło coś, co mnie przerażało – wizja chwili, kiedy będę musiała spojrzeć w oczy mojego narodzonego dziecka i zobaczyć datę jego śmierci. Tego dnia zrozumiałam, że mogę stawić czoła przyszłości, cokolwiek miałyby przynieść. Mogę mieć dziecko Pajaka i dzięki temu wciąż z nim żyć.

Jednak nie zapominałam numerów, które wcześniej zobaczyłam. Wiedziałam, którego dnia Karen ma odejść. Ona oczywiście nie miała o tym pojęcia, dlatego choroba i niesprawność bardzo ją nękały. Przez ostatnie kilka tygodni była w ogromnej depresji. Naprawdę załamana. Właściwie ciągle miała udary. Za każdy razem, gdy poczuła się trochę lepiej, przychodził nowy i likwidował poprawę. Było to dla niej przerażające, wiem, że tak było.

Błagała, bym pomogła jej to zakończyć. Wyczerpana, z trudem wyrzucała słowa.

- Proszę, Jem, mam dość.

Błagała wzrokiem. Powiedziałam, żeby nie była tak przemądrzała. Co my bez niej pocniemy? Adam kochał swoją babcię. Ocz Karen były pełne cierpienia. Też go kochała, bez pamięci, ale już nie myślała logicznie – znalazła się w ciemnej i samotnej dziurze.

Mam wrażenie, że ciężar opieki nad nią naprawdę był ponad moje siły. W nocy leżałam, rozbudzona, torturując się tymi strasznymi myślami. A co, jeśli tak właśnie miało być? Jeśli to ja miałam jej pomóc to skończyć?

Gdy jej dzień się zbliżał, stawałam się coraz bardziej nerwowa. Ona nie mówiła już o niczym innym. Ostatnim razem, gdy zabrałam ją do toalety, ciężko było sobie z nią poradzić. Kiedy w końcu ją posadziłam, osunęła się, z upokorzenia wypłakując oczy. Być może dopuściłam, by to trwało zbyt długo. Może powinnam poprosić opiekę społeczną o pomoc. Patrząc w przeszłość, dostrzegam, że było to ponad siły nas obu.

Zaciągnęłam ją z powrotem do łóżka. Dalej była zdenerwowana. Obie byłyśmy. Próbowaliśmy się przewrócić, dosięgła jednej z poduszek.

- Tylko ją przytrzymaj, Jem.

Próbowała przycisnąć ją sobie do twarzy, ale nie miała dość siły.

- Nie, Karen. Przestań.

- Proszę, Jem. Jestem taka zmęczona.

Wyjęłam poduszkę z jej rąk. To byłoby takie łatwe, przycisnąć coś do jej twarzy, oprzeć się całym ciężarem. Tego właśnie chciała. I wtedy Adam wszedł do pokoju.

- Mamo, chcę pić.

Oprzytomniałam. Pomogłam Karen się pochylić i ułożyłam poduszkę pod jej plecami.

- Chyba wszystkim nam się chce pić, kochanie – powiedziałam. – Zróbmy sobie herbatkę.

Nalałam do plastikowego kubka trochę soku dla Adama i do drugiego trochę herbaty dla Karen – jak wspominałam, to była opieka nad dwojgiem dzieci.

Usiadłam obok i przytrzymałam kubek przy jej spierzchniętych ustach.

- To jest to – uśmiechnęłam się. – Wszystko wygląda o wiele lepiej z kubkiem dobrej herbaty. – Udało jej się odwzajemnić uśmiech tą częścią twarzy, którą jeszcze mogła poruszać. – Chcesz biszkopta? – Skinęła głową, a ja zamoczyłam ciastko w herbacie, żeby stało się przyjemnie miękkie, i karmiłam ją.

I wtedy to się stało. Zaczęła się krztusić. Rzuciłam wszystko i klepnęłam ją w plecy. Krztusiła się dalej, próbując złapać oddech. Nie umiałam jej pomóc. Pobiełam do przedpokoju i chwyciłam za telefon. Karetka przyjechała po dziesięciu minutach, ale było już za późno. Odeszła.

Adam wszystko widział. Powinnam go była wyrzucić z pokoju, ale zajęłam się ratowaniem Karen.

- Co się stało z babcią? – spytał.

Zabrałam go do przedpokoju i posadziłam na kolanach.

- Odeszła, kochanie. Umarła.

- Jak tata?

Zawsze opowiadałam Adamowi o jego tacie. Chciałam, żeby wiedział, jaki był wyjątkowy.

- Tak, jak tata.

To jest druga rzecz, którą zrobiłam, jak widzicie. Wychowałam Adama, będąc dla niego i matką, i ojcem. Wiem, że nie tylko mnie to spotkało. Są tysiące, miliony samotnych rodziców, ale kiedy człowiek sam nie miał idealnego dzieciństwa, wielką sprawą wydaje się móc spojrzeć na pięciolatka i wiedzieć, że jest zdrowy i szczęśliwy. Gdyby kilka lat temu ktoś mnie spytał, czy uważam, że mogłabym być dla kogoś mamą i poradzić sobie z tym, roześmiałabym mu się w twarz – ale wiecie, to jest coś, co naprawdę potrafię. Jestem mamą. Jestem mamą Adama i jestem z tego dumna.

Myślę, że pewnie każdy uważa swoje dziecko za wyjątkowe. Ale ja wiem, że Adam naprawdę taki jest. Bardzo przypomina swojego tatę. Val mówi, że wygląda zupełnie jak mały Pająk, dwie krople wody, a ja jej wierzę. Przede wszystkim jest wysoki, same nogi i ramionka, nawet gdy był niemowlęciem. I ciągle jest zajęty. Nie można go na minutę spuścić z oka, wszystko go ciekawi. Dlatego tak często zabieram go na dwór. Uwięziony przez cały dzień w domu doprowadziłby mnie do szaleństwa. Jest chłopcem, który musi spalać energię na huśtawkach albo biegając po parku. To jedna z przyczyn, dla których po śmierci Karen przeprowadziliśmy się do Weston. Pająk miał rację, tu jest tyle przestrzeni. Możemy spędzić popołudnie na plaży, przejść kilometry, aż Adam się zmęczy i będzie gotów iść do łóżeczka jak grzeczny chłopiec.

Trudno mu usiedzieć spokojnie, nie umie się skoncentrować. Nauczyciele w szkole też to mówią. Woli się wspinać albo kopać piłkę, niż patrzeć w książkę.

Jest trochę do tyłu, ale niespecjalnie się tym przejmuję, bo w końcu wszystkich dogoni. Nie jest głupi.

W szkole w kółko uczyli się alfabetu i liczenia do dziesięciu. Chyba wszystkim się wydawało, że on tego nie zapamięta. Ale w ostatnim tygodniu mieliśmy mały przełom. Wrócił ze szkoły i powiedział, że nauczycielka chce się ze mną widzieć. Pomyślałam: „O nie, co on znowu nabroił?”. Ale wcale nie było tak źle, w każdym razie nie chodziło o to, czego się spodziewałam – że wdał się w bójkę, był niegrzeczny albo coś takiego.

Weszliśmy do klasy i nauczycielka pokazała mi jego rysunek – piękny, namalowany jaskrawymi barwami, w ciepłych kolorach lata. Były na nim dwie postacie trzymające się za ręce – duża i mała. Stały na pasie żółtego piasku, nad nimi na niebie świeciło słońce, a na twarzach miały szerokie uśmiechy.

- Rozmawialiśmy o tym, prawda, Adamie, o tym pięknym rysunku? – spytała go nauczycielka.

Poważnie skinął głową.

- To ty i twoja mama, prawda? – pytała dalej.

- Tak – powiedział. – Ja i mama na plaży.

- Myślę, że litery i cyfry trochę mu się płaczą – powiedziała do mnie – ale jestem bardzo zadowolona z jego zręczności w posługiwaniu się ołówkiem.

Nad głową wyższej postaci był jakiś napis, wygięty w łuk niczym tęcza.

- Pewnie chciałeś napisać *mama*, prawda, Adamie?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, proszę pani – odpowiedział. – Mówiłem już. To nie jest imię. To jej numer. To specjalny numer mamy.